

# Bronwyn Williams

## Na przekór złu

*Karolina Północna, 1880 rok. Ogromna siła woli gościła w drobnym ciele młodziutkiej Carrie. To ona pozwoliła jej przetrwać ciężkie czasy, które zaczęły się wtedy, gdy podczas napadu Indian zginęli jej rodzice. To dzięki niej wytrzymała harówkę u rzekomego stryja i podłe traktowanie przez męża hazardzistę. To ona kazała jej walczyć z ugorami. Gdy Carrie wynajęła do pomocy na farmie więźnia, półkrwi Indianina, znowu musiała przywołać siłę woli, by nie okazać nienawiści, jaką żywiła do jego rodaków z powodu śmierci rodziców. Jeszcze wtedy nie wiedziała, jak cienka granica oddziela nienawiść od miłości...*

## ROZDZIAŁ PIERWSZY

Carrie przygięła rondo słomkowego kapelusza, by osłonić oczy przed słońcem, i po raz kolejny krzyknęła na kościstego muła:

- Ruszaj się, ty kłapouchy parszywcu!

Lecz Sorry, zgodnie ze swoim imieniem sugerującym coś nędznego, zachował się podle i zignorował ją. Carrie zaklęła w duchu. Wiedziała, że w tak ślimaczym tempie nawet do jutra nie dotrą do więzienia, a ona nie mogła sobie pozwolić na zmarnowanie kolejnego dnia.

Jeśli jej mąż przyjedzie do domu, wpadnie w szal, gdy zobaczy zrujnowane przez Sorry'ego wejście do zagrody Pecka, dlatego Carrie musiała je wcześniej naprawić. Paskudny wałach otrzymywał wszystko co najlepsze. Miał własny wybieg i nowy boks w stodole, dostawał najdorodniejszy owies, a także świeżą wodę, którą codziennie trzeba było taszczyć ze strumienia. Oczywiście nie Darther ją dźwigał, bo od tego miał Carrie, o czym z lubością jej przypominał.

Carrie, muł i kury mogły zdychać z głodu, byleby tylko ten pioruński koń wyścigowy miał wszelkie wygody.

Nie, nie pioruński. Carrie musi wreszcie oduczyć się przeklinania, Emma twierdziła bowiem, że to nie przystoi damie. Tylko jak tego dokonać, gdy Dartherowi płynęły z ust same grubiaństwa? A przedtem taki sam był jej wuj. Carrie jak przez mgłę przypominała sobie inny głos, delikatny i miękki, o odmiennym akcencie... lecz być może był to tylko sen?

- Sorry, błagam, pospiesz się - z krzyku przeszła na błagalne tony.

Ale prośby również nie działały. Pioruński muł stał jak wmurowany, ignorując upał, muchy i Carrie. Do jego zakutego łba trafiały jedynie słowa, które od lat słyszał od Darthera.

- Jazda, parszywcu! A jak nie, to posiekam cię na kawałki i rzucę krukowi na pożarcie!

Gdyby usłyszał ją biskup Whittle, dopiero miałyby się z pyszna!

Doprowadzona do rozpaczki trzepnęła lejcami o grzbiet muła i zwierzak nieoczekiwanie rzucił się do przodu. Stopy Carrie pofrunęły w górę, kapelusz opadł jej na oczy i niewiele brakowało, a wypuściłaby lejce z dłoni.

- Teraz lepiej - burknęła zrzędlawie.

Jednak po kilku minutach znów posuwali się żółtym tempem. Jak to z Sorrym: albo bezruch, albo gwałtowny zryw.

- Proszę cię, skarbie - podlizywała się Carrie. - Przed nami daleka droga i wiem, że ci ciężko. Ale im szybciej się z tym uporasz, tym krócej będziesz w zaprzęgu. Dostaniesz ode mnie piękną, soczystą rzepe, jeśli dotrzemy do domu przed zmrokiem.

Było to jednak mało prawdopodobne. Carrie co prawda nie bała się podróżować po nocy, ale wolała nie natknąć się w ciemnościach na jakiegoś przestępcę. Bardzo chciała przed wieczorem być w domu, zagonić kury do kurnika, nakarmić i napoić muła, zaś więźnia - o ile uda się jej jakiegoś wynająć - zamknąć w stodole.

Sorry leniwie podążał piaszczystą drogą. No cóż, mogło być gorzej, pomyślała Carrie. Darther twierdził, że wszystkie muły nienawidzą kobiet. Miało to mieć coś wspólnego z faktem, że muły w połowie były osłami.

No cóż, życie z Darther nie było łatwe. Kiedy zaraz po ślubie Carrie zasugerowała, by zaprząć Pecka do pługą i wykarczować pole, uroczy małżonek uderzył ją tak, że wylądowała na podłodze. To były pierwsze dni ich małżeństwa i wówczas Carrie jeszcze nie wiedziała, co może ją spotkać.

Lecz teraz już wiedziała. Z wierzchołka wysokiej, uschniętej sosny jastrząb bystro śledził drogę, a za wozem unosiły się blade tumany kurzu. Od początku lipca nie spadła ani kropla deszczu. W przydomowym ogródku, z którego jeszcze kilka tygodni temu Carrie była tak dumna, zostało zaledwie trochę pomarszczonych, maleńkich strąków fasoli. Na nic się zdały te wszystkie wiadra wody, z takim trudem przydźwigane ze strumienia. A gdy samy i króliki dobrały się do kapusty, zostawiając tylko twarde głąby, Carrie chciała dać za wygraną.

Jednak rezygnacja nie leżała w jej naturze. Taka po prostu się urodziła. Oczywiście kiedy była dzieckiem, nikt nie mówił o niej, że jest konsekwentna w swym postępowaniu, tylko uważano ją za upartą i krnąbrną. Z tej przyczyny nikt nie chciał jej adoptować. Na cóż bowiem komu ani specjalnie mądra, ani szczególnie piękna, za to zawzięta, niepokorna dziewczynka? Gdy Carrie zorientowała się, że twardy charakter przysparza jej samych kłopotów, starała się zachowywać jak ciche i posłuszne dziecko, niestety nikogo tym nie zwiodła.

Wyrosła więc na kobietę, która nigdy nie rezygnowała ze swoich zamierzeń. Teraz postanowiła, że doprowadzi grunty swojego męża do rozkwitu. Najpierw musiała wyhodować pewną ilość zboża na sprzedaż, a zdobyte w ten sposób pieniądze przeznaczyć na wykarczowanie i przysposobienie pod uprawę kolejnych połaci ziemi. I tak do skutku, aż zlikwiduje wszystkie nieużytki. Przed laty poprzedni właściciel zabrał się za karczunek terenów leżących przy strumieniu, jednak nie dokończył roboty. W ziemi wciąż tkwiło wiele pniaków i ponownie pojawiły się chaszczki. Carrie zamierzała do wiosny wykarczować ziemię, zaorać i obsiać ją zbożem, a podczas suszy zraszać pole wodą ze strumienia. To będzie pierwszy krok do osiągnięcia celu. Na razie Carrie nie śmiała spoglądać dalej w przyszłość.

Jej mąż, zapalony hazardzista, rzadko bywał w domu. Gdy tylko usłyszał o gonitwach konnych, wyścigach psów, walkach kogutów czy rozgrywkach karcianych, natychmiast tam ruszał. Kiedy wracał, zazwyczaj pijany, zostawał tylko na tak długo, by Carrie zdążyła wyszczotkować i przewietrzyć jego wymyślne surduty oraz poprać koszule i bieliznę, po czym znowu zniknął. Teraz, kiedy nadchodził okres wyścigów, będzie poza domem tygodniami.

Podczas nieobecności Darthera Carrie od świtu pracowała w polu. Ryła ziemię, rozdrabniała motyką korzenie, siłowała się z upartym mułem, zmuszając go do wyciągania z ziemi równie upartych pniaków. Nawet dla silnej i zdrowej kobiety była to bardzo ciężka harówka, ale Carrie postanowiła, że wyciągnie z ziemi każdy pioruński karp, zaciągnie go na skraj pola i spali. To właśnie w

czasie walki z korzeniem figowca tak nieszczęśliwie uderzyła motyką, że nieomal odrąbała sobie kciuk. Uznała jednak, że taki drobiazg jak paskudna, niegojąca się rana nie powstrzyma jej od osiągnięcia celu.

O możliwości wynajęcia więźnia do pracy dowiedziała się od Emmy, posuniętej już w latach wdowy, najserdeczniejszej przyjaciółki Carrie.

- Hrabstwo wydaje dużo pieniędzy na utrzymanie aresztanta. Jeśli delikwent nie jest oskarżony o morderstwo, możesz go wynająć za kaucją i oszczędzić hrabstwu wydatków. Chyba nie jest to całkiem zgodnie z prawem, ale jeśli podpiszesz papier stwierdzający, że oddasz więźnia w równie dobrym stanie, w jakim go zabrałaś, nikt nie będzie robić ci trudności. Gdyby jednak uciekł, mogliby cię oskarżyć o nieposzanowanie mienia hrabstwa.

Emma wspomniała o tym mimochodem, gdy zobaczyła, jak wolno goi się ręka przyjaciółki. Wiedziała przy tym, że Carrie nie stać na wynajęcie parobka, nawet gdyby udało się jej znaleźć kogoś chętnego do pracy na farmie Darthera.

- Darther zostawił mi trochę drobnych, kiedy ostatnio był w domu, ale wszystko wydałam na mąkę, cukier i kukurydzę. Ciekawe, jakiego więźnia mogłabym wynająć za trzy liche sukienki, dwa słomkowe kapelusze i parę butów z dziurami w podeszwie?

Emma wybuchnęła śmiechem. Dzięki Bogu, że choć jedna z nich miała ochotę na śmiech.

- Poradzisz sobie - powiedziała stanowczo starsza pani. - Odłożyłam parę dolarów. Zwrócisz mi po pierwszych zbiorach, a zamiast procentu dasz mi garniec zboża dla moich kurek.

To było w zeszłym tygodniu, gdy Carrie zawiozła przyjaciółce koszyk z pieczonym królikiem i rzodkwią. W drodze powrotnej rozważała słowa Emmy. Zaprzyjaźniły się niemal trzy lata temu, wkrótce po tym, jak Darther przywiózł Carrie do opuszczonego przez Boga i ludzi miejsca, żeby mu gotowała, sprzątała i zaspokajała go, gdy był na tyle trzeźwy, by żądać od niej wypełnienia małżeńskich obowiązków. Na szczęście zdarzało się to bardzo rzadko.

O naturze tych obowiązków Carrie dowiedziała się od Emmy. Emma powiedziała jej też dużo o uprawie zbóż i innych roślin. Carrie musiała jeszcze wiele się nauczyć, jednak niesiona marzeniami, nie miała zamiaru zmarnować kolejnego sezonu zasiewów. Wiedziała, że nie może liczyć na żadną pomoc ze strony męża. Nawet kiedy przebywał w domu i był na tyle trzeźwy, by wiedzieć, co się wokół niego dzieje, nie zwykł kalać swych rąk uczciwą pracą. Myślał jedynie o wyścigach i kartach. Był święcie przekonany, że Peck, wałach półkrwi arabskiej, tak paskudny, że nikt nie wzięłby go za wyścigowego konia, pewnego dnia przyniesie mu fortunę.

Peck był szybki. To fakt. Carrie widziała kiedyś, jak jej mąż trenował go na pobliskiej drodze, ale nawet gdyby ten potężny, brzydki koń zdobył wielką nagrodę, Carrie nie zobaczyłaby z niej ani centa, bo Darther przepuściłby wszystko w kolejnych gonitwach, walkach kogutów lub w karty. Był nie tylko marnotrawcą, ale również skąpcem. Pojawiał się w domu pyszniąc się nowymi jedwabnymi kamizelkami i wymyślnymi surdutami, ale gdy tylko Carrie odważyła się poprosić go o pieniądze na coś użytecznego, jak krowa czy pług, natychmiast lądowała na podłodze ze spuchniętą szczęką. Bez względu na to, czy jej mąż był pijany, czy trzeźwy, miał twardą rękę i gwałtowne usposobienie.

Kiedy wuj zaproponował Dartherowi, żeby ją zabrał w zamian za niespłacony karciany dług, nie protestowała, bo już nie mogła się doczekać, by wyrwać się spod jego opieki. Kilka razy widziała Darthera kręcącego się po sklepie wuja i od razu spostrzegła jego eleganckie stroje. Darther chętnie opowiadał o swoim bogactwie, a Carrie nie miała pojęcia, że to tylko czcze przechwałki.

- Darther prowadzi interesy na wyścigach - oświadczył jej wuj takim tonem, jakby mówił co najmniej o właścicielu stajni ogierów pełnej krwi. - Ten człowiek wie więcej o komach niż o własnej rodzinie.

Jeżeli Darther w ogóle miał jakąś rodzinę, nigdy się do tego nie przyznał.

- Wychowałem się w Nowym Jorku - oznajmił kiedyś z dumą. - i poznałem wszystkie możliwe tory na Wschodnim Wybrzeżu.

W końcu Carrie dowiedziała się, że Darther należał do tej grupy przybyszów z Północy, którzy pojawili się w dawnych, zrujnowanych konfederackich stanach i próbowali zagarnąć, co się da, a takimi ludźmi pogardzano na Południu. Ale zrozumiała to długo po tym, jak została jego żoną. Kiedy po pospiesznej ceremonii ślubnej przekraczała granicę Karoliny Północnej, oczami wyobraźni widziała piękny dom otoczony zielonymi pastwiskami, a na nich smukłonogie ogiery i śliczne klacze z wesoło brykającymi źrebiętami.

Od wielu lat, od kiedy nocny napad Indian zniweczył wszystko, co kochała, Carrie namiętnie oddawała się marzeniom, bo tylko dzięki nim mogła znosić okrutne realia życia. Jeszcze będzie lepiej, łudziła się. Na pewno ktoś ją zaadoptuje i zabierze do domu. Wuj, który w końcu po nią posłał, pokocha ją całym sercem, ona zaś zapewni mu opiekę i będzie dla niego wsparciem na stare lata.

Jakże była naiwna! Nikt nie kwapił się, by ją adoptować, wuj, sklepikarz z Wirginii, okazał się podłym, niechlujnym człowiekiem, zaś Darther, elegancki dżentelmen, stał się jej najgorszym koszmarem. Kielich goryczy przepełniła „piękna plantacja” - chlew, nazywany przez Darthera domem, i porośnięte chaszczami ugory.

Miesiąc miodowy nie był ani odrobinę lepszy. Bolesne, żenujące przeżycia szczęśliwie skończyły się już następnego ranka, gdy na farmie pojawił się Liam, mężczyzna o twarzy łasicy. Powiedział Dartherowi, że do Suffolk zjeżdżają hodowcy z Nowego Jorku, by dokonać przeglądu dwulatków. Taką gratką młody żonkoś nie mógł wzgardzić.

Ledwie opadł za nimi kurz na drodze, Carrie zebrała się w sobie i wzięła się do pracy. Wkrótce miała dach, który nie przeciekał, komin, który nie dymił i

prawdziwy żeliwny piec, a do tego ogródek warzywny... i do diabła z tym, że żywił głównie sarny i króliki!

Zyskała też serdeczną przyjaciółkę, co było prawdziwym darem niebios.

Z wieprzka, którego chowała ubiegłego roku, został jedynie kawał wędzonego bekonu, a krowę musiała sprzedać i teraz bardzo brakowało jej świeżego mleka i masła. Przez jakiś czas trzymała kozę, ale ta wciąż zrzucała ją ze stołka w czasie dojenia. Wreszcie, gdy pogryzła suszące się prześcieradła, Carrie bez wahania się jej pozbyła. Teraz miała jedynie stadko kur, a od czasu do czasu udawało się jej złapać we wnyki królika lub wiewiórkę, którymi zawsze dzieliła się z Emmą.

Mogłaby też żywić się doskonałą, wypasioną na jej kapuście sarniną, gdyby tylko zdołała odkryć, gdzie Darther ukrył amunicję do springfielda. Strzelba spoczywała dumnie na rogach jelenia zawieszonych nad drzwiami. Darther wielokrotnie powtarzał, że jeśli Carrie choćby, palcem tknie broni, żywcem obedrze żonę ze skóry, i wcale nie brzmiało to jak czcza pogrożka. Dla jej męża wartość miały jedynie: springfield należący kiedyś do jego ojca, wymyślna złota dewizka do zegarka i paskudny wałach Peck.

Kiedy jednak ostatnio Darther wyjechał z domu, Carrie w geście buntu wspięła się na krzesło, zdjęła broń ze ściany i postawiła tuż przy drzwiach. Mieszkała na odludziu, a jej najbliższa sąsiadka, stara Emma, sama ledwo była w stanie zadbać o siebie. Carrie czuła się o wiele pewniej, mając pod ręką coś do obrony, choćby pozornej. Tym bardziej, że farmę zaczęli odwiedzać jacyś osobnicy, którzy dopytywali się o Darthera. Carrie oznajmiała im, że wyjechał, ale ponieważ nie chciała, by obcy ludzie kręcili się w pobliżu domu, czekając na powrót jej męża, zawsze starała się, aby zobaczyli strzelbę, a sama przybierała pozę, jakby doskonale posługiwała się bronią.

Lecz teraz, jak na ironię, determinacja pchnęła ją do tego, by ściągnąć na farmę kryminalistę. Przydałby się jej jeszcze wielki, groźny pies, ale nie miała skąd go wziąć. Jednak sama strzelba, mimo że bez nabojów, powinna utrzymać



więźnia w ryzach. Poza tym Emma powiedziała, że aresztant będzie miał skute nogi, więc w razie potrzeby Carrie poskromi go, waląc kolbą w głowę.

Wreszcie zatrzymała się przed murowanym gmachem sądu w Currituck. Nie pozostało jej nic innego, jak ostatecznie rozprawić się z obawami. Po pierwsze hrabstwo nie zwolniłoby za kaucją żadnego groźnego bandyty, a po drugie będzie on skuty. Do czasu powrotu Darthera zdoła wymyślić jakiś przekonujący powód, dla którego wynajęła więźnia. Na przykład postanowiła przygotować nowe pastwisko dla Pecka, a sama nie podołałaby takiej pracy. To powinno podzielać. Dopóki zboże nie wyrośnie powyżej kolan, jej mąż i tak nie odróżni go od trawy,

A Carrie musi zadbać o swoją przyszłość.

Dla zabicia czasu zajął się liczeniem. Liczył pchły rozgniecione między brudnymi palcami. Liczył cegły w murze, liczył kraty w oknach i szczeknięcia więziennego psa dochodzące zza drzwi.

Liczył lata swojego życia. Wolałby mieć ich więcej niż dwadzieścia dziewięć, ale to i tak wystarczająco dużo, by uznać się za człowieka doświadczonego.

Liczył okręty, które zatoneły w czasie, gdy na nich służył, ale tych było zaledwie trzy. Liczył marynarzy, którzy wówczas zginęli i ta liczba okazała się tak wielka, że serce ścisnęło mu się bólem, chociaż wśród topielców nie miał żadnych przyjaciół.

Z mieszaniną gniewu, żalu i rezygnacji Jonasz Longshadow liczył, ile lat zajęło mu zaoszczędzenie sumy wystarczającej na zakup własnych pastwisk, ich ogrodzenie i wypuszczenie na nie pięknego ogiera pełnej krwi i trzech dorodnych, rozplodowych klaczy. Liczył źrebięta, które mógłby wyhodować, a których pewnie już nie zobaczy, bo nie pożyje dość długo. Zastanawiał się też, kto w końcu położy łapę na jego majątku.

A kiedy już porachował to wszystko, ustalił, ile mniej więcej dni zdoła jeszcze przeżyć bez jedzenia, zabrał się do obliczania szans na uniknięcie katowskiego sznura.

Wyniki nie były pokrzepiające.

Na dźwięk kroków zbliżających się do celi, Jonasz poczuł upokarzające podniecenie. Być może dzisiaj dostanie coś więcej niż odrobina zeschniętej skórki kukurydzianego chleba. Wczorajszy kawałek, nie większy od kciuka, pachniał szynką i kapustą. Zapewne zastępca szeryfa, lub nawet sam szeryf, zjadał porcje przeznaczone dla więźniów, zostawiając mizerne resztki, by utrzymać ich przy życiu do rozprawy.

Dobrze chociaż, że miał wodę. Co prawda pływały w niej wijące się robaki, z których wylęgają się komary, ale jednak mógł napić się do woli. Człowiek jest w stanie przeżyć wiele dni bez jedzenia, jeżeli ma pod dostatkiem wody.

Tym razem był to sam szeryf, a nie jego młodociany zastępca. Przyszedł z pustymi rękami i brzuch więźnia zaburczał w gwałtownym proteście. Jonasz opadł z rezygnacją na rojące się od pcheł posłanie z mierzwy, czekając, aż usłyszy, że sędzia w końcu przyjechał, wydał wyrok bez rozprawy i skazał go na powieszenie za to, że był obcym, a do tego obcym mieszanej krwi. Za to, że ocalał z wielu katastrof. Z gorzką ironią pomyślał, że zażąda, aby stało się to jeszcze tego dnia, póki ma dość sił, by stanąć prosto i dumnie przed swoim katem.

- Podnoś się, Indiańcu. Mam dla ciebie dobre wieści.

Słońce stało już w zenicie i prażyło niemiłosiernie, gdy Carrie, po dopełnieniu wszystkich formalności, skierowała się ku domowi. Więzień szedł uwiązany za wozem. Nogi miał skute kajdanami i nie mógł szybko się poruszać, ale Sorry'emu wcale to nie przeszkadzało. Carrie miała tylko nadzieję, że łajdak okaże się wart tych dwóch dolarów, jakie za niego zapłaciła.

Indianin. Wciąż nie mogła uwierzyć, że po tym, co spotkało jej rodziców, wynajęła Indianina, ale akurat był jedynym więźniem, a Carrie zaparła się, że nie wróci z pustymi rękami.

Szeryf, brzuchacz o rozbieganych oczach, którymi świdrował Carrie a pożądaniem - co zresztą nie było dla niej niczym nowym - wręczył jej mały kluczyk, ostrzegając przy tym, by nigdy nie zdejmowała więźniowi kajdan z nóg. Przykazał jej też, by natychmiast zastrzeliła drania, gdyby próbował uciec, oraz by karmiła go raz dziennie i strzegła go pilnie.

- Ci Indiańcy to zdradliwe sukinsyny, a mieszańcy są jeszcze gorsi. Gdybym nie musiał wyjechać na cały tydzień, nie wydałbym go pani, ale Noe mógłby zagłodzić drania na śmierć albo, co gorsza, pozwoliłby mu uciec.

Carrie nie miała pojęcia, kim był Noe i wcale jej to nie obchodziło. Chciała tylko dojechać do domu przed zapadnięciem nocy i zamknąć więźnia w stodole. Spodziewała się, że dostanie potulnego aresztanta, a oto wiodła rozjuszoną niewolą dziką bestię.

Szeryf nie musiał jej przykazywać, by karmiła Indianina. Carrie dała za więźnia całe dwa dolary, więc będzie musiał je odpracować, choćby zaprzęgnięty do pługa. To prawda, że niekiedy oddawała się marzeniom, ale tak naprawdę była twardą realistką. Karmiła kury, by znosiły jajka, sypała obrok Sorry'emu w nadziei, że wydusi z tej leniwej bestii kilka godzin pracy. Także owa nieszczęsna, zapchlona kreatura z nogami skutymi kajdanami i z nadgarstkami spętanymi sznurem uwiązany do wozu, potrzebowała jedzenia, by mieć siły do roboty.

Szeryf powiedział jej, że Indianina uwięziono za kradzież, ale równie dobrze mógł okazać się mordercą. Może więc powinna odłożyć karczowanie gruntu do następnego roku, a przynajmniej do czasu, aż zagoi się jej ręka, i zrezygnować z pomocy więźnia? Nie potrafiła jednak niczego odkładać na później. Taka już była. Obawy obawami, ale robota czeka.

Indianin był przeraźliwie brudny i obrzydliwie śmierdzący. Nawet nie znała jego imienia. Wprawdzie wyglądał odstręczająco, ale na pewno jakoś się nazywał. Jednak Carrie nie śmiała mu spojrzeć w oczy, a co dopiero prosić o prezentację. Kiedy płaciła za wynajęcie istoty ludzkiej, która nie miała w tej sprawie nic do powiedzenia, nagle poczuła się bardzo zażenowana. Jakby kupowała krowę lub konia...

Mimo to przyjrzała mu się uważnie. Był zabiedzony i niechłujny, lecz pokory nie miał w sobie za grosz. Biła z niego pełna buty arogancja, jakby siedzenie w więzieniu stanowiło jakiś szczególny powód do dumy. Dla dodania sobie animuszu dotknęła strzelby, usiłując zignorować palącą nienawiść, którą niemal fizycznie czuła na swoich plecach.

Gdy mijali niewielkie farmy leżące pomiędzy budynkiem sądu a zjazdem na Shingle Landing, ludzie z niedowierzaniem wbijali wzrok w mężczyznę, który niczym wół był prowadzony za wozem, i zaczęli coś do siebie szeptać. Mały chłopiec rzucił w Indianina kamieniem i wykrzyknął jakieś przekleństwo. Kobieta ściągająca ze sznura pranie przerwała pracę i zawołała w stronę Carrie:

- Uważaj na siebie, dziewczyno! Tej bestii źle z oczu patrzy!

Carrie zgadzała się z tym, a mimo to zżymała się, gdy ludzie rozprawiali o jej więźniu niczym o bezrozumnym zwierzęciu. Dobrze znała to uczucie, gdy inni traktują cię jak niechciany bagaż i obmawiają cię, jakbyś niczego nie rozumiał. Kiedy ją to spotkało, była dzieckiem, natomiast więzień był dorosłym mężczyzną. Trafił do więzienia za kradzież, lecz kto wie, jakie jeszcze zbrodnie popełnił? Szeryf twierdził, że to najzwyczajniejszy dzikus, nieznający nawet angielskiego. Carrie dosłyszała, jak mamrotał coś w pogańskim języku, gdy szeryf przywiązywał go do wozu, po czym brutalnie sprawdzał, czy węzły są wystarczająco mocne.

Carrie otarła pot z czoła. Niestety w dzbanku nie zostało już ani kropli wody. Wprawdzie niedługo będą mijali strumień, więc Sorry zaspokoi

pragnienie, ale przecież oni nie może na czworakach by pić ze swoim mułem. Muli więc poczekać, aż dojadą do domu.

A co z jej więźniem? Zerknęła przez ramię, by sprawdzić, czy wciąż podąża za wozem. Nie chciała, by zemdlął z pragnienia i był wleczony bez ducha.

Poczuła, jak pot strużką spływa jej pomiędzy piersiami. Sierpień tego roku był niewiarygodnie upalny! Konała ze zmęczenia, mimo że jechała na wozie. Jak więc czuł się skuty kajdanami i związany więzień, zmuszony do marszu w tym skwarze? Gdyby nagle zaswędziały go plecy, nawet nie mógłby się podrapać.

A kiedy już raz odezwało się w niej chrześcijańskie miłosierdzie, nie umiała go zagłuszyć. Pociągnęła za lejce i sztywno zeszła z wysokiego kozła. W lewym ręku czuła pulsujący ból, pośladki piekły ją żywym ogniem od siedzenia na twardej, dębowej desce, ale najbardziej doskwierało sumienie. Wszelkie okrucieństwo, czy to wobec człowieka, czy też zwierzęcia, kłóciło się z jej charakterem. Ten Indianin był złodziejem i poganinem, ale Carrie pamiętała nauki misjonarzy o dobrym Samarytaninie i o tym, że należy poświęcać się dla innych.

Spoglądając więc znacząco na strzelbę, dała znak mężczyźnie, by podszedł bliżej. Biskup Whittle byłby z niej dumny. Zawsze się rozwodził nad potrzebą pomocy niebożętom i maluczkim. Pewnie złoczyńca znalazłby się na samym końcu jego listy niebożąt, ale mimo wszystko...

- Myślę, że nic złego się nie stanie, jak przez resztę drogi będziesz jechać na wozie.

Jeżeli o szarych oczach można powiedzieć, że miotają ogień, to jego wprost płonęły. Słowa zawisły w powietrzu niczym długi sznur, którym Indianin uwiązany był do wozu. A zaledwie chwilę później mężczyzna gwałtownie odwrócił się do niej plecami.

Carrie nie wierzyła własnym oczom. Ten arogancki sukinsyn rzeczywiście demonstracyjnie pokazał jej plecy! Oburzona, że jej dobry uczynek został ze wzgardą odrzucony, chwyciła za sznur i mocno szarpnęła.

- Nie odwracaj się do mnie plecami, ty żaloszny, złodziejski...

Jonasz, głęboko urażony w swej nieposkromionej dumie, uniósł związane nadgarstki i gwałtownie pociągnął za swój koniec sznura, zaskakując tym manewrem głupią kobietę. Gdy upadła plackiem na ziemię i twarzą zaryła w piach drogi, poczuł rozkoszny dreszcz satysfakcji.

Owa satysfakcja mogła się zresztą okazać ostatnim uczuciem w jego życiu, zauważył w duchu, bo kobieta zerwała się na równe nogi i sięgnęła po strzelbę. Wściekły, że ciągnęła go za wozem po publicznej drodze, był w mściwym nastroju. Spod strzechy skłębionych, zawszonych włosów piorunował ją wzrokiem, nawet nie próbując maskować nienawiści. Wprawdzie ta niska, chuda istota nie ponosiła żadnej winy za nieszczęścia, które go spotkały w życiu, ale Jonasz nie był w nastroju do wyciągania logicznych wniosków, nie mówiąc już o wspaniałomyślności.

W tej chwili byli równymi sobie przeciwnikami. On miał związane ręce i skute nogi, ale był dużo wyższy, silniejszy i zwinniejszy. Ona była drobną kobietą z ręką owiazaną szmatami, lecz miała dwa poważne atuty: białą skórę i springfielda. Chociaż broń była tak ciężka, że z ledwością ją podnosiła i z trudem utrzymywała w stabilnej pozycji, lecz ani na moment nie spuszczała wzroku z jego oczu. Niechętnie musiał przyznać, że jest dumna i odważna, choć z całą pewnością głupia.

On był wojownikiem Kiowa. Ona - jedynie kobietą.

W morderczym upale stali w bezruchu przez niekończącą się chwilę, złączem poczuciem nieszczęścia, frustracji i czymś jeszcze, do czego żadne z nich nie zamierzało się przyznać. Tymczasem muł, to śmieszne, żaloszne stworzenie, zajął się skubaniem suchej, przydrożnej trawy. Jonasz mógłby stać

na środku tej drogi całe wieki. Niestety nie jadł od bardzo dawna, a na dodatek czuł, że powinien opróżnić pęcherz.

Postanowił więc coś zrobić, by przełamać impas. Uniósł wysoko głowę, zamknął oczy i wydał z siebie przeszywający, dziki okrzyk wojenny, który poniósł się echem przez okoliczne równiny.

Przerażony muł też uniósł łeb i zaczął rozdzierająco rzeć do wtóru. Z uschniętej sosny zerwała się para kruków. Jonasz z satysfakcją patrzył, jak twarz stojącej przed nim kobiety powleka straszna bladość.

Carrie słyszała podobny okrzyk przed trzynastu laty i przez ten czas zdołała wyprzeć go z pamięci na tyle, że wynajęła człowieka, który był półkrwi Indianinem. Teraz ów wrzask wrócił do niej jak najgorszy senny koszmar. Tamtej strasznej nocy ledwo uszła z życiem, lecz setki innych ludzi, w tym jej rodzice, padły ofiarą Masakry w Minnesocie - niespodziewanego, barbarzyńskiego napadu Indian i rzezi trwającej ponad tydzień.

Carrie postąpiła naprzód dwa kroki i mocno dźgnęła mężczyznę lufą w brzuch.

- Żebyś nigdy więcej nie ośmielił się tego zrobić - wysyczała przez zaciśnięte zęby, a bladość na jej policzkach zaczęła ustępować ciemnym rumieńcom. - Jeżeli o mnie chodzi, możesz się wlec po tej drodze, aż padniesz, a ja i tak zaciągnę cię na farmę, zaś to, co pozostanie z twego ścierwa, rzucę knurom na pożarcie!

Carrie nie miała żadnego knura, ale była to najstraszliwsza groźba, jaka w tej chwili przyszła jej do głowy. I oby więzień jej uwierzył! Wreszcie przyjrzała mu się z bliska. Jego szare, płonące nienawiścią oczy swą barwą zupełnie nie pasowały do indiańskiego wyglądu, pomyślała, jakby miało to jakieś znaczenie. Czuła się jeszcze bardziej zmieszana niż wtedy, gdy zaproponowała mu, by resztę drogi odbył na wozie.

Przecież to przestępca, napomniała się w duchu. Do tego Indianin, pobratymiec tych, którzy wymordowali niemal całą jej osadę. Pewnie nie brał w

tym udziału, ale na pewno zrobił coś strasznego, jeżeli znalazł się w więzieniu. Przy pierwszej sposobności gotów udusić ją tym sznurem.

Bezpieczniej byłoby zaciągnąć go z powrotem do więzienia. Jeżeli o nią chodzi, mógłby tam zgnić. Problem jednak w tym, że naprawdę go potrzebowała. Jeżeli nie zamierzała czekać z pierwszym zasiewem do przyszłego roku, musiała zdecydować się na tego człowieka.

Z wyrazem sztucznej odwagi na twarzy sprawdziła węzeł sznura, kiwnęła z zadowoleniem głową i wdrapała się na kozioł, krzywiąc twarz z bólu, gdy jej wymęczone pośladki znów opadły na twardą, pełną drzazg deskę. Na domiar złego pulsujący ból w ręku rozlewał się aż do ramienia. Ile jeszcze czasu upłynie, zanim wróci jej pełna sprawność? Wtedy pozbędzie się więźnia, ale na razie...

Czy jednak kiedykolwiek odważy się tak bardzo poluźnić krępujący go sznur, by Indianin mógł normalnie pracować? Może wynajęcie go nie było więc jednak najszcześniejszym pomysłem.

Zanim strzeliła lejcami, by pobudzić do ruchu Sorry'ego, odwróciła głowę i posłała więźniowi gniewne, srogie spojrzenie.

- Zaproponowałam ci, żebyś jechał na wozie z czystej dobroci serca. Ale już zużyłeś wszelką dobroć, jaką byłam w stanie ci zaoferować, więc jeśli o mnie chodzi, możesz nadal pełzać w piachu.

Jakby mógł zrozumieć choćby słowo z jej przemowy! Musiała jednak ją wygłosić, aby Bóg dowiedział się, że nie jest kobietą o zatwardziałym sercu.

Po chwili odwróciła się raz jeszcze, po czym dobitnie oznajmiła:

- I porzuć wszystkie idiotyczne pomysły. Na sto kroków potrafię odstrzelić szpon jednonogiemu krukowi, więc tylko spróbuj ucieczki, a zabiję cię bez zastanowienia. Pojąłeś?

Jonasz doskonale rozumiał każde jej słowo, jednak już dawno temu nauczył się nie informować o tym fakcie białych. Kobieta była słaba i głupia. I cały czas



kłamała. Poza tym bała się Jonasza, bo nie wiedziała, że on nigdy nie walczył z kobietami.

W milczeniu zaczął rozważać swoje położenie. Nie było go na farmie od dwunastu dni. Jego konie znajdowały się na pastwiskach. Miały pod dostatkiem soczystej trawy. Obok przepływał strumień, więc miały również wodę. Jedna z klaczy wkrótce będzie się żrebić. Powinien być przy niej, ale przede wszystkim musi przywieźć akt własności swojej ziemi i rachunki za zwierzęta, zanim skończy się jego warunkowe zwolnienie, to znaczy zanim do miasteczka przybędzie sędzia. Chociaż nawet wtedy będzie miał niewielkie szanse na przekonanie sędziego o swojej uczciwości. Zapłacił co do centa za wszystko, co posiadał, ale nie mógł w żaden sposób udowodnić, że nie nabył tego za kradzione pieniądze.

Pokonanie tej kobiety byłoby dziecinnie proste, ale niczego by nie załatwiło. Kierowali się na północny zachód. Do tej pory zdołał już rozpoznać kilka charakterystycznych punktów terenu. Kiedy mijali wąską drogę prowadzącą na jego farmę, nabrał przekonania, że tak czy inaczej odzyska wolność. Nie po to przeszedł tak wiele w życiu, by teraz poddać się bez walki. Jonasz nie wiedział, dokąd zabiera go kobieta, ale to miejsce musiało być gdzieś blisko, bo nie wzięła ze sobą żadnego jedzenia.

Szedł więc posłusznie za wozem, wdychając kurz drogi i rozkoszując się słodkim smakiem niedalekiej wolności. Cały czas rozważał, w jaki sposób udowodnić swoją niewinność, a zarazem wbijał wzrok w proste, wąskie plecy kobiety. Kiedy uniosła swój obrzydliwy, słomkowy kapelusz, zobaczył, że ma jasne, gęste włosy, zdecydowanie krótsze od jego własnych. Tylko dzieci tak strzyżono, lecz ona, mimo że bardzo młoda, dzieckiem już nie była. Nawet gdyby miała dwie zdrowe ręce, nie potrafiłaby okiełznać tego upartego muła, o czym pokraczny zwierzak świetnie wiedział. Jednak ta kobieta wciąż karmiła się złudzeniami.

Spojrzał na jej obwiązaną dłoń i zaczął się zastanawiać, jak poważnego doznała urazu. Jej ramiona były mocno zaróżowione, ale raczej od słońca niż z powodu infekcji rozprzestrzeniającej się od rany. Jonasz nie raz widział ludzi umierających z powodu takiego zakażenia.

W gruncie rzeczy wcale nie życzył tej kobiecie śmierci. Słyszał, jak szeryf jej przykazywał, żeby go karmiła. Jeżeli teraz pozostanie jej więźniem, zdoła odbudować siły potrzebne do ucieczki.

Nim zjechali z głównej drogi, Carrie zatrzymała się, by w strumieniu napoić muła i gestem ręki pokazała Jonaszowi, by zrobił to samo. Nie okazał jej najmniejszej wdzięczności, mimo że przy okazji zdołał skryć się za masywnym pnem figowca i wreszcie opróżnić pęcherz. Kiedy sznur pomiędzy nimi napiął się tak, że ledwo był w stanie unieść ręce, zaklął pod nosem. W końcu jednak udało mu się zapiąć spodnie i pojawił się na polanie akurat wtedy, gdy kobieta wychodziła zza innego drzewa, poprawiając spódnice. Na ten widok, nie wiedzieć czemu, zachciało mu się śmiać.

Wreszcie zjechali z głównej drogi, po czym znów skręcili w bok. Jonasz koncentrował się na topografii terenu. W końcu znaleźli się na rozległej polanie. Minęli drewnianą chatę, niewiele większą od jego więziennej celi, i zatrzymali przy grożącej zawaleniem stodole.

- Będziesz tu spać - oznajmiła Carrie.

Jonasz wolałby spać pod gołym niebem, ale by wyrazić to życzenie, musiałby się zdradzić, że zna język tej kobiety. A tego nie powinna wiedzieć, jak i tego, że bez najmniejszych trudności mógłby się uwolnić z więzów. Tylko że na to było jeszcze za wcześnie.

Spokojnie czekał, aż kobieta wyprzęgnie muła. Gdy już to zrobiła, odwróciła się do niego, i wówczas spostrzegł, że jest jeszcze młodsza niż z początku sądził. Chwyciła za kij, przemaszerowała przez podwórko i na ziemi dookoła domu wyrysowała linię.

- Teraz cię rozwiążę - oznajmiła. - Ale nie wolno ci przekraczać tej linii, słyszysz? - Wskazała na niego, potem na dom i zaczęła energicznie potrząsać głową. - Nie wchodzić do domu. Ro-zu-miesz?

Rząd Stanów Zjednoczonych też wyrysował linie, a zamknięty nimi obszar nazwał rezerwatami. Jonasz nie zamierzał przekraczać ustalonej granicy. Dusił się w drewnianych domach. Były brzydkie, pełne przeciągów i śmierdzący niemytymi ciałami. Gorzko rozbawiony w duchu, z powagą skinął głową.

- Przygotuję ci jakieś posłanie, musisz się też wymyć. Nie zamierzam tolerować pcheł i wszy.

Jonasz też chętnie by ich nie tolerował, gdyby tylko miał coś do posiedzenia w tej sprawie. Czuł, jak paskudne robactwo pełza po jego głowie i kroczu. Nie wiedział, kogo bardziej nienawidził: monstrum, które z niego zrobiono, czy tej kobiety, bo mu o tym przypomniwała.

## **ROZDZIAŁ DRUGI**

Carrie poprowadziła więźnia do stodoły, wsunawszy strzelbę pod ramię i owinawszy sznur wokół nadgarstka zabandażowanej ręki. Wewnątrz panował mrok, jednak by zapalić latarnię, Carrie musiałaby odłożyć strzelbę, a tego za nic nie chciała zrobić. Mężczyzna rozejrzał się wokół,-, zatrzymując wzrok na nowym boksie, który Darther kazał zbudować dla swojego wałacha. Tuż obok boksu stała prycza, na której sypiał Liam, gdy przyjeżdżał na farmę. Darther twierdził, że śmierdzący końmi i whisky Liam był dżokejem i trenerem, lecz dla Carrie był jedynie kolejną gębą do wyżywienia. Nie znosiła go równie serdecznie jak męża, ale wiedziała, że cieszył się specjalnymi prawami.

Dlatego gdy więzień przesunął się w stronę pryczy, mocno pociągnęła za sznur.

- Nie tam - oznajmiła, po czym zaklęła siarczyście. Mówienie do tego poganina było równie owocne, jak przemawianie do jej pioruńskiego muła.

Chwyciła za motykę i na klepisku wyrysowała kolejną linię. Potem wskazała na nią zdecydowanym ruchem i zaczęła gwałtownie kręcić głową, by Indianin zrozumiał, że tej granicy także nie wolno mu przekraczać.

Kiedy lekko skinął głową, ucieszyła się, że jednak coś dociera do tego draba. Teraz musiała wymyślić, jak umożliwić więźniowi wychodzenie na dwór za potrzebą, lecz zarazem udaremnić ucieczkę. Przywiązywanie go sznurem nie miało sensu, bowiem bez trudu mógłby go przeciąć jednym z walających się po stodole zardzewiałych, połamanych narzędzi. No cóż, gdyby chciał, mógłby wyszarpnąć jej z rąk postronek i uciec. Zapewne tylko strzelba powstrzymywała go od tego, co oznaczało, że przez cały czas będzie musiała mieć ją pod ręką.

Carrie podeszła do ściany i wybrała jeden z wiszących tam długich łańcuchów, po czym kłódką przymocowała jeden koniec do kajdan na nogach więźnia, zaś drugi do skobla przy wrotach stodoły. Zabrało jej to sporo czasu i kosztowało wiele bólu, bo musiała chorą ręką trzymać ciężką strzelbę, a zdrową manipulować przy łańcuchu, ale dzięki temu w razie potrzeby więzień mógł teraz wyjść na zewnątrz.

- Sądzę, że tak ci będzie wygodnie. Musisz tylko uważać, by się nie zaplątać w ten łańcuch - oznajmiła i pokręciła głową. Po co wciąż na darmo na darmo strzepi sobie język?

Mężczyzna milczał cały czas, ale pilnie śledził każdy jej ruch. Carrie wolałaby już, żeby narzekał i utyskiwał w swoim narzeczu. Nie rozumiałaby ani słowa, ale byłoby to lepsze od tej głuchej ciszy. Indianin w coraz bardziej niepokojący sposób przypominał jej wygłodzonego szczeniaka, który pewnego zimowego dnia znalazł się na jej progu. Jedno spojrzenie wystarczyło, by całkowicie podbił serce Carrie. Miał skudłone, jasnobrązowe futerko i wielkie, złociste ślepka błagające o miłość.

A raczej, jak się okazało, błagające o żarcie, ale Carrie wówczas nie przyszło to do głowy. Zabrała psiaka do chaty i zrobiła z siebie kompletną idiotkę, przemawiając doń czułymi słówkami i ubijając dla niego jajka z

maślanką, którą oszczędzała na upieczenie wielkiego bochna kukurydzianego placka. Nieszczęsny kundel wylizał miszkę do czysta, rozchlapując kleistą maź po całej podłodze. Zaraz potem wysusiał się, ugryzł Carrie w rękę i pomiędzy jej nogami czmychnął na dwór, zostawiając za sobą pchły, sierść i bałagan.

Zamknięty w stodole nieszczęśnik wyglądał, jakby nie jadł od tygodni. I choć brzmiało to nieprawdopodobnie, był jeszcze brudniejszy od tamtego szczeniaka. Poza tym jego oczy nie były żółte, tylko szare i z całą pewnością nie błagały o miłość. Zresztą Carrie w żaden sposób nie mogła sobie pozwolić na słabość i sentymenty, mając do czynienia z zatwardziałym przestępcą.

Przykuty łańcuchem do wrót stodoły Jonasz patrzył za nią w zamyśleniu, gdy ruszyła w stronę chaty. Potem uniósł głowę, zamknął oczy i wyrzucił z siebie potok przekleństw w trzech językach. Postąpiłby o wiele rozsądniej, gdyby zamiast budować nowe życie, powrócił do rezerwatu.

Ignorując ciężkie kajdany, podniósł się, by sprawdzić zakres swojej wolności. Obszedł dookoła zagraconą stodołę, przyglądając się narzędziom. Wszystkie były zardzewiałe, ale i tak przydatne dla jego celów. Ta kobieta była kompletną idiotką... lecz on był jeszcze głupszy. Mógł ją powalić i związać, odebrać kluczyk i uciec.

Jonasz wybrał krótki kawałek drutu. To były bardzo stare kajdany. Kilka ruchów wystarczyło, by obie obręcze otwały się z lekkim trzaskiem. Zdjął je z obolałych kostek i zaczął badać otarte do żywego, krwawiące ciało. Zapropowała mu, żeby podróżował na wozie. Dumnie odmówił, ale co po dumie, jeżeli stopy mu zgniją i odpadną od reszty ciała?

Gdy usłyszał szcęk otwieranych i zamykanych drzwi chaty, błyskawicznie włożył żelazne obręcze na nogi i potulnie przycupnął na stercie siana. Kiedy kobieta stanęła w drzwiach, nie zauważyła niczego podejrzanego.

- Przyniosłam ci coś do zjedzenia i koc.

Nie miała już ze sobą strzelby, a jej głos brzmiał bardziej nieśmiało. Rozejrzała się nieufnie, po czym obok framugi położyła koc i postawiła talerz z plackiem kukurydzianym okraszonym skwarkami.

- A tutaj masz wodę - oznajmiła, wciągając zardzewiałe wiadro do środka. - Napij się do woli i trochę się obmyj. Jutro zabiorę cię nad strumień i tam porządnie się wyszorujesz.

Wyraźnie złagodniała, lecz nadal odnosiła się do niego, jakby był stworzeniem głępszym od tego żalostnego muła. I być może miała rację, pomyślał z gorzkim rozbawieniem.

Jonasz w bezruchu przyglądał się Carrie. Była bardzo drobna nawet jak na kobietę, a w bezkształtnej, perkalowej sukience luźno zwisającej z ramion przypominała dziecko. Co zresztą nie miało znaczenia, bo tak dzieci, jak i kobiety potrafiły być okrutne, gdy miały do czynienia z istotami, które uważały za odmieńców.

Kiedy dobiegł go aromat świeżego ciasta i skwarek, kiszki ścisnęły mu się z głodu. Od chwili, gdy opuścił własną farmę, prawie nic nie jadł, ale szybciej padłby trupem niż rzucił się na talerz niczym zgłodniałe, dzikie zwierzę.

- No cóż... - zawahała się, jakby wcale nie miała ochoty odchodzić, a Jonasz chciał krzyknąć: „Idź stąd, kobieto! Zostaw mi choć odrobinę godności!”. - Jutro rano zaczniemy karczować pole. Wcześniej przyniosę ci jedzenie i zaprowadzę do strumienia, byś mógł się umyć. Hm... a ten koc... Wiem, że teraz jest gorąco, ale nad ranem bywa chłodno.

Z gardła wyrwał mu się dziki pomruk. To podziałało. Kobieta wycofała się w popłochu, a on roześmiał się w duchu. Tyle, że tak naprawdę chciało mu się płakać.

Ponieważ Carrie nie przyniosła kubka, musiał pić prosto z wiadra. Resztę wody wylał sobie na głowę. Placek smakował wspaniale, był niemal równie dobry jak ten, który pamiętał z lat młodości.

Jego młodość...

Jonasz Longshadow ułożył się na plecach, wbił wzrok w stryszek na siano i zadumał nad kolejami losu, które z chaty leżącej nad Czerwoną Rzeką przywiodły go do tego miejsca. Był Metysem. Ojciec, biały żołnierz, zgwałcił jego matkę, kobietę ze szczepu Kiowa. Kiedy był małym chłopcem, inne dzieci często mu dokuczały z powodu płynącej w jego żyłach krwi białego człowieka, a gdy stał się podrostkiem, starszyzna plemienna przyglądała mu się baczniej niż innym. Dlatego Jonasz ze wszystkich sił starał się udowodnić swą wartość, gromiąc wrogów ludu jego matki. Nie znał strachu i walczył jak szaleniec, uznał bowiem, że nie ma nic do stracenia.

Ale tak naprawdę celował w chwytności i układaniu dzikich koni. Już jako osiemnastolatek świetnie sobie radził z tabunami mustangów przemierzającymi terytoria plemienia.

Cztery lata później, wiosną 1875 roku, gdy wrócił po podchodach na wspaniałego ogiera, żołnierze z Fortu Sill napadli na jego wioskę. Porywali każdego wojownika, jaki wpadł im w ręce i Jonasz, noszący wówczas inne imię, został zagarnięty z siedemdziesięcioma innymi ludźmi.

Był zbyt dumny, by tłumaczyć, czym naprawdę się zajmował, tym bardziej że nosił czerwoną szarfę, świadczącą i o przynależności do Kointsengi, czyli Bractwa Dziesięciu Najdzielniejszych, elitarnego związku wojowników plemienia. Razem z pozostałymi zakuto go w kajdany i odesłano do Fortu Sili. Tam umieszczono ich w niedokończonej chłodni i raz dziennie rzucano kawałki surowego mięsa. W końcu nadszedł dzień, kiedy wysłano ich do St Augustine na Florydzie. Longshadow sądził, że gdy tylko dojadą do miejsca przeznaczenia, zostaną straceni, lecz skazano ich na bezterminowe więzienie. Myślał, że to żadna różnica, aż spotkał porucznika Richarda Henry'ego Pratta.

Pratt był zupełnie inny niż biali żołnierze, z którymi Longshadow miał przedtem do czynienia. Brał udział w walkach z wojownikami Kiowa, ale nie żywił wobec nich wrogich uczuć. Nie zamierzał ich karać za obronę ojczystej ziemi, lecz starał się edukować. Rozkazał, by więźniowie zbudowali sobie sami

koszary, a potem przeniósł ich tam z lochów Fortu Marion. Załatwił im pracę piekarzy, marynarzy, rybaków i parobków rolnych, za co otrzymywali skromne zarobki. Najął też białe kobiety, które nauczyły więźniów mówić, czytać i pisać po angielsku.

Longshadow błyskawicznie zrozumiał, jak potężnym narzędziem może być wykształcenie, a ponieważ okazał się wyjątkowo pojętym uczniem, szybko poznał tajniki kultury białych ludzi.

Po trzech latach porucznik Pratt przekonał swoich przełożonych, że jego więźniowie zostali dobrze wdrożeni do nowego stylu życia, dzięki czemu odzyskali wolność. Większość powróciła do rezerwatu, ale niektórzy postanowili pozostać na wschodzie.

Wśród nich znalazł się Longshadow. Jego matka nie żyła. Gdyby wrócił, mógłby poruszać się jedynie po obszarze zamkniętym niewidzialnymi granicami. Dawny świat ludu Kiowa przestał istnieć. Jego nauczycielki opowiadały mu o Drodze Jezusa i o Drodze Oracza. Pierwszej nie rozumiał, druga do niego nie przemawiała. Wybrał więc morze. Przez kilka następnych lat oszczędzał pieniądze, które zarabiał jako marynarz, poznał bowiem potęgę złota. Tylko dzięki niemu mógł ziszczyć swoje marzenie, to znaczy założyć hodowlę wspaniałych, rączych koni.

Jako więzień pływał dla kompanii handlującej w Indiach Zachodnich. Gdy został ułaskawiony, wrócił na statek, bo ze wszystkich możliwości ta wydawała mu się najznośniejsza. Życie na morzu przypominało mu dawne czasy, gdy jego świat był dziki, wolny i nieograniczenie wielki. Mimo że czytał, pisał i mówił literacką angielszczyzną, utrzymywał to w sekrecie, bo szybko przekonał się, iż marynarze nie tolerują Indianina, który wystawia się poprawniej i piękniej od nich. Chociaż bezgranicznie zaufał Prattowi, nie umiał zaufać innym białym ludziom.

Przed opuszczeniem koszar obiecał Prattowi, że kiedyś pomoże jakiemuś białemu człowiekowi, który znajdzie się w potrzebie. Uzgodnił też z



porucznikiem, że ten będzie odbierać wszystkie jego zarobki i składać na koncie na nazwisko Longshadowa. Za każdym razem, gdy zawijali do macierzystego portu, Pratt przedstawiał mu wyciągi bankowe i gratulował zdrowego rozsądku. Inni marynarze natychmiast przepijali lub przegrywali w karty swoje pieniądze, on natomiast śledził, jak powiększa się stan jego konta. Wpatrywał się w papiery z banku i oczyma wyobraźni już widział pięknego ogiera i kilka silnych, dorodnych klaczy, które pewnego dnia kupi za swoje oszczędności.

Nosił w sobie to marzenie przez cztery lata, a tymczasem - jeden po drugim - trzy okręty, na których służył, zatoniły w czasie gwałtownych nawałnic. Za każdym razem Longshadow, z kilkoma innymi członkami załogi, znajdował się wśród ocalałych. Wtedy też jego towarzysze zaczęli go nazywać Jonaszem, twierdząc, że jego obecność na pokładzie wróżyła katastrofę.

Zaakceptował to imię. Pochodziło z Księgi Jezusa. Odrzucił tę drogę, ale zgodził się na Jonasza, by zawsze pamiętać, że ani jego własny bóg, zwany Taime, ani Jezus nie uchronili go od kary za przewiny, których nie popełnił.

Carrie zebrała się w sobie. Nadszedł czas, by stawiała czoło gburowatemu więźniowi i zapędziła go nad strumień. Jeżeli ma z nim pracować, on musi wyszorować się do czysta. Znosiła smród swojego męża, bo musiała - inaczej zatłukłby ją na śmierć. Darther, choć taki elegant, nienawidził kąpieli i zawsze śmierdział whisky, cygarami i zatęchłym potem.

Nie zamierzała znosić czegoś równie paskudnego ze strony swojego więźnia, ostatecznie zapłaciła za niego całe dwa dolary. Zresztą kiedy sam się przekona, jak przyjemnie pozbyć się smrodu i robactwa, sam będzie nalegał, by kąpać się przynajmniej raz w tygodniu.

Sama szorowała się codziennie w dużej miednicy albo w kąpielowej balii, natomiast w lecie z lubością pławała się w strumieniu. Myła włosy i całe ciało najlepszym mydłem, w którym obok tłuszczu, popiołu i ługu znajdowały się także pokruszone owoce laurowe, dodawane dla słodkiego aromatu. Kiedy

siedziała w wodzie, oddawała się najpiękniejszym marzeniom, a nurt zmywał z niej wszystkie trudy i troski dnia.

Teraz, wczesnym rankiem, z ręcznikiem na ramieniu, springfieldem pod pachą i kawałkiem zwykłego ługowego mydła w kieszeni fartucha, Carrie wyszła na podwórze. Nad polaną wciąż unosił się nocny opar spowijający gęstym całunem sosny i figowce. Carrie zamierzała wyciągnąć z ziemi parę wielkich pniaków i rzucić je na stos do spalenia. Da sobie radę mimo zainfekowanej ręki, pokrzepiła się w duchu, zaciskając z determinacją zęby.

Rozrzucając po drodze ziarno dla kur, zawołała głośno i śpiewnie:

- Słońce na niebie. Pora wstawać!

Te słowa dzwięczały w głowie Carrie, od kiedy tylko sięgała pamięcią, dlatego często wypowiadała je głośno, nawet gdy w okolicy nie było nikogo, kto mógłby je usłyszeć, z wyjątkiem kilku kur i tępego muła. Za żadne skarby nie mogła sobie przypomnieć, czy swego czasu wygłaszał je ktoś z jej rodziny, czy też jedna z misjonarek udzielających jej schronienia po masakrze. Jednak gdy je wypowiadała, od razu czuła się mniej osamotniona.

Poza tym „Słońce na niebie. Pora wstawać!” brzmiało o wiele lepiej niż sentencja głoszona co rano przez jej wuja: „Zbieraj swoją leniwą dupę i bierz się wreszcie do pracy, dziewucho!”.

Natomiast Darther nawet tak się nie wysiłał. Jeżeli już obudził się rankiem, co należało do rzadkości, bo będąc w domu, zwykle do świtu pił na umór z Liamem, częstował ją silnym kopniakiem i Carrie lądowała na podłodze.

- Boże, jak ja nienawidzę tego człowieka - wymamrotała pod nosem. Rzuciła kurom ostatnią garść zboża, otrzepała dłonie i krzyknęła głośno w stronę stodoły: - Słońce na niebie, pora wstawać! No już! Czas ucieka!

Więzień zapewne nie rozumiał jej słów, ale przynajmniej uświadomiła mu, że nie ma mowy o przesypianiu całego dnia.

Lecz Jonasz nie spał już od wielu godzin. Leżał na plecach, na szorstkim kocu i nie wstawał jedynie dlatego, że podobał mu się zapach przesyconej

owczym tłuszczem wełny. Przypominał mu zapach koców, pod którymi sypiał jako chłopiec w domu swojej matki.

Zgrzytając zębami z bólu, zatrzasnął żelazne obręcze wokół kostek i przymocował długi łańcuch, po czym wstał, otrzepując z koca źdźbła siana i składając go starannie w kostkę. Jeżeli za chwilę nie pojawi się na podwórzu, ta kobieta przyjdzie po niego, taszcząc pod pachą przeklętego springfielda. Jonasz miał wielką ochotę chwycić za lufę strzelby i...

Nie, to bez sensu. Żadna chuda, głupia biała kobieta o bezbarwnych włosach i mózgu wielkości orzecha nie była warta zaprzepaszczenia szansy na odzyskanie wolności. Oczyszczenie własnego imienia już i tak było ciężkim zadaniem, bez sensu więc było dorzucać do tego oskarżenie o usiłowanie morderstwa.

Kiedy stanęła w drzwiach, przez dłuższą chwilę w milczeniu mierzyli się wzrokiem. Nie była aż tak bezkształtna, jak z początku sądził, a jej włosy nie były bezbarwne, lecz po prostu bardzo jasne. Wyglądały, jakby zostały obcięte tępym nożem. Wiły się miękko wokół twarzy, kłócąc się z mocno zarysowaną linią szczęki, która z kolei nie pasowała do maleńkiego nosa i wielkich, nieufnych oczu.

Jonasz czekał, by się odezwała, zastanawiając się czy przestanie go uważać za groźnego dzikusa i zacznie mówić do niego jak do normalnego człowieka. Uznał przy tym, że wcale nie jest okrutna, tylko przerażona.

- Dzień dobry. Wygląda na to, że czeka nas kolejny bezdeszczowy dzień - powiedziała w końcu, odczepiając łańcuch od skobla. A zaraz potem, przypominając sobie, z kim ma do czynienia, oznajmiła głośno: - Kąpiel. Strumień. Idziemy.

Sama idź do swojego piekła białych ludzi, miał ochotę odpowiedzieć, ale w porę ugryzł się w język. Jeszcze przyjdzie jego czas. Życie nauczyło Jonasza cierpliwości.

Strumień był szeroki, przejrzysty i dość płytki. Sądząc po śladach, poły się tu sarny i różne drobne leśne zwierzęta. Jakiś czas temu klęczał tu także człowiek, zapewne ta kobieta coś prała bądź nabierała wody. Drzewa wysuwały konary daleko ponad wodę, zrzucając liście, które leniwie dryfowały z nurtem.

Jonasz odwrócił się w stronę kobiety i pytająco uniósł brew, zanim dotarło do niego, że taki gest bardziej przystoi myślącej istocie niż tępemu Metysowi.

- Proszę. Mydło - oznajmiła, wręczając mu tłustawą grudkę. - Musisz się namoczyć, a potem się tym natrzeć - tłumaczyła, ilustrując swoją przemowę odpowiednimi gestami, co zirytowało i zarazem rozbawiło Jonasza. - I żebyś przypadkiem nie próbował uciekać. Pamiętaj, że mam słuch nietoperza.

I rozum dżdżownicy, pomyślał Longshadow, teraz już na dobre ubawiony. Kobieta owinęła łańcuch dookoła nadgarstka zabandażowanej ręki, w drugiej zaś z ledwością utrzymywała ciężkiego springfielda. Czy strzeliłaby mu w plecy, gdyby przeczłapał przez strumień i wygramolił się na przeciwległy brzeg? Szczerze w to wątpił. Podejrzewał, że ta kobieta nie miałaby dość siły, by unieść broń, nie wspominając już o przymierzeniu się do celu.

Niezdarnie odwinęła łańcuch z nadgarstka i zamotała o wysunięty konar drzewa. Jonasz bez trudu mógłby zerwać łańcuch z gałęzi, ale na co by się to zdało? Nie obawiał się już strzału w plecy, bowiem nabierał coraz większego przekonania, że strzelba nie jest nabita, łatwo też pozbyłby się kajdan. Mógłby więc stąd czmychnąć. Tylko po co?

Był tutaj jedynie dlatego, że sam tego chciał, a nie przymuszany przez białą kobietę, powiedział sobie w duchu. Zsunął się z brzegu i z lubością stanął w sięgającej do kostek wodzie, zaraz jednak zacisnął gwałtownie powieki, bo rany pod żelaznymi obręczami zaczęły piec żywym ogniem.

- No już, zabieraj się do mycia - burknęła kobieta. - Nie mamy na to całego dnia.

Rozkosz i ból, ból i rozkosz. I jedno, i drugie było zdecydowanie lepsze od tępej wegetacji w więziennej norze.

- Użyj mydła! - wykrzyknęła z brzegu.

Spojrzał na bezkształtną grudkę, którą trzymał w dłoni. Pachniała obrzydliwie, ale potrzebował jej, by zmyć z siebie smród więzienia. Był wciąż w tej samej starej koszuli i płóciennych spodniach, jakie miał na sobie, gdy przyszli po niego ludzie szeryfa. Jakżesz nędznie musiał wyglądać! Niegdyś dumny wojownik i członek Bractwa Dziesięciu Najdzielniejszych, teraz był żalonym więźniem małej, głupiej kobiety.

Odwrócił się i spojrzał na zakole, za którym strumień ginał w lesie. Jak daleko stąd leżała jego farma? Czy gdyby ruszył w dół strumienia, dotarłby do swojej ziemi?

Wiedział, że kobietę gnębi niepokój. Czuł jej wzrok na plecach. Czy naprawdę przypuszczała, że na jej oczach będzie szorował miejsca, które najbardziej wymagały szorowania? Czyżby była aż tak bezwstydna?

Nie, nie bezwstydna. Ona widziała w nim jedynie nędzne stworzenie, nieomal zwierzę, wobec którego nie ma potrzeby bawić się w żadne subtelności. Jak mocno boli urażona duma! Jonasz pragnął tylko jednego: by ta żalona, wyblakła i piegowata kobieta wraz ze swoją przeklętą strzelbą zapadła się pod ziemię.

Musiał coś z tym zrobić. Powoli odwrócił się w jej stron, skrzyżował ramiona na piersi i uśmiechnął się. To nie był miły uśmiech i jej twarz zarumieniła się z gniewu. Kobieta uniosła strzelbę i rozstawiła lekko nogi, usiłując utrzymać broń na przedramieniu. Bała się, co sprawiło Jonaszowi wielką przyjemność. Patrząc jej prosto w oczy, powoli rozkrzyżował ramiona, chwycił koszulę w obie ręce i nagłym ruchem ściągnął przez głowę.

Kobieta wytrzeszczyła oczy, a strzelba zakołysała się gwałtownie. Cały czas wpatrując się w nieufne, kobiece oczy, Jonasz sięgnął do rozporoka i rozpiął trzy guziki.

W tym samym momencie lufa springfielda zaryła w piachu, a spodnie owinięły się wokół kostek Jonasza. Z trudem powstrzymał głośny wybuch śmiechu. Czyżby ta głupia kobieta nie rozumiała, że dopóty nie ściągnie portek, dopóki będzie miał nogi skute tym przeklętym żelastwem?

Carrie oniemiała, a potem gwałtownie się odwróciła. Nie zdołała jednak ukryć błysku podziwu w oczach, gdy zobaczyła obnażone ciało więźnia.

Niestety Jonasz nie był w stanie w pełni rozkoszować się tym drobnym triumfem. Za bardzo paliły go kostki i swędziała od dawna niemyta skóra.

Pochylił się i z dna strumienia nabrał pełną garść żwiru, po czym zaczął nim trzeć całe ciało. Ponieważ kobieta nadal stała odwrócona, mógł w pełni rozkoszować się prywatnością, szorować, drapać i mruzczyć z zadowolenia.

- Pospiesz się. Nie mamy dużo czasu! - zawołała po chwili, nadal przezornie nie patrząc na niego.

Jonasz mógłby rozkoszować się kąpielą bez końca, nie chciał jednak przesadzić i wreszcie zakończył ablucje. Nie zamierzał jednak wciągać na siebie brudnego ubrania, dlatego zwiniętą koszulą zasłonił genitalia i znacząco chrząknął. Gdy kobieta zerknęła przez ramię, wymownie gestykulując resztką mydła, pokazał jej, co chce zrobić.

Carrie skinęła głową, byłoby przecież bez sensu, gdyby na czyste ciało wciągał zawszone ubranie.

- Tylko się pospiesz, do pioruna! - zaklęła, aby dodać sobie animuszu. Zabrzmiało to tak samo jak wtedy, gdy przemawiała do swojego opornego muła.

Zajęła się kontemplowaniem pąków kapryfolium, twarzo pilnując się, by nie zerkać na więźnia. Było to jednak zadanie naprawdę trudne, jako że ten mężczyzna wyglądał jak... no, po prostu wspaniale... a jego skóra wcale nie była czerwona, tylko koloru dojrzałego migdału czy też orzecha laskowego.

Ma takie prężne ciało, żadnych wałków i obwisłości, inaczej niż Darther. Jak by to było, gdyby... Carrie Adams, natychmiast przestań! - spłonęła się od tych myśli. Jak możesz?!

Wyczuła, kiedy bezpiecznie może się odwrócić. Więzień był już ubrany, chociaż mokre spodnie i koszula w taki sposób przylegały mu do ciała, że znów poczuła się nieswojo. Gdy przyłapała się na tym, że znów wlepia w niego cielejący wzrok, skinęła gwałtownie głową w stronę ścieżki i ruszyli w drogę. Więzień postępował przodem, a za nim maszerowała Carrie ze springfieldem. Usiłowała się skupić na pracach, które zamierzała wykonać przed końcem dnia, ale jej wzrok wciąż zatrzymywał się na ciemnych, mokrych włosach Indianina, na jego sylwetce, ruchach... To nie był pokorny niewolnik, o nie! Mimo że spętany łańcuchem, wciąż miał w sobie wiele arogancji i buty... czy raczej dumy. I naprawdę jako mężczyzna robił wrażenie...

To dwunożny muł, Carrie, nic więcej! - tłumaczyła sobie. Pięć pozostałych po ściętych drzewach pniaków do wyrwania, tylko to się liczy. Co ci do tego, jak ten Indianiec wyglądał nagi? Miała ważniejsze sprawy na głowie. Gdyby udało im się usuwać po pięć karczów dziennie, pole wkrótce zostałoby oczyszczone, a potem ręka się zagoi i Carrie będzie mogła zaorać tę ziemię i wydobyć na powierzchnię wszystkie korzenie chwastów, by wymarły w czasie zimowych miesięcy.

Myśl tylko o tym, Carrie, a nie o...

Lecz on był piękny! Kiedyś przypadkiem zobaczyła swojego wuja, jak siedział w balii, to znaczy ujrzała szpiczaste kolana, chude ramiona i łysą głowę. Natomiast Darther... Wzdrygnęła się z obrzydzenia. Jej mąż był blady jak serwatka, miał wałki tłuszczu, a pomiędzy nogami coś małego i sflaczałego, zwisającego smętnie niczym zdechła dżdżownica.

Natomiast ten mężczyzna...

Gdy znaleźli się w stodole, wskazała na muła a potem i na specjalną uprząż, którą Carrie skonstruowała do wyciągania z ziemi pniaków. Więzień skinął głową, po czym zabrał się za zaprzęgnięcie muła. Sorry, ten parszywy zdrajca, ani razu nie próbował go kopnąć czy ugryźć, chociaż nienawidził być zaprzęgnięty do czegokolwiek.

Przynajmniej gdy robiła to Carrie.

Koniński mu! Pioruński, podstępny Indianin!

Posłała mu gniewne spojrzenie, ale ponieważ zaczęli pracę później niż zazwyczaj, nie było czasu na reprimendy. Tym bardziej że myśli Carrie znów powędrowały w niewłaściwą stronę.

Zachowuj się, to tylko więzień! - napomniała się srogo. Złodziej albo nawet morderca. Potrzebujesz go, bo masz chorą rękę, więc przestań myśleć o jego... ruchach... włosach... ramionach... o jego ciele!

Wskazała na drogę wiodącą na pole i puściła muła oraz Indianina przodem. Bez jednego słowa ponaglenia parszywy zwierzak ochoczo ruszył przed siebie i przez całą drogę szedł łagodnie jak baranek, ciągnąc za sobą uprząż, natomiast Carrie usilnie zastanawiała się, jak będzie przekazywać polecenia człowiekowi, który nie mówił po angielsku.

No cóż, nawet jeżeli był kompletnym matołkiem, chyba pojmie kilka prostych komend. Carrie, odpędzając obraz pięknego, nagiego mężczyzny stojącego w strumieniu, rozpoczęła przemowę:

- Najpierw trzeba podkopać mniejsze korzenie, by dostać się do najgrubszych - oznajmiła zrzędliwie. - A gdy Sorry wywróci pniak, trzeba odpiłować główny korzeń i wyciągnąć karcz z gruntu. O Boże, ale ty i tak nic nie rozumiesz! - Potrząsając z frustracją głową, wskazała na największy z pięciu pniaków, które zamierzała dzisiaj usunąć. - Kop! - Wskazała na szpadel.

Zaczęli pracę bardzo późno i upał stał się nieznośny. Carrie z tęsknotą pomyślała o rozkoszach kąpieli w strumieniu. Mieszkała na odludziu, nie bała się więc ciekawskich oczu, musiała tylko uważać na pełzające przy brzegu węże. Siedząc w wodzie, mogła się porządnie wyszorować, a także napawać się spokojem i marzyć, lub przywoływać z pamięci historyjki, które przeczytała, gdy chodziła do misyjnej szkoły. Wtedy bardzo lubiła czytać. W ogóle dobrze się uczyła, chociaż wiele z tamtych nauk zdążyła już zapomnieć.



Teraz będzie musiała sobie odmówić przyjemności kąpieli w strumieniu i przywoływania miłych wspomnień. Nie ośmieli się siedzieć w wodzie, mając świadomość, że jej więzień znajduje się w pobliżu, nawet gdyby zamknęła go w stodole. Poza tym od dzisiaj, ilekroć znajdzie się nad strumieniem, będzie stawać jej przed oczami obraz mężczyzny o pięknym, muskularnym ciele i szarych, kpiących oczach.

Do tego pioruńsko bolała ją ręka. Co trzy dni lała na ranę terpentynę i wciskała w nią cukier, tak jak nauczyła ją Emma, ale bandażowanie zranionego miejsca jedną ręką sprawiało wiele kłopotu. Gdyby ten więzień był normalnym przestępcą, a nie dzikim poganinem, no i gdyby nie zobaczyła go nago, poprosiłaby go o pomoc, ale w takiej sytuacji nie wchodziło to w rachubę.

- Do roboty - warknęła tonem, jakim zwykle zwracała się do Sorry'ego.

Nim słońce przejdzie na drugą stronę nieboskłonu, zamierzała wyciągnąć z ziemi trzy z zaplanowanych pięciu pniaków. Posługując się gestykulacją i kilkoma prostymi słowami, wytłumaczyła mężczyźnie, jak zabrać się do pracy, a potem oparła strzelbę o pobliski karcz. Kiedy więzień odpiłowywał pierwszy z odsłoniętych korzeni, Carrie zabrała się za odkopywanie następnego. A gdy już wszystkie korzenie zostały podcięte, klnąc i pokrzykując, podprowadziła Sorry'ego, przymocowała uprząż do pniaka i uderzyła lejcami o zad muła.

- Teraz uważaj - powiedziała. - Patrz, jak się to robi.

Zaciągnęli pierwszy karcz na skraj pola i natychmiast zabrali się za następny. Muł, choć obdarzony parszywym charakterem, był niezwykle silny. Carrie zawsze musiała nieźle się nakłąć, żeby go zagonić do roboty, ale kiedy już ruszył, zdarzenia toczyły się bardzo szybko. Ziemia się rozstępowała, trzaskały korzenie i kolejny pniak wyskakiwał na wierzch.

Raz, w chwili triumfu, gdy udało im się pokonać pewien wielki, gruby korzeń, Carrie spojrzała na więźnia i radośnie się uśmiechnęła. Był zaskoczony, a nawet zażenowany. Oczywiście ona też się zawstydziała, i by pokryć

zmieszanie, zaczęła głośno kłać na muła. A potem chwyciła za łańcuch i pociągnęła mężczyznę do kolejnego karczku.

Jonasz był przyzwyczajony do ciężkiej pracy. Co prawda w rezerwacie większość robót wykonywały kobiety, bo mężczyźni zwykle polowali, prowadzili wojny lub snuli rozważania o szybko zmieniającym się świecie, lecz on każdą wolną chwilę poświęcał harówce przy koniach. Nie była to zresztą harówka, lecz czysta przyjemność. Rozumiał te zwierzęta o wiele lepiej niż ludzi, czy to czerwonoskórych, czy białych. Kiedy był więźniem, a potem wolnym marynarzem, też nie szczędził sił, ale najciężej pracował tuż po tym, jak zabrał pieniądze z banku i zajął się własną ziemią.

Hodowanie koni to szlachetne zajęcie. Nie miało nic wspólnego z monotonnym mazołem. W jego plemienu panowało przekonanie, że jeżeli mężczyzna chodził za pługiem, to trywialne zajęcie odbierało mu męskość i sprawiało, że upodabniał się do starej kobiety. Stawał się zasuszony, pomarszczony i do niczego jako mężczyzna.

Jonasz bał się, że jasnowłosa kobieta będzie go zmuszać do chodzenia za pługiem. Jak do tej pory tego nie zrobiła. Postępował zgodnie z jej wskazówkami, ale nie dawał z siebie nic więcej. Mógł o wiele bardziej ułatwić jej życie, ale nie chciał.

Drugiego dnia wyrysowała kolejną linię na ziemi, tym razem wyznaczającą obszar, który do zachodu słońca zamierzała wykarczować, by z nadejściem wiosny obsiać pole zbożem. Jonasz powiedział sobie w duchu, że tym będzie musiała się zająć bez jego pomocy, bo nim minie zima, on już od dawna będzie na własnej ziemi oczyszczony z wszelkich zarzutów.

Albo też biali ludzie znów wtrącą go do więzienia, a potem powieszą, jako że sprawiedliwość białego człowieka często nie miała nic wspólnego z prawdziwą sprawiedliwością.

Piłując grube, wilgotne korzenie doszedł do wniosku, że nie może ociągać się z działaniem. Wkrótce będzie musiał wyrwać się stąd, by przywieźć ukryte

papiery, które potwierdzą, że konie i grunty są jego prawną własnością, i musi tak to zrobić, by kobieta nie odkryła, że zniknął. Jest na zwolnieniu warunkowym i gdyby go złapano podczas ucieczki, zastrzelono by go bez wahania, nie dając szansy na udowodnienie niewinności.

Musiał wszystko precyzyjnie zaplanować, a w pierwszym rzędzie uspić czujność kobiety i wyleczyć nogi. W odpowiedniej chwili wyruszy po zapadnięciu ciemności, pobiegnie na swoją farmę, zabierze dokumenty i pędem tu wróci, by zdążyć przed rankiem. Gdy już będzie miał przy sobie dowód swej niewinności, zgodzi się popracować na tym przeklętym polu jeszcze jeden dzień. No cóż, ta kobieta karmiła go dobrze, a czasem, w rzadkiej chwili zapomnienia, częstowała go uśmiechem.

Pod koniec każdego dnia Carrie wprost padała z nóg, ale była szczęśliwa, bo praca szybko posuwała się do przodu. Nawet Sorry chętniej i posłuszniej wykonywał polecenia, gdy jej więzień znajdował się w pobliżu. Odnosiła wrażenie, jakby łączyło ich jakieś tajemne porozumienie. Ciągnie swój do swego, pomyślała, nie chcąc przyznać nawet przed sobą, że zazdrościła mułowi, który przynajmniej miał kogoś bliskiego.

Od chwili gdy przywiozła więźnia, Carrie nie odwiedziła jeszcze Emmy. Bała się zostawić Indianina samego, a nie śmiała zabrać go ze sobą, bo przyjaciółka, choć sama go naraiła, mogłaby wystraszyć się tego dzikusa. Biedna Emma doświadczyła już dość nieszczęść w życiu. Pogrzebała męża i wszystkie swoje dzieci, a teraz, nękana przez ciężki reumatyzm, mieszkała sama jak palec.

Co prawda Carrie musiała przyznać, że wyszorowany z brudu więzień nie wyglądał już tak groźnie. Był wprawdzie nędznie ubrany, ale czyż jej sukienka wyglądała lepiej? Za to jego długie, błyszczące mahoniowe włosy prezentowały się znakomicie. Carrie ścięła swoje na wiosnę, gdy złapała ją gorączka, a Emma powiedziała, że nie powinna przegrzewać ciała. Teraz więc zamiast starannie splecionych warkoczy miała na głowie burzę gęstych, lekko kręconych włosów,

które osiągnęły pewną długość, po czym przestały rosnać. Emma powiedziała, że to z powodu tego, co Carrie jadła, a raczej czego nie jadła.

Starła się odżywiać jak najlepiej, ale Darther z zasady nie zostawiał jej dość pieniędzy, by mogła choćby kupić wystarczającą ilość soli, nie mówiąc już o mące czy bekonie. Bardzo przydałaby się jej jakaś pioruńska krowa, ot co. Nieznośną kozę przehandlowała w Shingle Landing za całkiem spory zapas skondensowanego mleka, ale przecież z niego nie da się ubić masła. Za to kiedy już będzie miała swoje zboże, kupi krowę, sześć kolejnych kur i wieprzka. A może nawet aż dwa wieprzki.

Carrie miała jeszcze dodatkowy powód do radości. Przez cały dzisiejszy dzień zaklęła tylko raz, kiedy Sorry rozmyślnie nadepnął jej na nogę. Bardzo się starała, by wyzbyć się paskudnej mowy. Najważniejsze było jednak to, że już wykarczowali większość pola, a pniaki czekały na spalenie.. Carrie niespokojnie patrzyła w niebo, bojąc się rozniecać ogień w czasie takiej suszy. Emma mieszkała w chacie, która kiedyś należała do dzierżawcy, ale musiała się do niej przenieść, bo jej piękny, duży dom został spalony w czasie najazdu wojsk unii pod wodzą pułkownika Drapera i generała Wilda. Ich oddziały puściły wówczas z dymem kilkanaście siedlisk w hrabstwach Camden i Currituck.

Musiało to przypominać atak Indian, podczas którego Carrie straciła całą rodzinę. Od tamtej pory minęło już wiele lat i najgorszy ból minął, wiedziała jednak, że wspomnienia strasznej nocy będą ją prześladować aż do śmierci. Pamiętała z dzieciństwa piękny, przestronny dom, jednak gdy się nad tym logicznie zastanawiała, dochodziła do wniosku, że w rzeczywistości nie mógł być większy od chaty Darthera.

Tak czy owak, niewielki domek zupełnie jej wystarczał, byle tylko ziemia okazała się żyzna. Emma mówiła jej, że kiedyś rosła tu bawełna o wielkich puchatych kulach, bielutkich niczym śnieg. Carrie jednak nie zamierzała uprawiać bawełny, bo nie można nią się najeść, poza tym nie wiedziałyby, jak zabrać się do zbiorów.

Natomiast zboże... będzie wspaniałe. Rzędy wysokich, zielonych kłosów. Wystarczy mąki na chleb i placki, ziarna na nowy zasiew, na karmę dla zwierząt i na to, by wymienić je na perkal, sól i bekon. A potem Carrie wykarczuję kolejne grunty i posieje jeszcze więcej zboża.

Gdy wracali z pola do domu, powoli zapadał zmierzch, barwiąc wszystko na kolor lawendy. Sorry człapał za więźniem niczym wierny pies. Carrie nie czuła zazdrości, za to przepelniała ją satysfakcja, że udało im się zrobić tak wiele. Ona sama, nawet ze zdrową ręką, borykałaby się z tym do Bożego Narodzenia.

Uśmiechnęła się, spoglądając na więźnia. On też był wyczerpany. Jego nogi kępowały ciężkie kajdany, ale coś jeszcze było nie tak. Już się nie uśmiechała, tylko patrzyła z troską. Indianin kulał. Jeżeli nabawi się poważnej kontuzji, nie zdoła dłużej pracować i Carrie będzie musiała odwieźć go do więzienia. Znowu znajdzie się w punkcie startu, tyle że pozostanie jej dług u Emmy, bo szeryf na pewno już nie odda jej tych dwóch dolarów.

Przygryzając nerwowo usta, przerzuciła strzelbę na drugie ramię. Już nawet nie udawała, że mierzy w stronę Indianina. Podczas wspólnej pracy nie mogła trzymać sprigfielda przy sobie i jej groźne uzbrojenie stało się fikcją.

Mężczyzna wyraźnie kulał. Na pewno z powodu tych ciężkich kajdan. Pozwalały mu chodzić, ale nie mógłby w nich biegać. Gdyby nie ostrzeżenia i przykazania szeryfa, już dawno by mu je zdjęła, bo wtedy byłby w stanie wykonać dwa razy więcej pracy. Jednak jeśli go oswobodzi z żelastwa, sama znajdzie się w trudnej sytuacji. Miała jedną niesprawną rękę, a w drugiej musiałaby stale trzymać ciężką strzelbę. Poza tym Carrie przypuszczała, że więzień dobrze wiedział, że i tak by do niego nie strzeliła. Gdy byli już na podwórku, nadal nie wiedziała, jak powinna postąpić. Bardzo zdenerwowana, zatrzymała się gwałtownie i krzyknęła:

- Hej tam. Prrrr... Ty też, Sorry.

Jonasz skrzywił się. Ta kobieta odnosiła się do niego tak samo jak do muła. No, ale Sorry'ego stale obrzucała wyzwiskami, co jemu szczęśliwie było darowane. Swoją drogą, ten muł nie był ani głuchy, ani tępy, tylko potrzebował czasu, by zdecydować, czy posłuszeństwo będzie się opłacać.

Zmartwiona Carrie wbiła wzrok w stopy więźnia. Duma nie pozwalała Jonaszowi przyznać się do bólu, tak jak wcześniej kazała mu zataić, że zna angielski. Złapany we własne sidła, spokojnie znosił dni pełne bólu i upokorzenia, zastanawiając się przy tym, czemu ta uparta kobieta nie chce dostrzec najprostszej prawdy - że mężczyzna ze skutymi nogami nie może dobrze pracować. Gdyby myślała rozsądnie, już dawno by go rozkuła, spokojnie sobie usiadła i trzymając na muszce, pozwoliła, by wykarczował to przekłete pole. Jeżeli już musiał wkroczyć na Drogę Oracza, chciał jak najszybciej mieć to za sobą.

- Noga... hm... boli?

Zatroskana wskazała na jego kostkę. Jonasz słyszał, jak dozorca przykazywał jej, by zwróciła więźnia w dobrym stanie, zapewne więc martwiła się o swoją inwestycję.

Wiedział, że ma klucz od kajdan w kieszeni, tej samej, do której rano włożyła dwa kawałki bekonu i placek kukurydziany. Zjedli to wszystko w południe, w przyjaznej ciszy, siedząc w cieniu żywopłotu. Przez tę jedną chwilę wydawało się nawet, że mogą zostać... no może nie przyjaciółmi, ale na pewno już nie zapiekłymi wrogami.

Ku jego wielkiemu zdziwieniu kobieta opadła przed nim na kolana. A kiedy dotknęła jego stopy, aż powstrzymał oddech z wrażenia, nie zdołał jednak powstrzymać się od stłamszonego pod nosem przekleństwa, gdy pod jej dotykiem połówki żelaznych obręczy wbiły się w jego poranione do żywego ciało.

Na widok zakrzepłej krwi zmieszanej z ziemią wyjęczała z przerażeniem:

- O słodki Jezu! Ciało zdarte do samiutkiej kości.

Zaciskając powieki z bólu, Jonasz próbował uciec myślami w inne miejsce i czas. Tym razem jednak nie zdołał. Oddychał szybko i płytko, czekając, aż ból ustąpi. Poprzedniego wieczoru oderwanymi od koszuli pasami owinął rany na nogach, a także wysmarował je znalezionym mazidłem do końskich kopyt, ale kawałki materiału jedynie skleiły się z krwawą mazią, za każdym ruchem szarpiąc obolałe ciało.

- Będę musiała to obmyć i zatkać terpentyną z cukrem. Emma, moja przyjaciółka, która zna się na tych sprawach, powiedziała, że to najlepsze lekarstwo na krwawe zranienia.

Wciąż klęcząc, podniosła wzrok i wówczas dojrzał w jej oczach szczyry żal i zatroskanie. Jonasz poczuł się tak, jakby przełknął grubą, ostrą ość. Obawiał się, że zdarzyło się coś nieodwracalnego.

Dłoń kobiety wciąż spoczywała na podbiciu jego bosej stopy. Ona sama też była bosa. Do tej pory tylko raz widział ją w trzewikach, ale tak zniszczonych, że mało co chroniły przed kłującym igliwem i ostrymi kamieniami.

On był boso tylko dlatego, że podczas aresztowania nie pozwolono mu zabrać ze sobą nic ponad to, co miał na sobie. Nie zgodzono się, by wyjął ze skrytki akt własności gruntu i inwentarza, wdział buty, ani zabrał ze sobą dokument podpisany przez porucznika Pratta, który stwierdzał, że Jonasz Longshadow został ułaskawiony przez rząd Stanów Zjednoczonych.

- Tak mi przykro - wyszeptała kobieta. - Wiem, że mnie nie rozumiesz, ale wierz mi, nie pozwoliłabym, by coś podobnego spotkało choćby dzikie zwierzę. Kiedyś widziałam wilka, który odgryzł sobie łapę, by uwolnić się z wnyków i od tamtej pory...

A więc był dla niej niczym dzikie zwierzę złapane w potrzask! Nie wiedział, czy się śmiać, czy płakać, wiedział natomiast, że jeżeli ta kobieta natychmiast nie zabierze dłoni z jego stopy, on może zrobić coś, czego potem będzie żałować.

Chwilę później Carrie zaprowadziła muła do zagrody, po czym poprowadziła więźnia w stronę chaty. Nie miał już sznura na rękach ani kajdan na nogach, bez trudu mógłby więc uciec. Co za problem ogłuszyć słabą kobietę, zabrać jej strzelbę i zniknąć w lesie?

Lecz Carrie od jakiegoś czasu czuła, że on tego nie zrobi. Dostrzegła to w jego czystych, szarych oczach. Dlatego uklękła przed nim, by przyjrzeć się ranom, tak samo, jak uczyniłaby w przypadku każdej istoty Bożej, czy to człowieka, czy zwierzęcia powierzonego jej opiece. Jednak, gdy tylko dotknęła ciepłej skóry, ogarnęło ją niezwykle uczucie. Spojrzała w górę, więzień opuścił wzrok - i coś pomiędzy nimi zaiskrzyło...

- Słuchaj uważnie - rzekła po chwili. - Chcę ci pomóc. - Położyła dłoń na sercu. - Ale nie możesz próbować ucieczki. - Wskazała na drogę i zaczęła energicznie potrząsać głową. - Jeżeli uciekniesz, skonasz samotnie w lesie na zakażenie krwi, a wówczas szeryf uzna mnie za winną twojej śmierci i wyląduję w celi zamiast ciebie.

Niestety Indianin w ogóle jej nie rozumiał. Zdesperowana wskazała na stołek i powiedziała powoli, wyraźnie:

- Siadaj.

Jonasz opadł na stołek. Po całym dniu ciężkiej pracy oboje byli brudni i spoceni, ale on szczęśliwie nie miał już pcheł i wszy. Ta kobieta drugiej nocy dała mu pokruszone gałązki woskownicy i pokazała, co z nimi zrobić, by trzymać robactwo z dala od pośłania.

- To będzie bolało - mruknęła.

Chwyliła jego stopę i znowu doświadczyła dziwnego, niepojętego uczucia, jakby powietrze wokół zadrgało, co zdarza się tuż przed wielką burzą. Zakłopotana spojrzała w górę, by sprawdzić, czy mężczyzna coś zauważył.

Coś czuł na pewno. Miał zaciśnięte usta, a w oczach niezwykły wyraz. Może tak właśnie wyglądają Indianie, gdy dokucza im ból? Carrie ostatni raz widziała czerwonoskórego tamtej strasznej nocy, gdy Siuksowie z dzikim



wrzaskiem wpadli do ich osady w pobliżu Redwood Falls. Tego szeryf nazwał poganinem Ka-io-way. Od czasu najazdu Indian na osadę minęło co prawda ponad trzynaście lat, ale mimo to była pewna, że jej więzień wyglądał inaczej niż tamci mordercy. Był dużo wyższy i miał inne rysy twarzy...

- No dobrze, dość tego - oznajmiła, gdy już oczyściła rany, natarła je terpentyną i owinęła kawałkami płótna. Miała ochotę poprosić, by zmienił jej opatrunek na dłoni, bo samej przychodziło jej to z trudem.

- Pewnie nie mógłbyś...? Nie, zapewne nie - potrząsając głową, odpowiedziała na własne pytanie.

Jonasz już dawno temu nauczył się nie ujawniać uczuć. Cały czas pamiętał, że ta kobieta jest jedynie środkiem prowadzącym do odzyskania wolności, oczyszczenia imienia i powrotu na własną ziemię. Ale ona nie ułatwiała mu zadania. Wprawdzie najpierw traktowała go z taką pogardą, że miał ochotę wytrząsnąć z niej wszystkie kości, lecz teraz okazała mu nie tylko życzliwość, ale i współczucie. To wystarczyło, by podkopać jego determinację.

Nagle doszedł do wniosku, że jest szalona. Przecież mógł być rabusiem, gwałcicielem i mordercą, a ona przyprowadziła go do domu i torturowała swą bezinteresowną dobrocią. Oczyściła i opatrzyła mu rany, dzieliła się z nim strawą i wodą, siadywała z nim ramię w ramię w chłodzie cienia... a jednocześnie uważała go za zwierzę. Za wilka złapanego w potrzask. Nie tylko głuchego, ale i tępego.

Musiała być szalona.

## **ROZDZIAŁ TRZECI**

Następnego ranka podpalili zniesione na stos pniaki. Kiedy płomienie w końcu dotarły do najgrubszych karczów ułożonych w środku stosu, odwrócili się do siebie z triumfalnym uśmiechem. Po chwili zmieszany Jonasz zaczął zbierać suche gałęzie, by dorzucić je do ogniska, a równie zmieszana Carrie po raz setny

zabrała się za przemierzanie wzdłuż i wszerz obszaru, który już wykarczowali. Z powodu suszy grunt był twardy, lecz mimo to bujnie rozwijały się tu chwasty. Trzeba się będzie z nimi później rozprawić.

Znów zabrali się do karczowania, cały czas mając oko na ognisko, a gdy język ognia zaczął sunąć po wysuszonej trawie, natychmiast rzucili się na nie ze zmoczonymi w strumieniu jutowymi workami.

Kiedy ogień ponownie znalazł się pod kontrolą, spoceni i usmarowani sadzą spojrzeli na siebie triumfująco. Wówczas znów coś między nimi zaiskrzyło. Na przeciągającą się w nieskończoność chwilę cały świat pograżył się w idealnej ciszy.

Jonasz sklął się w duchu. Trzeba być nie lada głupcem, by siedzieć tu tak długo. Powinien był wymknąć się przy pierwszej nadarzającej się okazji, a jednak wciąż tkwił na farmie tej kobiety. A teraz, w zamian za jedzenie, czyste miejsce do spania i rzadki uśmiech, będzie chodził za piekielnym pługiem i rył ziemię, by ta kobieta mogła posiać swoje zboże.

Przecież nawet nie znała jego imienia. Szeryf nazywał go Ka-io-way, zaś do niej mówił „pani Adams”. Pani, a więc mężatka... Wprawdzie ani w jej łóżu, ani przy stole nie było żadnego mężczyzny, ale na kołku w sieni wisiał męski surdut i koszula. Być może kiedyś miała męża, a on zmarł. Albo ją oddalił, jak to mógł uczynić mężczyzna z ludu Kiowa, gdy któraś z żon już go nie zadowalała. Jonasz dobrze wiedział, co w tej kobiecie mogłoby rozsierdzić mężczyznę.

Wiedział też doskonale, co mogłoby go pociągać.

- To jest coś, co my nazywamy pługiem - z powagą w głosie poinformowała go Carrie następnego ranka.

To jest coś, co ja również nazywam pługiem, miał ochotę oznajmić, ale w ostatniej chwili się pohamował. Z początku bardzo się zżymał, gdy zapominała, że jest zaledwie tępym dzikusem i zwracała się do niego w sposób sugerujący,

że uważa go za istotę nieco inteligentniejszą od swojego muła. Teraz go to jedynie bawiło.

Ilustrując każde słowo żywą gestykulacją, Carrie kontynuowała wykład:

- Za chwilę nałożę tę uprząż na Sorry'ego, który będzie ciągnął pług za sobą tak samo, jak wyciągał z ziemi pniaki. - Zarzucając uprząż na ramiona, kobieta udawała, że ciągnie coś za sobą. - Będziesz jednak musiał silnie trzymać pług pod dobrym kątem, bo inaczej prześliznie się po powierzchni i przewróci na bok. Najchętniej zrobiłabym to sama, ale tu są dwa uchwyty, a ja mam tylko jedną zdrową rękę.

Jonasza wciąż intrygowała jej dłoń owinięta szmatami wydzielającymi odór terpentyny, tej samej substancji, którą wcierała w jego kostki, i która wyzarła mu ciało aż do kości. Kobieta często przyciskała chorą rękę do piersi, jakby czuła w niej silny ból. Niewątpliwie jej cierpienia były przede wszystkim spowodowane dźwiganiem tej przeklętej, ciężkiej strzelby, którą uparcie wciąż taszczyła ze sobą na pole, chociaż oboje dobrze wiedzieli, że gdyby naprawdę chciał uciec, mógł to spokojnie zrobić już dawno temu.

- Wiem, że nie pojmujesz ani słowa, ale, do diabła, rozmowa zawsze sprawiała mi przyjemność, a teraz ty jesteś jedyną osobą, do której mogę otworzyć usta. - Wskazała na zardzewiały pług. - Pług. Teraz ty spróbuj powiedzieć to słowo. P-ł-u-g.

Jonasz z trudem powstrzymał śmiech, zdołał jednak się opanować i powtórzyć z powagą:

- Pług.

- Och, wspaniale! Ani się obejrzymy, a zaczniesz biegle mówić, sam zobaczysz.

Uśmiechnęła się do niego tak ciepło, jak można uśmiechnąć się do psa, który grzecznie aportował patyk i Jonasz wcale by się nie dziwił, gdyby poklepała go przyjaźnie po głowie.

Szczęśliwie nic podobnego się nie zdarzyło i Jonasz podążył za nią na pole. Pomimo irytacji bacznie obserwował sposób, w jaki się poruszała i niemal wybuchnął śmiechem, gdy stanowczym ruchem nasunęła na głowę słomkowy kapelusz, a potem go uniosła i palcami odgarnęła z oczu niesforne kosmyki. To było brzydkie, męskie nakrycie głowy, ale użyteczne dla kogoś o cerze tak jasnej, a więc wrażliwej na słońce, którego nadmiar wywoływał piegi. Kobieta zaczynała każdy dzień z rękawami sukienki starannie osłaniającymi ramiona, ale już w połowie dnia podciągała je za łokcie i na dodatek rozpinęła guziki wysokiego kołnierzyka, odsłaniając szyję.

Przenosząc wzrok ponad kościsty zad muła, Jonasz przyglądał się Carrie, zafascynowany odkryciem, jak wiele mężczyzna może się dowiedzieć o kobiecie na podstawie jej chodu czy sposobu, w jaki się schyla, by uderzyć motyką w niepokorny korzeń. Niesiona nadziejami i determinacją, każdego dnia wkraczała na pole niczym wojownik szykujący się do bitwy. Chociaż z drugiej strony musiał przyznać, że kołysanie jej bioder i falowanie drobnych piersi pod cienkim perkalem nie miało w sobie nic wojowniczego.

Pod koniec każdego dnia opadała z sił niczym ścięty kwiat porzucony bez wody. Wlokła się do domu noga za nogą, ostatnim wysiłkiem woli powstrzymując się od ciągnięcia strzelby po ziemi. Jonasz chętnie poniósłby broń, by jej ulżyć, obawiał się jednak, że ta gotowość pomocy mogłaby zostać opacznie zrozumiana.

Cóż za irytująca istota! Czy wszystkie białe kobiety były tak pełne sprzeczności, czy jedynie ta jedna? Niewiasty z St. Augustine, które uczyły go czytać i pisać, nie działały na niego w taki sposób.

Jonasz jednak szybko wytłumaczył sobie, że w gruncie rzeczy wcale nie chodziło mu o Carrie. Tak długo żył pozbawiony ciepła kobiecego ciała, że tak samo zareagowałby na każdą inną kobietę, byle nie była dzieckiem lub staruszką. Ilekroć przypominał sobie, jak stojąc po kostki w wodzie, zdarł przed nią ubranie, tylekroć gotowała się w nim krew. Zrobił to z gniewu i złości, by ją

zaszokować i przestraszyć, a poczuł takie podniecenie, że musiał natychmiast się odwrócić i zanurzyć w zimnej wodzie strumienia.

Gdy wrócili wieczorem do domu, przyznał w duchu, że prowadzenie pługą białego człowieka nie było aż tak straszne, jak się obawiał. Jonasz doskonale rozumiał muła, a Sorry rozumiał jego. Współpracowali bardzo sprawnie. Inaczej jednak sprawa przedstawiała się z kobietą. Cały czas szła u jego boku, od jednego końca pola do drugiego, niekiedy tylko wysuwając się naprzód, by ściąć jakąś krzewinę lub na chwilę pozostając z tyłu, by między palcami przerzucić garść świeżo wżruszonej ziemi. Zawsze zatrzymywali się na cienistym skraju, by napić się wody z dzbanka, po czym znów ruszali do pracy.

- Nigdy przedtem nie siałam ziarna na sprzedaż - wyznała mu w czasie jednej z przerw. - Cóż, każdy potrzebuje zboża. Zeszłego roku musiałam je kupować. Pozostało go nieco w żłobie, ale jest już stare i zrobaczywiałe. Do tego muszę je sama mieć, a żarna się rozpadają. Nadaje się już tylko dla Sorry'ego i kur. Jak będę miała dobre zbiory, zawiozę ziarno do młyna, a młynarzowi zapłacę częścią zboża. Tak właśnie się u nas robi - oznajmiła z wielką powagą, jakby dzieliła się z Jonaszem jakąś niezwykłą, tajemną mądrością białego człowieka.

Jonasz wciąż rozważał obietnicę złożoną porucznikowi Prattowi, że kiedyś pomoże w potrzebie białemu człowiekowi. Ta kobieta z pewnością potrzebowała pomocy. Była słaba, samotna i do tego miała zranioną rękę, a nie zjawiał się nikt, kto mógłby ulżyć jej doli. W okolicy były inne farmy, jednak żaden z sąsiadów nigdy nie przybył z wizytą. Wprawdzie kobieta wspominała o jakiejś przyjaciółce, ale nawet ona nie przybyła, by pomóc jej w orce. Dla Jonasza stawało się coraz bardziej oczywiste, że pani Adams, jak uprzejmie nazwał ją szeryf, znajdowała się na marginesie tutejszej społeczności. A on dobrze wiedział, jakie to uczucie.

- Pewnie zauważyłeś, że grabię liście i zrzucam na stos za kurnikiem.

Od kilku dni kobieta nabrała zwyczaju ucinania sobie w jego towarzystwie pogawędek, jakby był normalnym, inteligentnym człowiekiem. Dzięki temu zdołał się dowiedzieć o niej dwóch istotnych rzeczy: miała dobre serce i... była bardzo samotna.

- Emma powiedziała, że jakby udało mi się zdobyć nieco muszli z ostryg, to gdybym rzuciła je w liście, a potem podpaliła stos, dokładając nieco suchych gałęzi, otrzymałabym wspaniały słodki nawóz. Ona twierdzi, że gleby tu są kwaśne i potrzebują tego, co znajduje się w morskich skorupach. Może kiedyś uda mi się znaleźć w Currituck rybaka, który odstąpi mi ładunek muszli za zboże i kilka słoików dzikiego miodu.

Gawędziła z nim tak samo, jak Jonasz ze swoimi końmi, tyle że on rzadko używał słów. Konie go rozumiały, a on umiał czytać w ich myślach. Przyszedł na świat z tym szczególnym darem, może jako zadośćuczynienie za to, że urodził się mieszzańcem, człowiekiem rozdartym pomiędzy dwoma światami.

Wkrótce opuści to miejsce, obiecywał sobie w duchu nie wiadomo który raz. Najcięższa praca została już zrobiona. Gdy nadejdzie miesiąc dereni, kobieta będzie mogła posiać swoje zboże, które wyrośnie bujnym łanem. Ziemia była tu dobra, co prawda miejscami podmokła, ale żyzna. Jonasz znał się na tym, bo gdy już zdecydował, co zrobi ze swoim życiem, przeczytał dużo książek na temat gleb i upraw.

- Dobry Boże, umieram z głodu, a ty? - spytała, ocierając wilgotną, osmaganą słońcem twarz.

- Boże - powtórzył tępo Jonasz, zastanawiając się jednocześnie, czemu biali ludzie nazywali Indian czerwonoskórymi, gdy to właśnie ich twarze i ciała, pod wpływem słońca czy whisky, nabierały koloru żywej czerwieni, jak szarfa wojowników Kointsengi. Jego skóra miała kolor ciepłego brązu, a słońce tylko pogłębiało tę barwę. Natomiast whisky Jonasz nigdy nie brał do ust, widział bowiem, co uczyniła z wieloma marynarzami i wojownikami jego ludu.

Od jakiegoś czasu zaczęli razem jadać kolację. Co prawda od dnia, gdy opatrzyła mu rany, ani razu nie zaprosiła go do domu, ale po zamknięciu kur wносиła na dwór jedzenie. Siadała na twardej, prostej ławce ustawionej przy stodole, on natomiast kuczał obok. Od czasu do czasu mówiła coś do niego, a on kiwał, pomrukiwał lub wzruszał ramionami, dając do zrozumienia, że nie pojmuje jej słów. Ona potrząsała głową i wzdychała bezradnie. Jonasza zaczęła bawić ta gra, choć niekiedy odzywało się w nim również poczucie winy. Jakże jednak mógłby teraz przyznać, że płynnie mówi po angielsku? To ciągnęło się zbyt długo. Wpadłaby we wściekłość, że tak ją zwodził.

Czy aż w tak wielką, by go zastrzelić? Jonasz był przekonany, że broń nie jest nabita. A nawet gdyby były w niej naboje, nie stanowiłaby szczególnego zagrożenia, bo ważyła tak dużo, że kobieta ledwo dźwigała ją zdrową ręką i nie zdołałaby dobrze wycelować. Co najwyżej narobiłaby sobie szkód w obejściu.

Czemu więc po prostu stąd nie odszedł?

Nie umiał znaleźć odpowiedzi. Na pewno nie chodziło o warunki, w jakich tu żył. Nawet w koszarach w St. Augustine żyło się wygodniej, choć było tam mnóstwo komarów. Jedzenie, którym karmiła i jego, i siebie, było bardzo skromne: fasola, czasami kapusta, a niekiedy jedynie kawałek kukurydzianego placka okraszonego skwarkami lub miodem, zaś na specjalne okazje plasterek smażonego mięsa. To pożywienie syciło i miało niezły smak, ale Jonasz z radością oddałby je za kawał mięsa bizona czy innej dziczyzny, lub choćby za rybę.

- Księżyc. Widzisz? Wznosi się tam hen, nad lasem. My nazywamy to księżycem.

Ta kobieta nie była przecież idiotką. Dlaczego więc z uporem powtarzała takie bzdury? No tak, ponieważ była przekonana, że każdy z wyciągniętych z jej pola pniaków miał więcej inteligencji od niego. Gdy sobie to uświadamiał, wpadał w złość i natychmiast chciał się stąd zwijać. Swoją pracą na pewno wyrównał już sumę zainwestowaną przez tę kobietę. A im szybciej przywiezie

dokumenty potwierdzające własność ziemi i koni, tym szybciej odzyska dobre imię i powróci na swoją farmę. Być może pewnego dnia bogowie okażą mu łaskę i pozwolą spotkać odpowiednią kobietę, jak on wyrzuconą poza nawias społeczeństwa. Kobietę, która nie będzie spoglądać na niego z góry z powodu jego mieszanej krwi.

Od chwili gdy zjawił się na farmie, kobieta ani razu nie pojechała do domu boga białych ludzi, był jednak taki dzień w tygodniu, gdy nie pracowali, bo zabraniały tego Reguły Jezusa. W poprzedni taki dzień zbierała wysuszone strąki fasoli i szorowała wychodek. Potem zagrabiła podwórko, a całe stadko kur postępowało jej śladem, dziobiąc wydłubane z ziemi robaki. Jonasz w tym czasie reperował stodołę oraz powiększał i grodził wybieg dla koni. Po skończonej robocie rozciągnął się na kępie trawy pod wielkim dębem i rozkoszował się ciepłym, słodkim powietrzem owiewającym mu ciało. No cóż, wolność miała swój własny szczególny smak i specyficzny, podniecający aromat.

Coraz bardziej martwił się o swoje konie i dlatego naprawdę nie mógł tu dłużej tkwić. Zdecydował, że uda się w drogę w najbliższy Dzień Jezusa. Jego stopy już niemal całkiem się wygoiły, był więc pewien, że bez odpoczynku zdoła biec przez co najmniej pół dnia. Mógłby zabrać ze sobą muła, ale kradzież zwierzęcia pociągowego podlegała karze śmierci.

Z drugiej strony wolałby zawisnąć za przestępstwo, które rzeczywiście popełnił niż za niewinność. Był jednak pewny, że zdoła wrócić z dokumentami, zanim kobieta wyszykuje kolację.

Gdy wreszcie nadszedł następny Dzień Jezusa, kobieta wstała przed brzaskiem i zaprzęgała Sorry'ego do wozu. Z tyłu ustawiła nakryty świeżą serwetką koszyk, wręczyła Jonaszowi talerz z mięsem i kapustą, po czym stwierdziła, że wybiera się z wizytą do przyjaciółki.

- Postanowiłam ci zaufać - oznajmiła z wyrazem tak niezmiernej powagi na swojej małej zaróżowionej twarzy, że Jonasz miał ochotę ująć jej delikatną



brodę w dłonie i zapewnić o słuszności postanowienia. - Nie zamknę cię, bo nie wiem, jak miałabym to zrobić bez zakuwania cię w te straszne, żelazne obręcze, a czegoś podobnego nie miałabym ochoty uczynić nawet wściekłemu psu. Wczorajszego wieczoru ugotowałam ci kapusty, bo człowiek potrzebuje warzyw i owoców, by zachować ciało w zdrowiu. I dlatego też przywiozę ci od Emmy słoik brzoskwiń w syropie. Masz więc na co czekać.

Tego dnia włożyła inną sukienkę niż zazwyczaj, z wyblakłego, żółtego materiału, odsłaniającą ramiona i dekolt. Gdy już wygłosiła swoją przemowę, wbiła w Indianina wzrok, jakby oczekiwała odpowiedzi.

Jonasz poczuł nagłe, ledwie że nieodparte pożądanie. Na Dawk'hee, wielką boginię ziemi, jakże ta kobieta wodziła go na pokuszenie!

Opanował się jednak i tylko skinął głową. Chwilę później patrzył, jak odjeżdżała, po czym skoncentrował się na wywołaniu z pamięci topografii terenu. Gdy szedł tu z więzienia, zakonotował kilka charakterystycznych punktów. Jonasz miał doskonale rozwinięte poczucie kierunku, ale nigdy nie wędrował z tych okolic do swojej farmy, natomiast pytanie o drogę wiązało się ze śmiertelnym niebezpieczeństwem.

Dłoń Carrie uparcie nie chciała się zagoić.

- Przykro mi, skarbie, ale będę musiała ponownie otworzyć ranę - oznajmiła ze smutkiem starsza pani, potrząsając głową.

Carrie dobrze wiedziała, co ją czeka, ale bezgranicznie ufała Emmie. Wyszorowała więc duży nóż, zaostrzyła go na osełce, po czym trzymała nad płomieniem świecy, póki nie rozjarzył się do czerwoności.

Chwilę później wybuchnęła płaczem. Nie mogła się powstrzymać, a przy Emmie nie musiała zachowywać pozorów. Płakała nie tylko z bólu, ale i nad swoim przeszłym i obecnym życiem... a także nad czymś, co objawiło się jej nagle w cudownym marzeniu, w którego spełnienie nie umiała uwierzyć.

Siedząc z miską, do której spływała krew i ropa z rany, zaczęła opowiadać Emmie o swoim więźniu.

- Wiem, że to wszystko z osamotnienia, ale czuję się tak, jakbym zyskałam przyjaciela. Nie znam jego imienia, ale jego oczy są tak niezwykle szare. Kiedy na mnie nie patrzył, przyglądałam się jego uśmiechowi i przysięgam, Emmo, w życiu nie widziałam równie białych zębów.

- Uhm. Kobieta postrzega podobne drobiazgi. Problem w tym, by nie brała ich sobie zbyt do serca.

To było ostrzeżenie. Gdyby żyła matka Carrie, zapewne powiedziałaaby to samo.

Niziutka Emma Tomlin przed laty wyszła za bogatego farmera, który poszedł na wojnę, gdy Jankesi zaatakowali południowe stany. Wkrótce straciła wszystko, co było jej drogie: męża, dom, dzieci. Zachowała tylko godność, mądrość i dobroć w sercu. Te właśnie cechy Carrie ceniła najbardziej u swojej przyjaciółki. Teraz, starając się zignorować pulsujący ból rozlewający się aż do ramienia, oznajmiła:

- Wiem, wiem. To głupie z mojej strony. Ale, Emmo, gdy jestem z nim codziennie na polu, gdy widzę, jak ciężko pracuje.:. Boże, gdyby Darther kiedykolwiek przepracował uczciwie chociaż jeden dzień, z wrazenia padłabym trupem, a mój więzień haruje, jakbym to jego zboże miała posiać na wiosnę.

- Każdy przedłoży pracę na świeżym powietrzu nad gnicie w zatęchłym lochu. - Mąż Emmy zmarł w jankeskim więzieniu i wzdragała się na myśl, że jakiegokolwiek stworzenie można trzymać w niewoli. - Zrobię ci okład z mojej specjalnej maści, podaj mi tylko tamten słoik z kredensu.

Carrie wiedziała, że na tę tłustą maść składały się sproszkowane mysie bobki, masło i różne zioła, ale jeżeli Emma wierzyła w jej moc... Godzinę później ręka bolała już nieco mniej. Carrie i Emma usiadły na frontowym ganku, gawędząc o tym i owym. Emma nigdy się nie skarżyła, co zawstydzalo Carrie, która często narzekała na swój los.

- Wiem, że to nie w porządku, ale czasami marzę, by zapomniał gdzie mieszka i już nigdy więcej się nie zjawił - oznajmiła, układając chorą rękę na

podółku. Właśnie wylewała żale na Darthera za to, że nie dał jej pieniędzy na krowę, bo chciał postawić na jakiegoś „pewniaka”. - Zwykły śmieć, jakich pełno na wyścigach, ot co. Nasłuchałam się i napatrzyłam na takich, kiedy jeszcze mieszkałam u wuja Henry'ego. Potrafią gadać tylko o tym, kto stracił ostatnią koszulę, kto wygrał wielkie pieniądze i gdzie odbędzie się kolejna gonitwa. Przecież to nie są nawet wyścigi z prawdziwego zdarzenia, takie, na które przychodzą damy w eleganckich sukniach i strojnych kapeluszach.

- Nigdy nie poznałam twojego męża, dziecko, wiem jednak, że choć zjawiał się w tych stronach wiele lat temu, z nikim się nie zaprzyjaźnił. Ale nawet w nim, choć jest Jankesem, musi być coś dobrego. Miał przecież dość rozsądku, by cię poślubić, prawda?

Cóż Carrie mogła na to odpowiedzieć? Przecież Emma doskonale wiedziała, jak beznadziejnie przedstawiają się sprawy. Zbyt często widywała sińce na ciele przyjaciółki, by uwierzyć, że były tylko, skutkiem jej niezdarności. Poza tym zawsze pojawiały się w czasie pobytów Darthera w domu.

- Samotne życie jest zazwyczaj spokojne, nie mogę zaprzeczyć. Mimo to dałabym wszystko, by znów słyszeć, jak mój Luther klnie i wyrzeka na głupców rządzących naszym krajem, bądź złości się, że nie umiem upiec takiego chleba jak jego matka. Niekiedy nawet zbyt ostre czy bluźniercze słowa są lepsze od głuchej ciszy.

Carrie nie wiedziała, co na to odpowiedzieć. Ostre, bluźniercze słowa były jedynymi, jakie słyszała od czasu, gdy posłał po nią wuj Henry, a pani Robinson wsadziła ją do pociągu z jedną zmianą ubrania w papierowej torbie i dolarowym banknotem przypiętym we wnętrzu kieszeni fartuszka.

Niedługo potem Carrie zaprzęgå Sorry'ego do wozu i ruszyła w stronę domu wąską piaszczystą drogą. Co prawda znała skrót przez las, ale tego dnia miała ochotę na przejażdżkę. Miała nadzieję, że jej pioruński muł, wyćwiczony przez tego Ka-io-wayę, tym razem sprawi się dobrze. Jak to się działo, że

Indianin nigdy nie musiał kląć na tę bestię, tylko przed wyruszeniem w pole uważnie patrzył Sorry'emu w oczy, a ten zmieniał się w potulnego baranka?

W tym momencie, jakby wyczuwając jej myśli, muł stanął jak wryty, położył po sobie uszy i zarżał donośnie. Zaskoczona Carrie niemal wypuściła lejce z przestrchu.

- Ty uparty, szalony parszywcu, jeżeli jeszcze raz zrobisz coś podobnego, złoję ci zad do żywego mięsa, słyszysz?! A teraz ruszaj! - krzyknęła, po czym strzeliła z bata. Sorry postąpił parę kroków i znów się zatrzymał.

Ten Indianin musiał być czarownikiem, lecz Carrie nie znała się na wiedzy tajemnej. Dlatego, mimo że znów bardzo bolała ją ręka, musiała się szarpać z przekornym, upartym mułem. Jakby tego było mało, chwilę później poczuła skurcze w dole brzucha, co oznaczało, że na noc będzie musiała napić się nieco whisky, której nienawidziła, i zabrać ze sobą do łóżka rozgrzaną cegłę owiniętą w ręcznik.

W końcu Carrie się poddała i pozwoliła mułowi robić, co tylko chciał. Ostatecznie znał drogę do domu równie dobrze jak ona. Wiedział też, że nie dostanie nic do żarcia ani picia, póki nie znajdą się na miejscu. Naprawdę nie miała ochoty użerać się z upartą, złośliwą bestią.

- Nie dziwota, że Darther nazwał cię Sorry - wymamrotała pod nosem. - Jesteś najędźniejszym sukinsynem, jaki kiedykolwiek oddychał powietrzem.

Musi wreszcie przestać kląć. Emma bardzo tego nie lubiła, a pani Robinson byłaby zaszokowana, podobnie jak inne misjonarki, a także jej rodzice, gdyby tylko żyli. Czasami Carrie szokowała nawet samą siebie, i to nie tylko z powodu słów wymykających się jej z ust.

Ale, do diabła, teraz wszystko się zmieni. Jeżeli musi radzić sobie z upartym mułem, z parszywym mężem, pijanicą i brutalem, a także z niemotą Indianinem, to będzie musiała ustanowić własne reguły gry.

Jechała po wyboistej drodze w ślimaczym tempie, ale dzięki temu miała czas, by spokojnie zastanowić się nad różnymi sprawami. Czy Indianin ma żonę,

która wypłakuje za nim oczy? I czy ma jakieś imię? To znaczy ma je na pewno, ale pewnie jakieś pogańskie, na którym biały człowiek połamałby sobie język. Nagle Carrie poczuła wyrzuty sumienia. Do tej pory nie zapytała więźnia, jak się nazywa, co jeszcze bardziej pogorszyło jej nastrój. Gdy nachodził ją comiesięczny ból brzucha, popadała w przygnębienie. Chciało jej się płakać bez wyraźnego powodu.

Gdy dojeżdżała do domu, znów poczuła pod powiekami łzy. A jeżeli straci rękę? Takie rzeczy często się zdarzały, gdy rana nie chciała się goić, a w jej przypadku trwało to już wiele tygodni.

Co pocznie, gdy jej więzień będzie musiał ją opuścić? Pomimo ciężkiego życia z Dartherem, zaszła już tak daleko, osiągnęła tak wiele, zachęcana przez Emmę i gnana własnymi marzeniami. Mimo swej trudnej, bolesnej przeszłości, radziła sobie doskonale. Miała własny dom i pole gotowe do zasiewów.

Nastroju nie poprawił jej nawet znajomy widok starannie zagrabionego podwórka i przytulnej chaty. Dom. Jej pierwszy prawdziwy dom po tak wielu latach, otoczony dębami ze złocącymi się liśćmi i figowcami, które powoli okrywały się purpurą. Zajechawszy przed stodołę, zaczęła zbierać się w sobie, by wykonać niezbędne wieczorne prace. Nakarmić kury, oporzędzić muła, przygotować kolację dla siebie i Indianina...

Nie było go na podwórzu. Ani w stodole. Nie mógł znajdować się w domu, bo już pierwszego dnia zapowiedziała mu, że go zastrzeli, jeżeli tylko postawi tam stopę.

Ale przecież potem zabrała go do chaty, by opatrzyć mu rany. Mógł więc uznać, że już może sobie wchodzić i wychodzić z jej chaty, kiedy tylko przyjdzie mu na to ochota.

- No, już ja ci w razie czego pokażę - wymamrotała pod nosem, wbijając gniewny wzrok w łańcuch, który jeszcze niedawno więzień miał na nogach. - Jeżeli ten przeklęty poganin uciekł, odstrzelę mu jego żaloszny tyłek -zaklęła pod nosem, czując, jak do oczu napływają jej łzy i ogarnia ją zwątpienie.

Przecież razem osiągnęli tak wiele. Była już tak blisko celu. Pole zostało zaorane, więc gdy przyjdzie wiosna, wystarczy rozrzucić nawóz, a potem zrobić bruzdy i zasiać nasiona, po cztery naraz. Jedno dla matki ziemi, drugie dla kruka, trzecie dla kreta, czwarte dla bujnego plonu. Emma nauczyła ją wszystkiego, co powinna wiedzieć o sianiu i sadzeniu roślin, o konserwowaniu żywności na zimę i zwalczaniu wszelkiego robactwa, od wszy w piórach kur zaczynając, a na ślimakach w kapuście kończąc.

Wyprzęgła Sorry'ego i właśnie wieszala uprząż w stodole, gdy ze stryszku na siano dobiegł ją jakiś odgłos, a przez szpary w deskach posypał się kurz. Na górze było zeszłoroczne siano... oraz zapasy whisky zgromadzone przez Darthera.

- O Boże! Tylko tego mi jeszcze trzeba - jęknęła. Zacisnęła pięści na biodrach, zadarła głowę i wrzasnęła na całe gardło. - Hej, ty, Ka-io-way, czy jak tam brzmi twoje pioruńskie imię, natychmiast złaź ze stryszku, słyszysz?

Miała ochotę wybuchnąć płaczem. Coś kopnąć. Do wszystkich piorunów, wiedziała, że ponosiły ją emocje, ale przecież zaufała temu człowiekowi! A ledwo zniknęła mu z oczu, zaczął węszyć po wszystkich kątach, aż w końcu dorwał się do whisky Darthera, którą zakupił z Liamem po jakiejś wygranej, zamiast przeznaczyć pieniądze na nową krowę, o co tak bardzo błagała.

Od tamtej pory, ilekroć wracali do domu, znosili z góry parę gąsiorków i pili na umór. Ich krzyki, śmiechy i śpiewy nie pozwalały Carrie zmrużyć oka. Doszło więc do tego, że zaczęła marzyć, by następnym razem ten z nich, który będzie włąził na górę, stoczył się z drabiny na łeb na szyję i skreślił swój żaloszny kark. Potem jednak tego żałowała i modliła się, by Bóg przebaczył jej nieczne myśli.

Gdy wciąż dochodziły ją z góry jakieś szmery, stanęła na najniższym szczeblu drabiny. A może to szczury? Zazwyczaj lgnęły do ziarna, nie do siana, ale niewykluczone, że szukały schronienia na zimę. Nie, to jednak nie mogły być szczury, musiałyby przecież dojrzeć jakieś ślady ich bytności. Poza tym

trzymała w stodole dwa węże szczurołapy, które nie pozwalały rozpanoszyć się żadnym gryzoniom. A więc albo na stryszku urzędował jej więzień, pijany w sztok, albo do domu powrócili Darther z Liamem i przepędzili Indianina. Albo zrobili jeszcze coś gorszego...

Ale przecież z boksu Pecka nie dobiegał najłżejszy szmer. Nie widziała też sakw podróźnych rzuconych na pryczę Liama, ani jego kobyły na wybiegu, co oznaczało, że to nie Darther z Liamem raczyli się whisky na stryszku.

W takim razie...

Och, niech to wszyscy diabli! Wściekła i zdesperowana zaczęła się wspinać po cienkich szczęblach wąskiej drabiny.

## **ROZDZIAŁ CZWARTY**

Na stryszku panowały egipskie ciemności, a w powietrzu unosiły się tumany kurzu. Carrie kichnęła, zakląła szpetnie, po czym znów kichnęła.

- No cóż, skoro już tu weszłam, możesz się pokazać.

Czekała w milczeniu. Żadnej odpowiedzi. No tak, jeżeli leżał pijany w dym, nie mógł zareagować. Zresztą, nawet gdyby był trzeźwy, też by nie zareagował, bo ni w ząb nie pojmował angielskiego.

- Odezwij się w końcu, albo pójdę sobie i poczekam, aż stoczysz się przez krawędź i złamiesz swój nędzny kark!

I niech to diabli, naprawdę tak właśnie robi. W ten sposób oszczędzi hrabstwu kosztów jego egzekucji, a sobie denerwującego widoku postawnego... wspaniałego mężczyzny kroczącego za pługiem.

To prawdziwy pech, że pierwszego dnia spojrzała na niego, gdy stał w strumieniu. Od tamtej pory za wszelką cenę starała się wyrzucić z pamięci tamten obraz. Ale im usilniej próbowała nie myśleć o nagim, cudownie zbudowanym Indianinie z mahoniowymi, błyszczącymi włosami, tym natarczywiej wracał do niej ten widok. Dotąd całkiem nagiego widziała tylko

swojego męża. Czy to możliwe, by ci mężczyźni należeli do tego samego gatunku? Wygląda na to, że mieli ze sobą coś wspólnego: zamiłowanie do pijaństwa.

Rozgoryczona i wściekła Carrie zatrzymała się na środku, niepewna, co robić dalej. Zaczęła powtarzać sobie w duchu, że Indianin wkrótce wróci do więzienia i zawiśnie na szubienicy. Nie mogła sobie pozwolić, by myśleć o nim jak o rzeczywistym człowieku. To sprawiało jej zbyt wiele bólu. Był siłą roboczą. Był nikim.

- A więc siedź tam sobie - warknęła, odwracając się w stronę drabiny. - Zapij się na śmierć, zwal się na dół i połam kark. Mnie to nic nie obchodzi!

- Aaa psik! - rozległo się donośne kichnięcie, a za nim trzy następne.

Carrie zamarła. Usłyszała gwałtowny szurgot, zmrużyła oczy, i zdało się jej, że zobaczyła coś, co poruszyło się w stercie siana.

Chwilę później usłyszała szepty. Szepty? Mówił coś do siebie, a do niej nie raczył wypowiedzieć choćby słowa?!

- Niech cię diabli porwą! Jeżeli jeszcze możesz się ruszać, natychmiast zejdz na dół! Bo jak ja się do ciebie pofatyguję...

Dostał ostatnią szansę, jednak jeśli z niej nie skorzysta, zostawi go na pastwę losu. Cierpliwość ma swoje granice, szczególnie gdy kogoś boli brzuch i w ogóle czuje się podle.

- Słuchaj uważnie. Nic mnie nie obchodzi, że jutro będziesz jak jeden wielki zezwłok. O świcie masz być na polu, rozumiesz? Zapłaciłam za twoją pracę i niech mnie diabli porwą, jeżeli nie odbiorę wszystkiego co do centa!

Ktoś głośno pociągnął nosem. Ktoś inny zaklął cicho. Rozległy się gorączkowe szepty, a potem dwie maleńkie figurki wynurzyły się z najciemniejszego kąta. Carrie otworzyła usta ze zdumienia.

- Panie miłosierny, co to...? - wypowiedziała miękkim głosem.

Szurając nogami, dwie drobne istoty podeszły bliżej. Dwójka... dzieci?! Tak na oko - małych chłopców. Ale było zbyt ciemno, by Carrie dojrzała coś



ponad bezkształtną masę z dwoma głowami i dwoma parami nóg. Dzieci tuliły się do siebie, jakby za chwilę miał połknąć je niedźwiedź.

- Czy umiecie zejść po drabinie? - zapytała. - Kim jesteście? Czemu chowacie się w mojej stodole?

I gdzie, do diabła, podział się jej więzień!?

Dzieci były przerażone, jednak sprawnie, niczym małe małpiątka, zsunęły się za Carrie po szczeblach, ale gdy tylko stanęły na klepisku, natychmiast z powrotem kurczowo szczepiły się ze sobą.

Carrie otrzepała spódnice, po czym popchnęła dzieci w stronę wrót stodoły, by przyjrzeć się swemu niespodziewanemu znalezisku. Pochyliła się ku malcom, po czym szybko odskoczyła.

- Mój Boże - wyszeptała, gdy dobiegł ją przykry odór. Te dzieciaki musiały wytarzać się w świńskim gnoju.

To rzeczywiście dwójka chłopców. Wyższy ledwo sięgał jej pasa, a Carrie była drobną kobietą. Chudzi niczym kukielki z patyków, ubrani w łachmany. Jeden z nich miał na sobie podartą, przeraźliwie brudną, męską koszulę, sięgającą do kostek. Drugi naciągnął na siebie coś, co wyglądało na worek po kartoflach, zaś na głowę wcisnął kapelusz z olbrzymim rondem opadającym mu na nos.

- Kim jesteście? - zapytała łagodnie.

Chłopcy trzęśli się, jakby na dworze panował tęgi mróz. Te drobiny były śmiertelnie przerażone.

- Brachy - wymamrotał Koszula, a Kapelusz potaknął energicznym skinieniem głowy. Tyle tylko się dowiedziała.

- A więc jesteście braćmi. Uciekliście z domu? Koszula przytaknął, zaś Kapelusz przecząco pokręcił głową.

Carrie instynktownie wyciągnęła ramiona, by ich przygarnąć, ale chłopcy błyskawicznie się cofnęli

- A może się zgubiliście?

Tym razem Kapelusz przytaknął, a Koszula pokręcił głową. Boże, jeżeli komuś zginęła dwójka dzieci, przecież musiałaby o tym usłyszeć!

Czyżby? Do Shingle Landing jeździła tylko wtedy, gdy musiała, i tak naprawdę nie znała tam żywej duszy. Wstrzymując oddech, podeszła do chłopców, ale nie za blisko, by ich nie wystraszyć. Trudno było coś dostrzec pod skorupą brudu pokrywającą ich twarze. Chłopcy równie dobrze mogli być Indianami. Nagle pomyślała, że być może jej więzień sprowadził tu swoją rodzinę. Poczula bezsilną rezygnację, zabarwioną jednak odrobiną zazdrości.

Lecz gdy przyjrzała się dzieciom uważniej, spostrzegła, że włosy Koszuli, choć brudne i zmierzwione, były niemal równie jasne jak jej. Nie był więc indiańskim dzieckiem. Nie mogła jednak stwierdzić, jakiego koloru są jego oczy, bo żaden z chłopców nie podniósł do tej pory głowy. Stali przed nią i wbijali wzrok w drobne, zabłocone stopy. Kapelusz wsunął palec pod wielkie nakrycie głowy i zaczął się energicznie drapać. Koszula złapał się za krocze. Cudownie! Tylko tego jej jeszcze brakowało: kolejnego stada pcheł i dwóch następnych gęb do wyżywienia.

- No dobrze - oznajmiła w końcu, wzdychając głęboko. - Jak już tu przyszedliście, możecie spędzić u mnie noc. Za chwilę przyniosę wam coś do zjedzenia, ale nie wolno wam tu niczego dotykać, rozumiano? Macie się też trzymać z dala od pryczy i tego boksu w rogu, bo tam... straszy ! Jeżeli któryś z was musi skorzystać z wychodka, znajdziecie go za rogiem, natomiast jeżeli chcecie sobie stąd iść, to droga wolna, nie będę was zatrzymywać.

Koszula potaknął, Kapelusz pokręcił przecząco głową. Carrie nie miała pojęcia, czy to oznaczało, że zamierzają zostać na kolacji, wynieść się z jej farmy, czy może respektować wydane przez nią zakazy. Prawdę powiedziawszy, w tej chwili nie obchodziło ją, czy potraktują boks Pecka jak wychodek i czy rozłożą się na pryczy Liama, zostawiając po sobie brud wraz z całą armią wszy i pcheł. Co prawda gdyby tak się rzeczywiście stało, Carrie nie miała

wątpliwości, komu przysłoby za to zapłacić, i na pewno nie byłaby to dwójka tych małych dzieciaków.

Ale równie dobrze wiedziała, co czuje samotne, głodne i przerażone dziecko.

Karmiąc się cichą nadzieją, że dzieci już sobie poszły, wniosła do stodoły dwa talerze z jedzeniem i wiadro wody. Chłopcy czekali na nią w drzwiach, po czym rzucili się na fasolę i placki oblane melasą niczym wygłodniałe wilczki. Carrie wróciła do chaty.

Nie zwracając sobie głowy własną kolacją, roznieciła ogień, wsunęła do pieca cegłę i podgrzała resztkę herbaty z ostrokrzewu. Emma pokazała jej, jak preparować liście tych krzewin. Gdy zielony napar zaczął wrzeć, przelała go do kubka, zaprawiła miodem i małą miarką whisky na złagodzenie bólu brzucha. Darther przed wyjazdem zawsze zaznaczał poziom samogonu na gąsiorku stojącym w spiżarce, ale kiedy wracał, był zazwyczaj zbyt pijany, by to sprawdzać.

Do diabła, co ma począć z tymi dzieciakami? Przegonić jak bezpańskie psy? No cóż, chłopcy byłiby bezpieczniejsi, gdyby zniknęli z tego domu przed przyjazdem Darthera. Ona zresztą też. I tak będzie miała z czego się tłumaczyć.

Jutro zastanowi się, co zrobić, obiecała sobie, gdy zaczęła zapadać w sen sprowadzony przez alkohol. Nazajutrz musi pojechać do Currituck i powiedzieć szeryfowi, że jej więzień zniknął. Jeżeli chłopcy wciąż tu jeszcze będą, zabierze ich ze sobą. Może ktoś w Currituck lub Shingle Landing będzie wiedział, kim są.

Jednak na długo przed świtem obudził ją tumult przy stodole. ;W pierwszej chwili pomyślała, że do kurnika zakradł się lis, a potem, że powrócił więzień. Niechętnie jednak uznała to przypuszczenie za całkiem nedorzeczne.

Niech diabli porwą tę żalną wywlokę! Pomyśleć, że mu zaufała i zostawiła samego, a on natychmiast zbiegł i teraz ona będzie musiała tłumaczyć się przed szeryfem. To okropne, jak bardzo myliła się w ocenie ludzi. Pomyliła

się w ocenie wuja, potem mężczyzny, którego poślubiła pełna nadziei, a teraz na dodatek to!

Zapaliła lampę i ze strzelbą w rękę wybiegła na dwór. Jeżeli nie Ka-io-way wystraszył dzieci w stodole, to znaczy, że Darther wrócił do domu. A jeżeli wygrał większe pieniądze, na pewno jest w sztok pijany. Zresztą czy pijany, czy trzeźwy, aż strach myśleć, co mógłby zrobić, gdyby natknął się we własnej stodole na dwójkę obcych chłopców!

Carrie popędziła przez podwórze. W głowie miała jeden wielki mętlik. Po pijanemu jej mąż był gorszy od gniazda szerszeni, choć trzeźwy wcale nie był wiele lepszy. Tak czy owak musiała osłonić przed nim te drobiny, zanim parszywy opójk zrobi im coś strasznego.

Dobrze że chociaż miała na tyle przytomności, by chwycić spod drzwi springfielda. Gdy ze strzelbą w jednym ręku, a latarnią w drugim dochodziła już niemal do wrót stodoły, noc rozdarł przenikliwy wrzask.

- Żebyś się nie ośmielił choć palcem tknąć te dzieci - wysyczała przez zaciśnięte zęby i ruszyła biegiem. Jeżeli Darther jest na tyle trzeźwy, by jeszcze logicznie myśleć, będzie wiedział, że strzelba nie jest nabita. To pioruństwo było jednak na tyle ciężkie, by Carrie zdążyła go nieźle poturbować, zanim zdąży wyrwać jej broń z ręki.

- Dartherze Adamsie! Nawet nie próbuj skrzywdzić moich chłopców! - krzyknęła na całe gardło.

Pomiędzy szparami w ścianach stodoły pojawiło się światło. A więc zapalił latarnię.

- Nie wolno ci...

Drzwi stodoły otwarły się i Carrie stanęła jak wryta, rozdziawiając ze zdumienia usta. Lufa strzelby uderzyła o piach. Carrie na zmianę czuła wściekłość i ulgę na widok mężczyzny ubranego w spodnie z grubego dżinsu koloru indygo i czyściutką, białą koszulę. W uniesionym ręku trzymał za kark

chłopców, którzy bezradnie młócili powietrze nogami i patykowatymi ramionami.

Jej więzień.

Carrie nigdy w życiu nie słyszała takich bluźnierstw, jakie wyrzucały z siebie te drobiny, choć była pewna, że poznała już wszystkie przekleństwa, a nawet sama kilka wymyśliła. Kiedy jednak spostrzegła dwa konie stojące w stodole, zapragnęła przyłączyć się do chóru. Nawet w mdłym świetle dwóch kopających lamp było jasne, że to wspaniałe, kosztowne zwierzęta, które w żaden sposób nie pasowały do tego miejsca. No cóż, gdy ona była u Emmy, ten drań zabawiał się w koniokrada!

Była wściekła na więźnia, ale na siebie jeszcze bardziej. Jak mogła czuć się tak rozczarowana?! Niby z jakiego powodu? Przecież szeryf powiedział jej jasno, że ten Indianin to zatwardziały złodziej. Wiedziała, że nie wsadzili go do więzienia za rwanie petunii z cudzej grządki. Ale wiedzieć o czymś, a ujrzeć na własne oczy dowody przestępstwa, to jednak dwie całkiem różne rzeczy.

A więc to koniokrad.

Obaj chłopcy wpatrywali się w nią, jakby była jedyną nadzieją ich zbawienia. I rzeczywiście tak było. Hamując gniew i rozczarowanie, oznajmiła spokojnym, stanowczym głosem:

- Uspokójcie się. Rozumiem, że nie chcecie spać w stodole ze złodziejem koni.

Pięści Koszuli, wciąż młójące powietrze, przypominały wielkie larwy galasówki na cienkich gałązkach dębu.

- Mamy gdzieś, czy on koński złodziej, czy nie, ale nie zamierzamy spać z jakimś Indiańcem - wyrzucił w końcu.

- Cieszę się niezmiernie, że nie zamierzacie dzielić ze mną kwatery, bo prawdę mówiąc, uważam wasz smród za wyjątkowo odrażający - oświadczył więzień najczystszą angielszczyzną, spoglądając na dwie miotające się figurki.

Carrie potrzebowała pełnej minuty, by dotarło do niej, co się właśnie stało. Gdyby jeden ze stojących w stodole koni przemówił nagle ludzkim głosem, nie byłaby bardziej oszołomiona.

- Ty umiesz mówić?

Mężczyzna uniósł brew w takim geście, że miała ochotę rzucić w niego czymś ciężkim. To ona cierpliwie próbowała go nauczyć takich słów jak „pług”, „drzewo” i „deszcz”, a okazuje się, że mówił po angielsku równie dobrze jak ona. A właściwie dużo lepiej. Rodzice co prawda wychowywali ją starannie, później robiły to misjonarki, jednak Carrie wiedziała, że bardzo się opuściła przy takich kanaliach jak wuj Henry i Darther.

Ale przecież ten pioruński, wart ledwie dwa dolary Indianin, nie mógł nigdy... nigdy nie był...

Całkiem skołowana wbijała wzrok w człowieka, którego do tej pory uważała za niewykształconego poganina i zatwardziałego przestępcę.

Wskazując na dwa konie, które najspokojniej w świecie skubały najlepsze owies Pecka, zapytała:

- Kto... Gdzie... Jak? - Od razu poznała, że to nie są pociągowe zwierzęta. - Nie życzę sobie kradzionych koni w mojej stodole. Gdy szeryf cię tu dopadnie, może oskarżyć i mnie. Zabieraj te zwierzęta i jedź sobie stąd!

Była teraz tak wściekła, że chętnie plułaby jadem i nawet nie próbowała tego ukryć. A jeżeli za jej gniewem kryło się również rozzalenie, upora się jakoś z tym uczuciem, gdy ten parszywiec zniknie jej z oczu.

Lecz Indianin wciąż stał przed nią i trzymał w wyciągniętym ręku obu chłopców, którzy przestali się wyrywać i popatrywali to na kobietę, to na mężczyznę, jakby szacując, która strona weźmie górę i z którą roztropniej będzie się sprzymierzyć. Koszula pociągał nosem, a potem otarł umorusaną twarz, rozmazując łzy znaczące jaśniejszy ślad. Carrie zobaczyła teraz, że ma zaczerwienione od płaczu, niebieskie oczy. Jedno z nich było tak zapuchnięte, że pozostała tylko wąska szparka.

- Natychmiast puść te dzieci - zarządziła.

Poluźnił uścisk tak szybko, że chłopcy niemal zaryli twarzami w piach. Carrie nie mogła na niego patrzeć, tak wielkie ogarnęło ją rozczarowanie, odwróciła się więc w stronę małych zbiegów.

- Cóż, chyba będziecie musieli przenocować w domu. Mogą się przespać na chodniku, który następnego dnia spali w piecu. Potem Carrie wyszoruje cały dom, by wytepić wszelkie robactwo. Dużo zachodu, ale przecież nie może zostawić tych chłopców na pastwę poganina-koniokrada.

Stojąc już w drzwiach chaty, odwróciła się w stronę mężczyzny. Wciąż stał tam gdzie przedtem z wyrazem takiego samozadowolenia na twarzy, że miała ochotę spłaszczyć mu ten dumny nos. Jakim prawem rządził się w jej stodole i narażał ją na więzienie? I czemu przedtem zachowywał się tak, by go polubiła?

Co prawda musiała przyznać, że szczególnie się nie wysiłał. Niemniej i tak go nienawidziła, że aż chciało się jej płakać. Powstrzymywała się tylko dlatego, by nie poczuł satysfakcji, że jej na nim zależy. Bo przecież nie zależało. Była jedynie... bardzo zawiedziona. Niech pioruny go porwą, nie miał nawet na tyle przyzwoitości, by udawać zawstydzonego.

- Przypuszczam, że masz jakieś imię?

Straszne echo przeszłości... „Przypuszczam, że masz jakieś imię, dziewczynko? Jeżeli mamy zabrać cię do domu w ramach próbnej adopcji, musisz nauczyć się grzecznie odpowiadać na pytania lepszych od siebie”.

- Przypuszczam, że masz jakieś imię? - powtórzyła po chwili równie wyniosłym tonem, jak kobieta prowadząca w misji sierociniec. - Muszę wiedzieć, co powiedzieć szeryfowi, kiedy już tu się zjawi.

Jonasz mógłby jej podać swoje indiańskie imię, ale to osłabiłoby jego ducha.

- Więc dowiedz się, że wśród twego ludu noszę nazwisko Jonasz Longshadow.

Jonasz Długi Cień... Carrie przez chwilę przyswajała sobie tę informację. Ponieważ jednak cały czas milczała, dodał:

- Nazywam się Longshadow, bo nikt spośród ludu mojej matki nie był równie wysoki jak ja. Noszę zaś imię Jonasz, bo pod moimi stopami zatoneły trzy okręty.

Czekał spokojnie, zaś ona patrzyła na niego, jakby był jakąś nieznaną dotąd formą życia. Jonasz czuł wstyd, gdy kroczył za pługiem białego człowieka, jednak było to niczym w porównaniu ze wstydem, jaki go ogarnął, gdy uświadomił sobie, że zaczęło zależeć mu na tym, co myśli o nim ta kobieta.

Tymczasem chłopcy znowu znaleźli się na podwórku. Siorbiąc głośno, pili wodę z wydrążonego cyprysowego pnia służącego za końskie poidło. Kobieta, wciąż stojąc w drzwiach, popatrywała to na Jonasza, to na dzieci, to na konie. Dobrze wiedział, co myślała. Mógł natychmiast ją uspokoić, ale postanowił tego nie robić. Niech siedzi w ciemnej, dusznej chacie, ze strachem ściskając swoją nienaładowaną strzelbę. Niech siedzi i nasłuchuje, czy on nie odjeżdża na koniach, które uważała za kradzione, lub czy nie wpada tu pogoń, by go pochwycić, wrzucić do więzienia, a potem powiesić.

Nie zamierzał jej teraz tłumaczyć, że te konie są jego własnością. Że ciężko pracował i oszczędzał przez cztery ponure lata, by kupić ziemię i zwierzęta. I że jeden z marynarzy, z którym kiedyś pływał, przegrał wszystkie pieniądze w karty, a potem oskarżył Jonasza o kradzież swoich zarobków, a ponieważ był biały, to uwierzono jemu, a nie Indianinowi. Jonaszowi nawet nie dano szansy, by udowodnił, że wszystko co posiada, nabył zgodnie z prawem. Kiedy próbował wyjaśnić sprawę, jeden z ludzi szeryfa oznajmił, że jakieś papiery wcale nie świadczą o jego niewinności, bo za kradzione pieniądze wszystko można kupić, także dokumenty.

W tej sytuacji nie miał już żadnych argumentów. Napisał co prawda list do porucznika Pratta, ale wcale nie miał pewności, czy list został wysłany. A bez świadectwa cieszącego się szacunkiem białego człowieka, który potwierdziłby



jego słowa, wszystko, co z takim trudem osiągnął, mogło stać się dowodem przeciwko niemu. Co prawda teraz, gdy już miał przy sobie akt nabycia gruntu i koni, jego szanse na uwolnienie nieco wzrosły, lecz musiał trafić na uczciwego sędziego. No i dożyć do rozprawy.

W tym problem. Szeryf nie należał do złych ludzi, ale jeden z jego zastępców był skończonym półgłówkiem, a drugi pijanicą. Po trzeźwemu zachowywał się impertynencko, a po whisky stawał się naprawdę niebezpieczny.

Carrie wstała przed świtem, łudząc się, że ujrzy czyściutko wysprzątany dom i ani śladu po dwóch małych gościach. Tymczasem obaj spali słodko na chodniku jak niebosko utyłane aniołki. Koszula leżał na brzuchu, z kciukiem w ustach. Kapelusz rozłożył się na plecach i naciągnął na twarz swoje wielkie nakrycie głowy, więc widać mu było zaledwie podbródek. Biedny dzieciak był tak czarny, jakby żywił się błotem. Będzie więc musiała ich porządnie wyszorować, i to najostrzejszym mydłem, by usunąć niezliczone warstwy brudu.

Stała nad dziećmi przez dłuższą chwilę, z trudem powstrzymując łzy. Mniejszy z chłopców miał najwyżej sześć lat, był więc w tym samym wieku co ona, kiedy misjonarki znalazły ją na stryszku, gdzie ukrywała się wraz z kilkoma innymi osobami ocalałymi z masakry.

Przed kim lub przed czym uciekały te dzieci? Dlaczego tak bardzo się bały?

Carrie doskonale wiedziała, co czuje przerażone dziecko zdane na łaskę obcych ludzi. Inne dzieci ocalałe z pogromu zostały adoptowane lub przygarnięte przez dalszą rodzinę, lecz ona nie miała tyle szczęścia. Była chudą, milczącą dziewczynką, i nawet ci, którzy początkowo chcieli ją adoptować, zwracali ją po kilku dniach do sierocińca, uznając, że nie jest dość silna, dość inteligentna czy dość ładna. W końcu znalazła się w Ohio przy boku pani Robinson, starszej już wiekiem nauczycielki misyjnej, która co prawda wcale nie chciała brać żadnego dziecka, ale miała zbyt miękkie serce, by zostawić ją w sierocińcu.

Teraz Carrie mogła odpłacić za okazaną jej wówczas dobroć.

Może zresztą po chłopców zgłosi się rodzina. Na pewno się zgłosi, jeżeli tylko się dowie, gdzie przebywają. Co prawda siedem lat trwało, zanim Carrie odnalazł jej wuj . Miała trzynaście lat, kiedy jakiś dziennikarz, piszący artykuł o masakrze, przeprowadził z nią wywiad i opublikował jej zdjęcie. Kilka miesięcy później nadszedł list z Wirginii od człowieka, który tak jak Carrie nazywał się Vånder. Twierdził, że jego brat i bratowa zginęli w tym właśnie pogromie, i że Carrie była kubek w kubek podobna do jego zamordowanego brata. Oznajmił też, że podobnie jak tragicznie zmarły brat, on również jest poważanym kupcem.

Nim Carrie się obejrzała, pani Robinson już wyprawiła ją do Wirginii, by sama wreszcie przenieść się do domu swojego syna i jego rodziny. Spodziewała się dobrego, starszego pana, tak jak zdarzyłoby się to w bajce, a w tamtym czasie Carrie często przebywała w baśniowym świecie. Niestety strasznie się rozczarowała na widok wuja Henry'ego. W niczym nie przypominał jej ojca ani matki. Był niechlujny, skąpy i wciąż kłął. Zaraz po przyjeździe pokazał jej wychodek oraz pryczę w pakamerze, a potem kazał gotować, sprzątać w sklepie i rozładowywać towar z wozów.

Wielokrotnie prosiła, żeby opowiedział jej coś o rodzinie, ale on nie chciał o niej mówić. Wreszcie zaczęła podejrzewać, że wcale nie jest jej wujem, ale ponieważ i tak nie miała dokąd iść, nie zdradzała się z tym. Żałowała bardzo, że zamiast nowej sukienki pani Robinson nie podarowała jej na drogę książki z baśniami. Przynajmniej miałyby dokąd uciekać w chwilach, gdy prawdziwe życie okazywało się nie do zniesienia.

Nagle jeden z chłopców krzyknął we śnie. Carrie przyklęła i dotknęła jego ramienia. Sama skóra i kości. Najpierw ich nakarmi, a potem wyszoruje. A jeszcze potem będzie musiała się dowiedzieć, gdzie jest ich dom.

Jonasz też wciąż tu był. Teraz, gdy już знаła jego imię, była na niego jeszcze bardziej wściekła niż wówczas, gdy sądziła, że zbiegł. Zrobił z niej kompletną idiotkę. Na pewno cały czas śmiał się w kułak. Niech diabli porwą te

jego szare, kłamliwe oczy! Nic dziwnego, że nawet w kajdanach wydawał się jej arogancki i wyniosły.

Gdy chłopcy zaczęli się budzić, wrzuciła do garnka z wodą grysik kukurydziany i postawiła naczynie na rozgrzanym piecu, a ze spiżarni wyniosła dzban miodu dzikich pszczoł, za który zapłaciła wieloma uządleniami. Gdyby miała krowę, doprawiłaby kleik świeżym mlekiem, ale musiała się zadowolić mlekiem z puszki. Kiedy Darther wróci do domu, zażąda pieniędzy na krowę. Oczywiście o ile wcześniej nie wylądaje w więzieniu za przechowywanie kradzionych koni, zbiegłych dzieci lub koniokrada.

Zadrzała. Gdyby Darther wrócił teraz i zastał nieznajomych, dopiero by się z nią rozprawił...

Kapelusz odmówił zdjęcia nakrycia głowy nawet do śniadania, a Carrie nie nalegała. Im więcej ściągną z siebie łachów, tym więcej robactwa zostawią w domu. Już i tak będzie musiała wynieść materac na podwórze i okadzić go tłącymi się piórami.

- Jak skończycie jeść, pójdziemy nad strumień. Tam porządnie się wyszorujecie, a ja znajdę dla was jakieś czyste ubrania.

Darther na pewno miał kilka koszul na zbyciu. Uwielbiał się stroić, ale nigdy nie wyrzucał żadnych ubrań, nawet gdy nie mógł już dopiąć guzików na brzuchu. Twierdził, że musi być elegancki, bo na wyścigach spotyka się z samą śmietanką towarzyską, choć w gruncie rzeczy, jak twierdziła Emma, był zwykłym śmieciem, hazardzistą i oszustem, który polował na dużą wygraną, by dzięki niej awansować do bardziej szacownych kręgów amatorów gonitw. Wprawdzie Emma teraz już rzadko ruszała się z domu, ale i tak doskonale wiedziała, co się dzieje w okolicy.

Carrie będzie musiała ją rozpytać o te dzieci.

Tak czy owak ktoś, kogo stać na obnoszenie się z wymyślną złotą dewizką, zapewne nic nie straci, gdy starymi ubraniami wspomocze dwójkę nieszczęsnych maluchów.

- No już, chłopcy. Pospieszcie się, czas ucieka. Oczywiście jeżeli zamierzacie sobie stąd pójść, nie będę was zatrzymywać - dorzuciła szybko, sama nie wiedząc, jak będzie lepiej: czy gdy znikną, czy też gdy zostaną. Dziwnie robiło się jej na myśl, że pójdą nie wiadomo gdzie.

Doszli z nią do stodoły, wciąż szepieni ze sobą, podrygujący w jednym rytmie, jakby byli zrośnięci biodrami. Carrie miała ze sobą kawał ługowego mydła, ręczniki zrobione z worków na mąkę i dwie najmniejsze koszule, jakie udało się jej znaleźć. W tym momencie ze stodoły wyszedł Jonasz i chłopcy stanęli jak wryci, wpatrując się w niego z rozdziawionymi buziami.

Carrie wcale im się nie dziwiła, bo wyglądał... inaczej. „Piękny” było pierwszym słowem, jakie przyszło jej na myśl, ale przecież o mężczyznach tak się nie mówiło, chyba że byli aniołami, a ten na pewno nim nie był. Włosy co prawda błyszczały mu niczym mahoń, ale nad głową nie unosił się nawet ślad aureoli.

Przecież to najzwyczajniejszy koniokrad, napomniała się w duchu. To, że płynnie mówił po angielsku i miał na sobie porządne ubranie, wcale nie świadczyło, że nagle przedzierzgnął się w innego człowieka. Nadal był więźniem zwolnionym za dwudolarową kaucją do czasu, aż w miasteczku pojawi się sędzia.

Indianin trzymał w dłoni plik papierów. Ponieważ Carrie wciąż wpatrywała się w niego w milczeniu, postąpił naprzód i zacisnął jej palce na dokumentach. Gdyby dźgnął ją rozgrzanym do czerwoności pogrzebaczem, nie oblałaby jej potężniejsza fala gorąca.

- To akt własności gruntu i rachunek za cztery konie. Te, które stoją w stodole, nazywają się T'a-Kon i Sa-bod-le-te. Na swojej ziemi zostawiłem jeszcze dwie inne klacze. Rozumiesz chyba, że gdybym naprawdę chciał uciec, już bym tutaj nie wrócił - oświadczył takim tonem, jakby miało to dowodzić jego uczciwości.

Carrie zerknęła na papiery, po czym spojrzała mu prosto w szare, nieruchome oczy.

- Z aktami własności czy bez, i tak masz zaprząć do pługa muła i skończyć rozpoczętą pracę - oznajmiła, nie wiedząc, co powinna w takiej sytuacji powiedzieć. Palił ją wstyd, że podejrzewała Jonasza o najgorsze. - Zapłaciłam za ciebie całe dwa dolary. Zatrzymaj te papiery dla szeryfa. I pamiętaj, jak tylko wykapię chłopców, natychmiast ruszamy w pole, słyszysz?

- Ja się kąpać nie zamierzam - wymamrotał natychmiast Koszula.

- Ani ja - poparł go Kapelusz.

Powoli zaczynała rozróżniać ich głosy. Kapelusza był niższy i cieplejszy, natomiast Koszuli przypominał popiskiwanie kociaka. Ubiegłego wieczoru Carrie próbowała się dowiedzieć, jak chłopcy się nazywają, ale nie chcieli jej powiedzieć. Właściwie w ogóle się do niej nie odzywali, tylko szybko zasnęli.

- Jeżeli zamierzacie tu jakiś czas pozostać, to albo się wyszorujecie, albo będziecie spać w stodole - powiedziała ostrzejszym głosem.

W tym momencie podszedł do niej Jonasz i bez słowa zdjął jej z ramienia ręczniki, wyjął z kieszeni mydło, po czym chwycił każdego z chłopców za kark.

- Idziemy - oznajmił tonem nieznoszącym sprzeciwu.

Carrie patrzyła za nimi. Nie wiedziała, czy powinna im towarzyszyć, czy też nie. Chłopcy piszczeli i wymachiwali rękami niczym kurczaki, które próbują odpędzić jastrzębia.

Carrie postanowiła wyprowadzić Sorry'ego. Jonasz nie potrzebował jej pomocy. Choć chłopcy najedzą się strachu, nie wiedzieć czemu była pewna, że Jonasz nie zrobi im nic złego.

Już prawie zapomniiała, że zaledwie tydzień temu chodziła za nim ze strzelbą, a dwa tygodnie wcześniej trzymała go w żelaznych obręczach.

- Sorry, ty znasz go lepiej ode mnie. Co on, na Boga, z nami wyprawia?

## ROZDZIAŁ PIĄTY

Carrie zawięła w serwetkę suchary, kawał twardego sera i garść suszonych moreli, napełniła wodą dwie butelki. Najwyższy czas, by zająć się orką. Jeżeli po pracy chłopcy wciąż tu będą, zastanowi się, co z nimi zrobić. Emma zapewne wie, kto w okolicy ma synków w wieku mniej więcej sześciu i ośmiu lat. Przecież te dzieci nie mogły przybyć z daleka.

Kiedy jednak jakieś pół godziny później Jonasz przyprowadził chłopców - czystych, w miarę utemperowanych i pozbawionych insektów - stało się oczywiste, że nie są braćmi. Ten, którego w myślach nazywała Koszulą, był biały. Miał pszeniczne włosy, bystre niebieskie oczy i więcej piegów niż jastrzębie jajo.

Drugi chłopiec był czekoladowy. Kapelusz gdzieś zniknął i teraz oczom Carrie ukazała się masa kręconych włosów, niczym czarna aureola okalających drobną buzię. Dzieciak rzucał gniewne spojrzenia, jakby chciał sprowokować ją do jakiegoś komentarza, ale Carrie poczuła straszne ściskanie w gardle, więc i tak nie mogłaby powiedzieć ani słowa.

Jonasz popatrzył uważnie na dzieci, po czym wypuścił je z rąk. Najwidoczniej doszli do jakiegoś porozumienia, bo chłopcy nie próbowali uciekać. Po chwili Jonasz skinął im głową, a następnie zwrócił się do Carrie:

- Ja zajmę się mułem. Ty zaopiekuj się dziećmi.

Ruszyli w stronę pola. Procesję otwierał Jonasz prowadzący za uzdę Sorry'ego, zaś Carrie, po raz pierwszy od bardzo wielu lat, z ledwością tłumiała chichot.

- Dokąd idziemy? - zapytał Kapelusz z oskarżycielską nutą w głosie.

- Na moje pole.

- Tu ci nie ma żadnych pól.

- Ale wkrótce będą - odparła stanowczo. - A właściwie skąd wiesz? - zainteresowała się po chwili.

Tym razem odezwał się Koszula. Miał krótsze nóżki i co trzy kroki musiał podbiegać.

- Żeśmy wszystko wpierw oglądneli. Tu nikogo nie ma, tylko jeszcze starsza pani, co mieszka w lesie. Trza nam było do niej iść. Ona nie kazałaby nam brać żadnych kąpielii.

- Ta pani to pani Emma i zapewniam, że wyszorowałaby wam skórę aż do kości. A teraz proszę, poniesiesz butelkę. Tylko uważaj, jeżeli ją upuścisz, nie będziecie mieli co pić.

Wyjęła butelkę z jutowego worka i wręczyła chłopcu, bo z czasów własnej młodości pamiętała, jakie to ważne dla dzieci, by czuły się użyteczne. Skądinąd u pani Robinson, a później u wuja, czuła się tak bardzo użyteczna, że pod wieczór padała z nóg.

Chłopcy zaczęli walczyć ze sobą, który ma ponieść butelkę, poszturchując się i przepychając, jednak bardzo uważnie, by nie wylać wody. Carrie wyjęła drugie naczynie z worka i wręczyła Kapeluszuwi, wygłaszając takie samo ostrzeżenie. Jonasz, postępujący kilka kroków w przodzie, odwrócił się i posłał chłopcom surowe spojrzenie, a potem przeniósł wzrok na Carrie. Nie uśmiechnął się otwarcie, ale przysięgłaby, że w głębokich, przejrzystych oczach dostrzegła szczere rozbawienie.

Jeszcze nie minął ranek, a chłopcy już nie odstępowali Jonasza na krok niczym para rozbawionych szczeniąt, wykrzykując raz po raz:

- Patrz na to, Jonasz. Spójrz na mnie, Jonasz. Zakład, żeś jeszcze nie widział, jak ktoś skacze tak daleko!

Pomijając kilka drobnych utarczek, bawili się radośnie i zgodnie, jakby zapomnieli o bożym świecie. Znowu byli umorusani, ale z tym brudem łatwo się będzie uporać.

Sorry zaparł się o pełną skłębionych korzeni, ciężką glebę. Chwasty i drobne krzewy łatwo ustępowały pod świeżo naostrzonym lemieszem pługa. Kiedy w południe zrobili przerwę, Jonasz zaprowadził muła nad strumień i dał

mu się napić do woli, a potem puścił luźno, by po-skubał soczystą, delikatną trawę porastającą brzeg. Chłopcy pobiegli za nim nad wodę, po czym wrócili mokrzy i ubłoceni, ale roześmiani, jak przystało dzieciom w ich wieku. Carrie nie słyszała, by Jonasz choć raz wydał im jakieś polecenie, lecz oni zdawali się wyprzedzać jego życzenia, jakby czytali mu w myślach. To musi być coś przyrodzonego ludziom Ka-io-way, pomyślała Carrie, gdy wieczorem, noga za nogą, wlokła się do domu.

Do tej pory dowiedziała się jedynie, że Koszula miał na imię Zach, a Kapelusz - Nate. Historię ich życia poznała dopiero parę dni później, lecz nie usłyszała jej od chłopców, ale od Jonasza. Po drugiej nocy, spędzonej w chacie na prowizorycznej pryczy, chłopcy zdecydowali, że jednak wolą spać w stodole. Wzruszając nonszalancko ramionami, Zach poinformował Carrie, że „Indiańcy nie są tacy źli”, wyraził przy tym jednak głębokie ubolewanie, że Jonasz wcale nie jest koniokradem.

- Ojciec Zachariasza był ubogim dzierżawcą - powiedział Jonasz, gdy wspólnie reperowali zniszczoną uprząż. - A matki już nie pamięta.

Carrie westchnęła głęboko. Też ledwie przypominała sobie matkę. Tych kilka wspomnień, które jej pozostały, wiązały się z zapachem cynamonu, świeżo pieczonego chleba i odgłosem ścinających krew w żyłach wrzasków.

- A Nate?

- Mieszkał z babką, która pracowała w kuchni człowieka o nazwisku Litkin.

- Na pewno chodzi o plantację Litkina w pobliżu Snowden. Emma opowiadała mi o okolicznych rodzinach. Stary Litkin chyba zmarł w zeszłym miesiącu, ale ponieważ go nie znałam, nie zwróciłam uwagi na tę informację.

- Babka chłopca umarła jeszcze wcześniej. Kiedy jacyś krewni przyszli zabrać jej ciało, chłopiec ukrył się przed nimi. A gdy już wyjechali, wrócił i zamieszkał w jej chacie.

- Sam jeden?! Przecież to jeszcze malec.



Jonasz wzruszył beznamiętnie ramionami. Był to tak nieindiański gest, że Carrie wbiła w niego zdumiony wzrok. Jeżeli jednak to zauważył, nie dał nic po sobie poznać, tylko powiedział:

- Nikogo już tam nie było prócz pewnego starego, mocno nadwątlonego na umyśle człowieka.

- A Zach? Powiedziałeś, że jego ojciec był dzierżawcą.

- Mieszkali w chacie oddzielonej od farmy Litkina strumieniem. Chłopcy się znali, często łowili ryby w tym samym stawie, każdy ze swojego brzegu. Pewnej nocy Nate'a obudziły wrzaski Zacha. Gdy wyskoczył na dwór, ujrzał płonąca chatę. Bez namysłu skoczył do wody i tam popłynął.

- O, mój słodki Jezu - wyszeptała Carrie.

Ze zwieszonymi rękami słuchała żalostnej opowieści o pijanym dzierżawcy, który przez nieuwagę zaproszył ogień i sam zginął w płomieniach, i o wnuku czarnoskórego niewolnika, który wpadł do płonącej chaty, by uratować przerażone, białe dziecko.

Jonasz relacjonował te fakty bez emocji w głosie, jednak Carrie słuchała go jak urzeczona. Mówił cicho, spoglądając w gęstniejący mrok, jakby przed oczami stawały mu żywe obrazy. Wprost przykuwał uwagę słuchacza. Okazało się, że Jonasz jest utalentowanym gawędziarzem.

Jakim cudem nauczył się tak płynnie i swobodnie władać angielskim? Jego akcent i sposób wysławiania się przywodziły jej na myśl starszych osadników, których poznała, gdy jeszcze mieszkała w Minnesocie.

- Nie wiadomo, jak długo się ukrywali. Biedne maleństwa. Czy jest ktoś, kto by ich przygarnął?

Chociaż Jonasz nie okazywał chłopcom żadnego współczucia, Carrie wiedziała, że był bardzo poruszony.

- Jakaś rodzina? O ile mi wiadomo, nie.

- Więc muszą zostać z nami - powiedziała z westchnieniem, po czym szybko się poprawiła. - To znaczy ze mną.

Oblała się gorącym rumieńcem. Miała nadzieję, że Jonasz nie zwrócił uwagi na jej przejęzyczenie. Tak długo żyła samotnie, że wpadła w nawyk wypowiadania w głos każdej myśli, jaka akurat wpadła jej do głowy.

- Sam skończę tę pracę - powiedział cicho Jonasz. - Natomiast chłopcom przykazałem, żeby nakarmili kury i napełnili poidła.

Codziennie naniesienie wody dla zwierząt wymagało wielu wypraw nad strumień, a do tego Carrie mogła dźwigać tylko jedno wiadro. Kiedy był tylko Sorry, jakoś sobie radziła, ale sytuacja zmieniła się.

- No tak, gdy są jeszcze dwa konie...

Urwała, licząc, że wreszcie coś o nich powie. Czy naprawdę do niego należały? Rachunki były wystawione na jego nazwisko, ale w takim razie dlaczego przyprowadził tu te konie? I jak długo zamierzał zostać? Czy już zapomniał, że nadal jest więźniem wypuszczonym za kaucją?

- Tak, teraz są dwa dodatkowe konie - powiedział z powagą.

Zirytowana jego zdawkowymi słowami, wróciła do tematu dzieci, bo przynajmniej o nich rozmawiał z nią otwarcie i swobodnie:

- To jeszcze maluchy i nie powinienes wymagać, by taszczyły ciężkie wiadra z wodą. Powinienes zrobić to sam.

Jonasz uśmiechnął się, czy raczej przywołał cień uśmiechu, to jednak wystarczyło, by ją skruszyć.

- Daj chłopcu zadanie przerastające jego siły, a szybko do niego dorośnie. Daj mu coś łatwego do roboty, a szybko zejdzie na złą drogę.

- Dzieci powinny się bawić.

- I będą. Wrócą znad strumienia mokrzy i ubłoceni. Dla chłopców to świetna zabawa.

Tym razem posłał jej najprawdziwszy uśmiech, który w policzkach wyłobił dwa głębokie dołki. Carrie tak się w nie zapatrzyła, że aż zapało jej dech w piersiach.

Chwilę później, głęboko wstrząśnięta własnym zachowaniem, mruknęła coś na temat kolacji, odwróciła się na pięcie i pospieszyła w stronę domu. W uszach wciąż dźwięczał jej cichy śmiech Jonasza. Co się z nią działo? Czyżby zbyt wiele razy oberwała po głowie i to pozbawiło ją resztek zdrowego rozsądku? Niewątpliwie coś zaciemniało jej umysł, bo już parę minut później zaczęła podśpiewywać i nie przestawała nucić, gdy wyciągała drewnianą dzieżę do zagniatania chlebowego ciasta.

Kiedy jednak jej wzrok padł na stojącą przy drzwiach strzelbę, śpiew zamarł jej na ustach.

Darther. Przecież wcześniej czy później wróci do domu. Zawsze wracał, bez względu na to, jak długo go nie było. Tym razem mijał już prawie miesiąc jego nieobecności, ona zaś w tym czasie wynajęła więźnia, znacznie posunęła prace na polu, a do tego przygarnęła pod dach dwóch małych, bezdomnych chłopców.

Darther nienawidził zmian. Jeżeli Jonasz i dzieci zostaną tu do jego powrotu, będzie musiała wymyślić jakieś szczególne wyjaśnienie. Mogłaby powiedzieć, że chłopcy mieszkają w okolicy, ale oddalili się od domu i zgubili drogę.

Jasne, i dlatego podarowała im mężowskie koszule? A Jonasz? Jak wytłumaczy jego obecność? Musi się dobrze przygotować na wypadek, gdyby Jonasz i chłopcy wciąż jeszcze mieszkali w stodole, kiedy Darther wróci do domu.

Ale - och! - gdybyż to wszystko mogło jeszcze trwać przez jakiś czas, pomyślała tęsknie. Gdyby mogła mieć przy sobie Jonasza pomagającego w najcięższych pracach, i chłopców zajmujących się kurami. Żeby nadal mogli zasiadać wspólnie do posiłków, rozmawiając i śmiejąc się, jak najprawdziwsza rodzina... Chłopcy chętnie się popisywali, przechwalali jeden przez drugiego, jak szybko umieją biegać i jak wysoko skakać. Carrie i Jonasz, rozbawieni tymi wybrykami, często spoglądali na siebie z uśmiechem.

W czasie kolacji Jonasz kroiłby chłopcom mięso, a Carrie wycierałaby ze stołu mleko rozlane przez Zacha, bo miał zwyczaj żywo gestykulować, szczególnie gdy opowiadał o taaakich rybach.

Carrie wbiła wzrok w okno i ciężko westchnęła. Tak długo nie miała do kogo otworzyć ust, więc teraz chętnie oddawała się pięknym marzeniom. Ale to jedynie marzenie... i nic więcej.

Od chwili zamażpójścia Carrie niemal już zapomniała, co znaczy marzyć. Ledwo dobiegała szesnastu lat, kiedy Darther Adams zatrzymał się w sklepie jej wuja, w Hickory, w drodze powrotnej na południe, po gonitwach kuców organizowanych w Princess Ann, w Wirginii. Słyszając odgłos rozmowy, Carrie wychyliła się przez drzwi i ujrzała przysadzistego dżentelmena w szafirowym surducie, kraciastych spodniach i jedwabnej kamizelce przepasanej złotą dewizką z wisiosem w kształcie galopującego konia.

Carrie widziała go już wcześniej i pomyślała, że musiał być bardzo bogaty, jeżeli nosił tak piękne stroje. Przestraszona, że zostanie przyłapana na podglądaniu, szybko cofnęła się spod drzwi. Wuj nigdy nie przedstawiał jej swoim kompanom-hazardzistom, a zresztą nawet gdyby tak zrobił, Carrie nie wiedziałaby, jak się zachować i co powiedzieć.

Zabrała się więc z powrotem do pracy. Jednak kiedy próbowała zaciągnąć do magazynu ciężkie wory ziarna wyładowane z dostawczych wozów, dochodziły do niej fragmenty rozmowy.

- Ten pioruński koń przyciągnął swój parszywy zad na ostatnim miejscu! Straciłem wszystko, co do ostatniego zafajdanego dolara...

- Tak czy siak, jesteś mi winien... - To był głos gościa, głębszy i niższy, nie tak jękliwy jak głos wuja. - To już trzy miesiące, Hen. Słuchaj, jestem cierpliwym człowiekiem, ale...

Kiedy wuj na nią zakrzyknął Carrie otarła dłonią czoło, rozmazując pot i brud. Stała w drzwiach zawstydzona swoim nędznym strojem i włosami w

nieładzie, w tamtym czasie bardzo długimi i splecionymi w jeden gruby warkocz.

- Potrzebujesz czegoś, wuju Henry?

- Widzisz? A co ci mówiłem? Ciężko pracuje, zna swoje miejsce. Chodź no tu, dziewczyno, żeby ten pan mógł cię dobrze obejrzeć.

Dobrze obejrzeć? Gdyby nie była tak otepiała od ciężkiej harówki i niedożywienia, wypadłaby przez tylne drzwi i pędziła biegiem przed siebie, nie zatrzymując się przez wiele godzin, ale wówczas nie myślała jasno.

Mężczyźni zaczęli oglądać ją ze wszystkich stron, jakby była klaczą wystawioną na sprzedaż. Carrie stała milcząca i nieruchoma, od stóp do głów pokryta kurzem, z zapadniętym brzuchem, w którym burczało z głodu, bo nic nie wolno jej było włożyć do ust, póki nie wypełniła wszystkich obowiązków.

Chwilę później obcy mężczyzna skinął głową i zanim Carrie zdążyła się zorientować, o co chodzi, już została panią Dartherową Adams. Wszystko to trwało mniej niż godzinę.

Oszołomiona myślała wówczas, że życie z tym uśmiechniętym, doskonale ubranym mężczyzną na pewno nie będzie gorsze od życia u boku wuja. W szoku powtórzyła machinalnie jakieś słowa, zakrztusiła się łykiem whisky otwartej dla uczczenia pomyślnej transakcji, po czym została posadzona na złośliwej klaczy, która natychmiast próbowała ugryźć ją w kolano.

Carrie kurczowo uczepiła się siodła, bo od mocnego alkoholu, wypitego na pusty żołądek, kręciło się jej w głowie. Przynajmniej jej oblubieniec, wsiadający właśnie na najpaskudniejszego konia, jakiego kiedykolwiek widziała, robił wrażenie dobrze odżywionego. Musiał zatrudniał kucharkę i służącą, bo sam nie zdołałby ogarnąć tak dużego domu.

Jego surdut był przyciasny. To właśnie zauważyła, kiedy powoli wlokła się na kobyle za jego plecami. Jednocześnie desperacko usiłowała wynaleźć jak najlepsze strony tej nieoczekiwanej odmiany losu. Wciąż powtarzała sobie, że nowe życie na pewno nie będzie gorsze od starego, a przy odrobinie szczęścia

może nawet okazać się lepsze, mimo że pospieszna ceremonia ślubna była dla niej ogromnym rozczarowaniem. Kaznodzieja nawet nie zsiadł z konia. Wraz z Dartherem wyszła na ganek, powtórzyła za duchownym kilka słów, po czym jej mąż dał wujowi Henry'emu jakiś papier. Carrie przypuszczała, że był to tekst małżeńskiej przysięgi. Chwilę później wuj wręczył kaznodziei butelkę whisky i wolebny pospiesznie odjechał.

Wówczas wuj wspomniął coś o uroczystości ślubnej i wcisnął jej w dłoń lepką szklanę.

- Doskonale się spisałaś. Jestem z ciebie dumny - oświadczył z przebiegłym uśmiechem.

Carrie ucieszyła się, że ktoś jest wreszcie z niej dumny. Żałowała jednak, że nie miała dość czasu, by przebrać się w lepszą sukienkę. Przed przyjazdem kaznodziei zdążyła jedynie obmyć twarz i ręce, i zawinąć w węzełek swój skromny dobytek. Właśnie wtedy jej ostatnie, kruche marzenie zaczęło się obumierać.

Oczywiście nie spodziewała się, że nagle stanie przed nią dobra wróżka i całkowicie odmieni jej życie, ale miała przynajmniej nadzieję, że będzie brała ślub w ładnej sukni, z włosami upiętymi w koronę, przystrojonymi wiankiem z kwiatów, jak to widziała na ilustracji w swojej ulubionej książce.

W czasie długiej, przygnębiającej drogi na południe, Carrie z premedytacją odgrzebała kilka dawnych marzeń. Ostatecznie rozczarowanie nie zabijało. Gdyby tak było, umarłaby już dawno temu. Wtedy, gdy pomijano ją przy adopcji na rzecz kogoś młodszego, ładniejszego, mądrzejszego. Wtedy, gdy wuj unikał odpowiedzi na jej pytania i nie chciał opowiedzieć, jaki był jej ojciec, kiedy był małym chłopcem.

Marzenia są wspaniałe, myślała wówczas, ale jeżeli rzeczywistość to pospieszny ślub z dobrze ubranym dżentelmenem, który - sądząc po wyglądzie - nie głodował ani dnia w życiu, ona to zaakceptuje.

Rzeczywistość przyniosła jej jednak pełną przeciągów, ciasną chatę z ciekącym dachem i dymiącym kominem. Przyniosła mężczyznę, który wprawdzie nosił jedwabne kamizelki, ale brudną bieliznę, i który brutalnie rzucił ją na łóżko, a potem zanosił się śmiechem, gdy płakała z bólu. Mężczyznę, który następnego dnia po ślubie zapił się do nieprzytomności, wieczorem dla zabawy strzelał do gniazda pełnego nowo narodzonych wiewiórek, po czym uderzył ją na odlew tłustą łapą, gdy próbowała protestować.

Rzeczywistość przyniosła jej mężczyznę, który rozlewał whisky i pluł przezutym tytoniem na podłogę, który był zbyt leniwy, by wyreperować własny dach nad głową, i który kazał jej sprzątać po sobie, gdy z przepicia dostawał torsji.

Rzeczywistość przyniosła jej mężczyznę, który w życiu cenił jedynie swojego konia, strzelbę po ojcu i złotą dewizkę z wisiosem w kształcie galopującego konia. No i, oczywiście, własną wygodę. Właśnie do tego potrzebował Carrie. Okazało się, że do jej obowiązków należy zaspokajanie każdej jego zachcianki.

Jeżeli chciał zdjąć buty, Carrie musiała to zrobić, a potem oskrobać je z błota i wypastować na wysoki połysk. Jeżeli chciał nowy gąsiorek whisky ze stryszku, musiała biec jak najszybciej, bo Darther nie lubił zwłoki. Nie tolerował też dyskusji i natychmiast okazywał swoje niezadowolenie. Jak na grubego, leniwego mężczyznę, szybko i sprawnie machał pięściami. Pewnie uciekłyby po kilku dniach, ale Darther ją uprzedził.

Nazajutrz w domu zjawiał się mały człowieczek o przebiegłych oczkach i po kilku godzinach obaj ruszyli w drogę. Liam, jak się później dowiedziała, był zaufanym dżokejem, który w wyścigach dosiadał paskudnego wałacha jej męża. Ci dwaj byli praktycznie nierozłączni. To cud, iż nie sypiał razem z nimi w łóżku, uznała Carrie.

Gdy tuż po ślubie patrzyła, jak obaj mężczyźni oddalają się piaszczystą drogą, zaczęła na zimno rozważać swoje położenie. W końcu doszła do

wniosku, że dach nad głową, choćby ciekący, jest lepszy niż żaden. Powrót do wuja nie miał najmniejszego sensu. Oddałby ją mężowi, przehandlował komu innemu lub zaharował na śmierć.

Po rozważeniu wszelkich możliwości Carrie pogrzebała ostatnie marzenia i zabrała się za poprawę własnego losu. Teraz, niemal trzy lata później, miała dach, który już nie przeciekał i komin, który nie dymił. Miała też wspaniałą przyjaciółkę mieszkającą niecałą godzinę drogi od jej domu. Poznała okolicznych farmerów i choć z nikim się nie zaprzyjaźniła, była pewna, że w sytuacji prawdziwego zagrożenia pospieszyliby jej na ratunek.

Teraz, przynajmniej na krótką chwilę, miała przy sobie prawdziwą rodzinę, więc wcale nie zamierzała się przejmować, że znów ożyły w niej marzenia.

Tymczasem niezbyt daleko na północ, w Wirginii, Darther Adams odchylił się na krześle i charknął w stronę szufli do węgla spełniającej rolę spluwaczki, z zadowoleniem czekając, aż Henry rzuci kolejną przegrywającą kartę. Darther zawsze wygrywał z Henrym. Obaj wiedzieli, jak zakończy się każda partia jeszcze przed rozdaniem, ale po ostatniej gonitwie dnia potrzebowali wymówki, by dalej pospołu żłopać whisky. Tego popołudnia Henry zaproponował, by poszli na dziwki, ale byłoby to zbyt wyczerpujące. Zasiedli więc do kart.

Poza tym Henry znów był winien pieniądze Dartherowi, który nie zamierzał dopuścić, by o tym zapomnieli.

- Jeżeli przegram to rozdanie, odliczymy twoją wygraną od długu - oznajmił chytrze, sięgając po dzbanek z samogonem. - Ale jak ja wygram... cóż, już dostałem od ciebie żonę. Jedna w zupełności mi wystarczy.

- Wciąż ją jeszcze trzymasz? Jak się sprawuje?

- Carrie? Całkiem znośnie. Niekiedy gada za dużo, ale ja już tam wiem, jak ją uciszyć. Hen, pamiętaj, że dobrze liczyłem asy, więc nie kłopotz się wyciąganiem tej karty z rękawa.

Już niemal trzy lata minęły od czasu, gdy Henry Vãnder oferował mu jako spłatę długu swoją bratanicę, Carrie, twierdząc, że jest pracowita, dobrze gotuje



i nie zatruwa mężczyzn życie ciągłym mieleniem języka. Prawdę mówiąc, wcale nie wiedział, czy to rzeczywiście jego bratanica, ale Darther, od wielu lat bezskutecznie poszukujący kobiety, która zaspokajałaby wszystkie jego potrzeby, nie niweczając przy tym jego stylu życia, chętnie zaakceptował transakcję bez wnikania w szczegóły.

- Muszę przyznać, że jest pracowita i niezgorzej gotuje. Ale w łóżku marna z niej pociecha. Wolę pierwszą lepszą kurwę od tej chudej szkapę, która nie umie docenić prawdziwego mężczyzny. Mimo to od czasu do czasu biorę ją do łóżka, by nie zapomniała, do kogo należy.

Darther nie dodał, że zdarzało się to jedynie wtedy, gdy był na tyle trzeźwy, by wiedzieć, co się wokół dzieje, i że były to wyjątkowo rzadkie chwile.

- Co mi przypomina, że już czas, bym ruszył na południe. Zostaw babę samą na zbyt długo, a przewróci się jej w głowie. Kiedy ostatnio wróciłem z podróży, kazała mi wytrzeć nogi przed wejściem do domu. Położyła chodnik na podłodze. - Pokręcił głową i pogardliwie wydał usta. - Jeszcze trochę, a zachce się jej firanek w oknie.

- Kubek w kubek jak moja stara.

- Nie miałem pojęcia, żeś był żonaty, Hen.

- A byłem. Ale baba zmarła.

- O do diabła, a to ci dopiero strata - wybełkotał Darther i obaj mężczyźni zanieśli się głośnym rechotem.

Już na trzy dni wcześniej Jonasz wiedział, kiedy klacz się ożrebi. Ponieważ była gamoniowata, nazwał ją Sa-bod-le-te. Carrie i chłopcy skrócili jej imię do Boodle, a dzieci dodatkowo się z niej naśmiewały, bo z zamiłowaniem zjadała drewno, a najchętniej zbutwiałe czubki sztachet i palików. Jonasz wyczuwał, że jej pierwszy poród nie pójdzie jak z płotka, ale na szczęście była silnym, a do tego łagodnym i posłusznym koniem. Zostanie dobrą matką, jeżeli tylko uda mu się bezpiecznie sprowadzić jej źrebię na świat.

Kiedy nadszedł na nią czas, Carrie i chłopcy uparli się, że mu pomogą. Osobiście wolałby zostać sam na sam z klaczą, ale w końcu skinął przyzwalająco głową, nakazując malcom, by nie hałasowali i nie wykonywali żadnych gwałtownych ruchów. Potem skoncentrował całą uwagę na klaczy, uspokajając ją spojrzeniem, dotykiem i cichym słowem.

Żrebak urodził się trzy godziny później. Wstrzymując z przejścia oddech, Carrie i chłopcy przyglądali się, jak Jonasz wsadził rękę pod ogon klaczy i delikatnie wyluskał wilgotne, błyszczące stworzenie.

- Jest całkiem mokre - wyszeptła Carrie, która nigdy wcześniej nie widziała porodu i teraz zafascynowana patrzyła, jak Jonasz sprawnie obchodzi się z łożyskiem.

- Diabła tam, to nic takiego - oświadczył Nate. - Jak się rodzi prawdziwe dziecko, to dopiero widok. Moja babcia wyciągnęła z brzuchów mnóstwo dzieciaków i czasem pozwalała mi patrzeć.

- Wcale że nie. Sam się wkładałeś - wyszeptał Zach zaczepnie.

- Ale mnie nie wyganiała - odparował Nate.

- Szs! - napomniała chłopców Carrie.

Była zauroczona widokiem ciemnego, połyskliwego stworzenia. Jak coś równie pokraccznego mogło jednocześnie mieć tyle wdzięku? Wraz z chłopcami siedziała w boksie, który Darther kazał zbudować dla swego bezcennego watacha Carrie prawie nigdy nie wchodziła do tego pomieszczenia, ale zgodziła się, by Jonasz wprowadził tu klacz. Boodle potrzebowała czystego i spokojnego miejsca.

Siedzieli na słomie, oparci plecami o ścianę z listew. Znużeni chłopcy położyli się na pryczy Liama.

Carrie znalazła się tuż przy Jonaszu. Prawym ramieniem dotykała jego lewego ramienia, a sprany perkal jej spódnicy opadł na obciążone dzinsem udo. Carrie słyszała wyraźnie spokojny oddech Jonasza, gdy oboje przyglądali się klaczy trącej nosem swoje maleństwo.

Jonasz był zmęczony. Umył ręce i ramiona, ale jego ubranie było bardzo poplamione. Mdłe światło latarni kładło się cieniem na zapadniętych policzkach pod wysokimi kośćmi policzkowymi.

Co sprawiało, zastanawiała się Carrie, że ten mężczyzna o brązowej skórze i ciemnych włosach był stokroć wspanialszy od wszystkich złotowłosych bohaterów książek, które czytała w domu pani Robinson?

Nieświadomie przysunęła dłoń do jego dłoni, a chwilę później szybko wychyliła się do przodu.

- Och, Jonasz, zobacz, on próbuje wstać! Nie pozwól mu, bo zrobi sobie krzywdę!

- Patrz spokojnie - odparł beznamiętnym głosem, jakby nie był świadkiem prawdziwego cudu, bo oto długonogie stworzenie stało już na drżących nogach, trącając nosem brzuch matki.

- Mój Boże - wyszeptała Carrie. W tym momencie dłoń Jonasza zacisnęła się na jej dłoni, i ten gest wydał jej się najbardziej naturalny w świecie.

- Widziałam kiedyś nowo narodzone kociaki i szczenięta, a raz nawet cały miot prosiaków, ale źrebak to coś zupełnie innego.

Jonasz ścisnął jej dłoń. Carrie splotła palce z jego palcami. Łagodne światło latarni, zapach koni, krwi i słomy, widok dwóch chłopców pogrążonych w głębokim śnie i Jonasz. Czyż mogło być coś piękniejszego?

Jonasz uważnie przyglądał się źrebakowi. Dojrzał już jego zalety, teraz szukał wad. Nie znalazł ani jednej. Przesunął badawczym wzrokiem po pęcinach, nogach, klatce piersiowej, bokach i zadzie. Przez dłuższą chwilę wpatrywał się w wielkie, ciemne oczy.

A potem skinął głową. Będzie rączym, niezmordowanym ogierem, jak ten, który go spłodził. Jonasz rzucił okiem na Carrie. W jej szeroko rozwartych oczach wciąż czaiło się zdumienie i zachwyt. Jakże prosto byłoby położyć się z nią na sianie i trzymać uspioną w ramionach. I nic więcej. Na razie...

By znaleźć pretekst dla wysunięcia ręki z jej dłoni, Jonasz pochylił się i zaczął gładzić boki klaczy. Przez ciało konia przebiegł dreszcz i nagle wielki aksamitny nos zaczął trącać ramię Jonasza. Carrie przesunęła się bliżej ściany. Zauroczenie, jakie jeszcze chwilę temu ich łączyło, znikło bezpowrotnie.

Jonasz był przerażony własnymi uczuciami. Kierował się zasadą, by nie zaprzętać sobie głowy kobietami, co najwyżej dla pofolgowania męskiej naturze. Dla kobiet, a w szczególności białych kobiet, nie było miejsca w jego świecie.

- Czy Con jest ojcem małego? - spytała Carrie dziwnie spiętym głosem.

Con. Jego gniady ogier nazywał się T'a-Kon z powodu ciemno podpalanych uszu. Ale i Carrie, i chłopcy mówili o nim Con.

- Tak.

- Bardzo przypomina ojca, prawda? Jak dasz mu na imię?

Jonasz jeszcze się nad tym nie zastanawiał.

- Możesz sama nadać mu imię - powiedział niespodziewanie.

Kiedy zobaczył, jak oczy Carrie rozwarły się z niedowierzania i radości, niemal pożałował swojego odruchu. Ten epizod w jego życiu wkrótce dobiegnie końca, a im mniej faktów będzie mu o nim przypominać, tym szybciej zapomni o przeszłości i ruszy do przodu.

- Muszę się zastanowić. Nie chciałabym mu nadać imienia, które by mu się nie spodobało.

Jonasz z powagą skinął głową. Dla konia imię to wyłącznie jeden z wielu dźwięków. Czy dobry czy zły, zależało jedynie od sposobu w jaki został wyartykułowany. Nie zamierzał jej jednak tego wyjaśniać, bo widok radości i podniecenia na jej twarzy, sprawiał mu prawdziwą przyjemność. Był o wiele lepszy od wyrazu strachu i gniewu, które widywał aż nazbyt często, czy też głębokiego smutku w chwilach, gdy wędrowała gdzieś daleko myślami.

## ROZDZIAŁ SZÓSTY

Na pamiątkę po ojcu Carrie źrebak został nazwany Howard. Długo rozważała, czyjej ojciec nie poczułby się urażony, doszła jednak do wniosku, że uznałby to za szczególne wyróżnienie.

- Jeżeli następnym razem będziemy mieli klaczkę, czy będziemy mogli dać jej imię po mojej matce? - spytała na wpół żartobliwie.

- To zależy, jak miała na imię twoja matka - odparł Jonasz pełnym powagi głosem, ale Carrie już nauczyła się dostrzegać iskierki humoru pod tą chmurną maską.

- Aksa. To imię wzięte z Biblii.

- Z twojej Księgi Jezusa.

Nagle zatroskana i zmieszana, Carrie rzuciła szybko:

- Nie musimy jej nadawać imienia po mojej matce. Możemy ją nazwać po twojej.

Zaraz po przebudzeniu Carrie pobiegła do stodoły, przerażona, że może źrebię nagle znikło, że to wszystko jej się przyśniło. Zobaczyła starannie zaścieloną pryczę Liama i pusty boks wysypany czystą, świeżą słomą. Jonasz wyprowadził klacz i źrebaka do niewielkiej zagrody, którą zbudował za stodołą. Przez ostatnie kilka dni pilnie reperował zawalone ogrodzenia. Wymieniał zbutwiałe paliki, wycinał powój oplatający zardzewiałe druty.

Na widok stojącej w zagrodzie potulnej klaczy i jej dziecka Carrie coś ścisnęło w gardle. Con stał tuż za ogrodzeniem, jakby na straży swojej rodziny. Wolnym krokiem Carrie okrążyła wybieg i stanęła tuż przy Jonaszu.

- Myślisz, że Con wie, że to jego dziecko?

- Wie.

- A skąd wiesz, że wie?

- Po prostu wiem - odparł i Carrie, chcąc nie chcąc, musiała przyjąć do wiadomości jego słowa.

Wielki gniadosz był bardzo narowisty, ale przy Jonaszu zmieniał się w łagodne jagnię. Carrie nieraz patrzyła, jak Jonasz z rozwianymi włosami na oklep galopował na nim. Przelatywali nad ogrodzeniami, przecinali polanę i wpadali na piaszczystą drogę. I wówczas przypominała sobie, w jaki sposób Jonasz dotarł na jej farmę. Przywiązany do rozklekotanego wozu, z nogami spętanymi żelaznymi obręczami.

Patrząc na niego z ukosa, zastanawiała się, co w nim było takiego, że niekiedy chciało jej się przy nim płakać, a niekiedy ciągle śmiać. Nagle zorientowała się, że ostatnio myśli tylko o Jonaszu i że budzą się w niej dziwne, niepojęte pragnienia.

To pewnie miało coś wspólnego ze szczególnym związkiem kobiety i mężczyzny. Emma starała się kiedyś jej to wytłumaczyć, pilnie wystrzegając się zagłębiania w szczegóły. Carrie zrozumiała z jej opowieści, że w ciemnościach nocy, w pościeli, dzieją się tajemnicze rzeczy, które sprawiają, że ma się ochotę śmiać i płakać, i krzyczeć, ale nie starcza na to tchu, więc jedynie leży się z uśmiechem na ustach.

Tak właśnie powiedziała Emma. Carrie czekała, by podobne przeżycie spotkało ją z Dartherem, ale na próżno. Jeżeli w rzadkich chwilach trzeźwości zdarzało mu się unieść jej spódnicę, natychmiast ogarniały ją straszne mdłości.

Ale z Jonaszem.

Cóż, pozostało jej tylko domyślać się, jakby mogło z nim być, ale nigdy się tego nie dowie. Może to zresztą i lepiej, biorąc pod uwagę fakt, jak wielką miał nad nią moc.

Potężny ogier zarżał donośnie, klacz spokojnie zerknęła na niego, a potem zaczęła delikatnie trącać nosem swoje źrebię i Carrie ponownie poczuła ściskanie w gardle. Te nagłe wzruszenia miały coś wspólnego z jej uczuciami do Jonasza, Carrie miała jednak dość rozumu, by nie zastanawiać się nad nimi głębiej.

Nagle u jej boku pojawił się Nate i Carrie wyciągnęła rękę, by pogłodzić go po włosach.

- Czy znalazłeś ciastka rodzynekowe, które upiekłam z rana?

- Tak, psze pani. Od razu - odparł chłopiec, nagradzając ją tak promiennym uśmiechem, że znów nieomal zalała się łzami. Na szczęście Nate zmienił nastrój chwili, wskazując na ogiera i zwracając się do Jonasza: - Czy będziesz dziś na nim jeździć?

- Będę.

Zach wcisnął się pomiędzy Jonasza i Nate'a, i natychmiast wtrącił swoje trzy grosze:

- Nigdy nie widziałem konia, co tak szybko biega.

- A ja widziałem szybszego.

- A bo nie!

- A bo tak!

- Szsz, chłopcy. Nie płoszcie Howarda. Myślę, że nam wszystkim należy się dziś dzień wolny od pracy. Co wy na to?

- To znaczy że nie pójdziemy na pole? - upewnił się Nate i zaczął radośnie brykać, a Zach wycelował palec w stronę drzew i wrzasnął: - Bang, bang! Będę polować. Ubiję gęś i królika na kolację.

Carrie spojrzała w oczy Jonasza i uśmiechnęła się, gdy ziemia przestała dudnić pod stopami dzieci. Springfield był tuż przy drzwiach. Stal beczynnie oparty o ścianę już od dwóch tygodni. Nie stanowił jednak żadnego zagrożenia dla chłopców, był bowiem dla nich za ciężki, nie mówiąc już o załadowaniu czy wymierzeniu do celu.

- A może złowilibyście kilka ryb na obiad? W stodole jest bambusowy kij, a za kurnikiem wykopiecie kilka tłustych robaków.

Carrie szczerze wątpiła, czy chłopcy zdołają złapać choćby najmniejszą rybkę, bo jej nigdy nie udało się podobna sztuka, ale wędkowanie powstrzyma ich na jakiś czas od psot.

Kiedy chłopcy, głośno pokrzykując, pobiegli w stronę strumienia, Jonasz gwizdnał cicho. Patrząc podejrzliwie w stronę Carrie, potężny ogier podszedł bliżej.

- Teraz go poujeżdżam, a potem zajmę się szopą.

Kolejne z jego przedsięwzięć. Swego czasu do stodoły przylegała przybudówka, ale dźwigary przegniły do cna i dach całkowicie się zapadł. Carrie, nie chcąc jeszcze odchodzić, rzuciła:

- W takim razie, jak już zrobiliśmy sobie wakacje, zajmę się praniem.

Oboje roześmiali się z tak nielogicznego wyводу, a chwilę później Jonasz nałożył na Cona uzdę. Ogier stał spokojnie, strzygł jedynie uszami, a przez boki przebiegał mu dreszcz. Carrie nie umiała orzec, czy to z powodu zbliżającej się przejażdżki, czy kąśliwych much. Żałowała, że nie zna się lepiej na zwierzętach, ale jej rodzice, ojciec sklepikarz i mama nauczycielka, nie trzymali w domu żadnego inwentarza poza kurami i kotem myszołapem.

Później Carrie miała do czynienia ze starą, mleczną krową i kilkoma kurami, a także zawarła przelotną znajomość z kozą i zdzięczalym szczeniakiem. Najściślejsze relacje łączyły ją jednak z najgłupszym i najbardziej upartym mułem w całej Karolinie Północnej. Miał pysk z żelaza, a łeb twardszy od armatniej kuli i bezczelnie drwił sobie z Carrie, gdy ta szarpaniem próbowała zmusić go do czegokolwiek!

Oczywiście z Darthera w takich sytuacjach też nie miała żadnego pożytku. Na widok jej zmagania z mułem albo wybuchał śmiechem, albo wpadał w szewską pasję. W końcu Carrie odkryła, że aby ta bestia łaskawie zechciała wziąć się do pracy, musi obrzucić ją stekiem najgorszych wyzwisk.

Aż nagle zjawił się Jonasz. I okazało się, że wystarczy kilka jego cichych słów, jedno ciepłe spojrzenie i ten pioruński muł przeistaczał się w łagodnego baranka. Carrie wciąż nie mogła się nadziwić, jak wspaniale ten mężczyzna umiał sobie radzić ze zwierzętami i dziećmi.



Chłopcy wędkowali teraz nad strumieniem, czy raczej pławili się w chłodnej wodzie. Na farmę dobiegały ich radosne śmiechy i krzyki. Jonasz wskoczył na konia i najpierw jeździł wokół stępa, by wreszcie nabrać prędkości i przesadzić zawałoną bramę w ogrodzeniu. Carrie jeszcze zdołała zobaczyć, jak koń i jeździec przefruwają nad pobliskimi żywopłotami, a zaraz potem zniknęli jej z oczu. Jeżeli Con był zazdrosny o czas, jaki Jonasz poświęcił Boodle i jej maleństwu, teraz powinien się czuć w pełni usatysfakcjonowany.

Carrie zabrała się za podbieranie jajek. Potem czekało ją pranie, a na koniec szycie. Już się cieszyła na myśl, że chłopcy niedługo będą chodzić w nowych spodniach.

Z drogi prowadzącej do domu dobiegł ją tętent galopującego konia. Uśmiechnęła się radośnie i odgarnęła włosy z twarzy. Trzymając w podołku spódnicy cztery jajka, wybiegła z kurnika i przesłoniła oczy. Wówczas zobaczyła jeźdźca, który ześlizgiwał się z podjezdka i dla złapania równowagi złapał za strzemię.

Jezu najśłodszy, to Darther!

Mąż odwrócił się i wówczas ją zauważył. Carrie serce podeszło do gardła. Aż nazbyt dobrze знаła ten wyraz twarzy. Darther był nie tylko pijany, ale i rozjuszony niczym szerszeń. Zamykając za sobą ogrodzenie na haczyk, ostrożnie ułożyła jajka na brzegu poidła, po czym zmusiła się, by przywołać na usta uśmiech. Kiedy jej mąż był w takim stanie, wszystko mogło wyprowadzić go z równowagi.

- Gdzie Liam? I gdzie Peck? Darther rzucił jej takie spojrzenie, jakby była węzem, którego nagle znalazł we własnym łóżku.

- Parszywy sukinyś go okaleczył!

- Ktoś okaleczył Liama?

Gdy ujrzała jego wzrok, aż się cofnęła.

- Nie, ty tępa suko. Parszywy skurwiel upił się, władował Pecka w płot i złamał nogę!

- Liam ma złamaną nogę?

Akurat w tym momencie, gdy Darther zamachnął się i huknął ją w głowę, z zarośli wypadli Zach z Natem, rozlewając na boki wodę z zardzewiałego wiadra. Mimo łez w oczach, Carrie spostrzegła, jak chłopcy zawahali się przez chwilę, po czym popędzili w stronę lasu. Z trudem powstrzymała się, by nie wykrzyknąć w ich stronę jakiegoś ostrzeżenia, w porę jednak uświadomiła sobie, że Darther na pewno by za nimi pogonił. „Trzymajcie się od tego domu z daleka”, usiłowała przekazać im w myślach. Boże, a co z Jonaszem?

Przecież wiedziała, że jej mąż w końcu wróci. Czemu więc drobiazgowo nie zaplanowała, co mu powiedzieć? Jak teraz wytłumaczy obecność bezdomnych chłopców i Indianina? Tępo, niczym kołek w płocie, pozwalała, by mijał dzień za dniem, jakby nie istniało żadne jutro.

Lecz oto jutro nadeszło. W uchu jeszcze jej dzwoniło od silnego ciosu, zaś Darther splunął i zaczął wyrzucać z siebie kolejny potok przekleństw.

- To pioruński koń złamał nogę. Musiałem posłać go do diabła. Zawalił gonitwę, zmarnował moją forszę i forszę Henry'ego, ale ja mu pokazałem. Tak jest, już ja mu pokazałem - oznajmił, obnażając żółte zęby w tak złowrogim uśmiechu, że Carrie aż przeszły ciarki.

Pokazał Henry'emu czy koniowi? Nie miała pojęcia i tak naprawdę wcale jej to nie obchodziło. Zmusiła się jednak, by powiedzieć:

- Tak, rozumiem, stało się źle. Zapewne jesteś bardzo zmęczony po...

„Po wyładowaniu swej wściekłości na tym biednym, zgonionym koniu”, miała ochotę powiedzieć, rozpoznając jednego z podjezdzków trzymany na wynajem przez jej wuja.

- Po tak długiej podróży z Wirginii - dokończyła słabym głosem.

Nie zadając sobie trudu, by rozkulbaczyć konia, Darther chwiejnym krokiem ruszył w stronę domu. Carrie podążyła za nim, wcześniej chwytając jajka. Jedno było stłuczone, więc je wyrzuciła.

- Przynieś mi mój gąsiorek, kobieto - rozkazał Darther, nawet nie odwracając głowy.

Czemu nie? - pomyślała. Im szybciej jej mąż zapije się do nieprzytomności, tym szybciej będzie się mogła zastanowić, jak wytłumaczyć obecność Jonasza i chłopców.

W tym momencie uderzyła ją nagła myśl. A jeśli Darther zauważył klacz ze źrebięciem? Jak to wyjaśni mężowi? Nawet gdyby odesłała Jonasza z chłopcami do Emmy, nie będą mogli zabrać ze sobą koni, bo nie było tam stajni, a stodoła groziła zawaleniem.

Carrie otworzyła szeroko drzwi domu, tymczasem ten opój, jej mąż, chwiejnie wspiał się na trzy drewniane schodki, zataczając się przeszedł zabłoconymi buciorami po świeżo wyszorowanej podłodze i opadł na ławę przy kominku. Bez jednego słowa Carrie przyniosła gąsiorek whisky i postawiła tuż obok ławy, modląc się w duchu, żeby Darther był na tyle pijany, by nie zauważyć, iż uszczknęła sobie miarkę, gdy naszły ją comiesięczne przypadłości. Jej mąż wbił w gąsiorek wściekle spojrzenie, a Carrie z przestachu aż wstrzymała oddech. Z przyczyn, których nie pojmowała, Darther niekiedy udawał bardziej pijanego niż był w rzeczywistości.

Tym razem jednak nie udawał. Nie zwracając najmniejszej uwagi na znak zakreślony z boku gąsiorka, odkorkował go, przechylił i zaczął głośno żłopać. Samogon ciekł mu po brodzie, mocząc wyświechtaną koszulę. Podbródek Darthera błyszczał od potu i whisky, zaś w fałdach jego szyi Carrie dostrzegła czarny, głęboko wżarty brud.

Przesuwając się nieznacznie w stronę drzwi, Carrie oznajmiła:

- Jeżeli... hm... nie potrzebujesz mnie w tej chwili, to pójdę... hm... nakarmić kury, dobrze?

Kury mogły poczekać, ale jak najszybciej musiała odnaleźć Jonasza i chłopców, by ich ostrzec, że muszą się na razie trzymać od jej domu z daleka.

Kiedy już znalazła się na dworze, przestłoniła oczy od słońca i zaczęła rozglądać się wokół. Bała się zawołać, bała się ruszyć na poszukiwania. Gdzie jesteście? I co mam teraz zrobić? Och, mój dobry Boże, czemu tę nogę złamał jego koń, a nie on?

Carrie stała na podwórku tak długo, jak uznała za bezpieczne, próbując znaleźć jakieś logiczne uzasadnienie na obecność Nate'a, Zacha i Jonasza. Czy mogliby uchodzić za jej krewnych? Może Zach, ale w żadnym razie Jonasz i Nate.

Wynajęła ich, by pomagali w obejściu? Ale za co? Darther dokładnie wiedział, ile miała pieniędzy i drobiazgowo rozliczał ją z każdego centa.

No dobrze. W takim razie przyjęła ich pod swój dach w zamian za pracę. Pojawili się pewnego dnia i oświadczyli, że za wyżywienie gotowi są we wszystkim pomóc. Kto jak kto, ale Darther doceniał wartość taniej siły roboczej. Z tego powodu zdecydował się na żonę.

Hm, podobne wyjaśnienie mogłoby być wystarczające w przypadku chłopców, ale nie Jonasza. W taki sposób nie da się wytłumaczyć obecności na lichej farmie zdrowego, dorosłego mężczyzny, na dodatek właściciela trzech wspaniałych koni. To natychmiast wzbudziłoby podejrzenia. Chociaż Darther wiedział, że pragnęła wyhodować zboże na sprzedaż, nie da wiary, że była w stanie zapłacić odpowiednie wynagrodzenie takiemu człowiekowi jak Jonasz. Jeżeli zaś wyzna prawdę i powie, że wynajęła więźnia, jej mąż wpadnie w szal i oskarży ją, że przyprowadziła do domu człowieka, który wepchnie im nóż w plecy i ograbi z całego majątku.

Wreszcie doszła do wniosku, że najlepiej będzie, jak poczeka, aż jej mąż spije się i zaśnie, a wówczas ona odnajdzie Jonasza i chłopców, i każe im trzymać się z daleka od domu, dopóki Darther znów nie wyjedzie.

Oby zniknął jak najszybciej. Niech przepuszcza pieniądze na wyścigach kuców, psów czy kur, było jej wszystko jedno. Boże, dlaczego musiał wrócić właśnie teraz?

Drżała na całym ciele, gdy na palcach wracała do domu, nie dostrzegłszy ani chłopców, ani Jonasza. Nie miała śmiałości ich zawołać, ani zacząć walić w miedziany rondel, jak to ustaliły z Emmą na wypadek nagłego nieszczęścia. Darther wciąż był przytomny i teraz utkwiał swoje małe, świńskie oczka w strzelbie stojącej przy drzwiach.

- Przygotować ci coś do jedzenia? - spytała niepewnie.

- Czyżby broń papy spadła nagle ze ściany? Zjadliwy ton jego głosu uświadomił jej, że Darther ani przez chwilę nie uwierzyłby w podobną wersję.

- Ja... hm... któreś nocy wydawało mi się, że lis wpadł do kurnika.

- I chciałaś go odstraszyć nienabitą strzelbą? - wycedził bełkotliwie.

Z Dartherem nigdy nie było wiadomo, jak jest naprawdę. Był w sztok pijany, a za chwilę myślał i działał logicznie. Musiała jakoś zmienić temat. Chwyając głęboki oddech, uśmiechnęła się radośnie.

- Czy mówiłam ci już, jak daleko posunęłam się w pracy? Wszystkie pniaki zostały wykarczowane z północno-wschodniego pola i nawet udało się nam, to znaczy mnie i Sorryemu, zaorać spory kawał ziemi. Gdy nadejdzie wiosna, wystarczy rozbić grudy, zabronować i już będzie można siać.

Przylepiony uśmiech sprawiał jej ból, bo twarz Carrie zaczęła puchnąć od ciosu, który mąż niedawno jej wymierzył. Jak na mężczyznę, który w życiu nie przepracował ani dnia, Darther był zadziwiająco silny.

„Prawda was wyzwoli”. Musiała wyhaftować tę sentencję krzyżykami, gdy miała zaledwie jedenaście lat. Rezultaty były dość żałosne. Ale przecież wyznanie wszystkiego w tej chwili nie mogło być trudniejsze od żmudnego wyszywania tych słów na wymiętoszonym kawałku płótna.

- Darther, słuchaj. Ja... hm... zatrudniłam, to znaczy wynajęłam więźnia za parę dolarów, które pożyczyłam od Emmy. Umówiliśmy się, że oddam jej po pierwszych zbiorach. - Wstrzymując oddech, czekała na reakcję. Jeszcze trzy lata temu oczy Darthera nie były aż tak mętne i przekrwione, zatopione w

żółtawych fałdach tłuszczu. - W każdym razie... on uczciwie i ciężko pracuje. Ani razu nie próbował uciec i...

Darther przenosił wzrok z Carrie na stojącą pod drzwiami strzelbę. Nagle twarz poczerwieniała mu jeszcze silniej. Przeklinając, dysząc i parskając, zerwał się z ławy. Kiedy dopadł do springfielda, Carrie umknęła na podwórze. Strzelba nie była nabita, a w obecnym stanie Darther, nawet gdyby znalazł naboje, pewnie nie zdołałby załadować broni, nie mówiąc już o precyzyjnym wycelowaniu.

Była już w połowie drogi do stodoły, gdy ją dopadł i lufą zahaczył o ramię.

- Wracaj tu natychmiast, suko! - wyryczał na całe gardło. - Już ja ci pokażę... pokażę ci...

Nagle jakby zapomniał, co zamierzał jej pokazać, jednak Carrie знаła go zbyt dobrze, by uznać, że jej się upiekło. O ile Darther natychmiast nie straci przytomności, ani na sekundę nie wolno jej osłabić czujności.

Jonasz spostrzegł chłopców, gdy tylko wypadli z lasu, pędząc niczym dwa spłoszone zające. I zanim jeszcze usłyszał ich gorączkowe krzyki, wiedział już, że Carrie znalazła się w niebezpieczeństwie.

- Jonasz, Jonasz! Szybko! Musisz tam jechać, bo on ją zabije!

- Musisz kazać mu przestać ją bić!

W sercu poczuł lodowaty chłód. Ogier natychmiast pojął niemą komendę i skierował się w stronę przecinki. Nawet poprzez świst wiatru i stukot kopyt dobiegał Jonasz krzyk Nate'a: jakiś szaleniec bił panią Carrie i groził, że powystrzela wszystko, co się rusza.

Jonasz miał wrażenie, że krew ścina mu się w żyłach. Gdy przesadzał przez żywopłot i galopował przez pole, miał przed oczami czerwone plamy. Wreszcie przefrunął nad stosem na wpół spalonych karczów i wypadł na polanę za domem.

Carrie. Carrie Adams. Carrie go potrzebowała. Była w niebezpieczeństwie.

Chwiejąc się na nogach, Darther wbijał wzrok w niezwykle zjawisko. Co to? Koń w galopie?!

Dotknął wisiora-talizmanu dyndającego u ciężkiej, złotej dewizki. Bez względu na to jak był pijany, nie ztracał umiejętności oceny koni i jeźdźców. Wartość Pecka polegała na tym, że był szybki, a jednocześnie tak pokraczny, iż wszyscy mieli go za ostatniego łacha. Tymczasem z Liamem na grzbiecie w każdej gonitwie przybiegał w czołówce. Mieli piękny układ, dopóki tym parszywym dżokejem nie owładnęła chciwość, przez co wszedł w konszachty z kilkoma cwaniakami z północy.

Chociaż kosztowało to Darthera wiele bólu, strzelił pioruńskiemu wałachowi w łeb i pożyczył od Henry'ego mizernego podjezdka. A potem dopadł Liama. I teraz nie miał najmniejszych wątpliwości, że wiele wody upłynie, zanim ten fałszywy parszywiec o twarzy łasicy znowu będzie mógł dosiąść koma.

Jednak w tej chwili z zapartym tchem patrzył, jak potężny, gniady ogier wprost z galopu zatrzymuje się w miejscu i nawet nie robi bokami. Siedzący na nim jeździec, z całą pewnością Metys, zsunął się na ziemię i ciskał z oczu takie pioruny, że Darther miał ochotę mu przyłożyć. Przeklęte mieszańce! Przeklęte Indiance! Zdradliwi i podstępni jak żmije!

Ten jednak potrafił dosiadać konia. Ado tego jego przeklęty koń to prawdziwa kopalnia złota. Wystarczyło spojrzeć na te nogi, na tę pierś. W ogierze płynęła krew arabów, a jeśli nie, to niech go nazwą znawcą szcurzych zadków, nie koni!

Tak się akurat składało, że Darther na gwałt potrzebował kolejnej kopalni złota. Peck powoli się kończył, bo rozniosło się po torach, zapewne za sprawką Liama, żeby nie obstawiać przeciwko niemu. Cała zabawa polegała przecież na pozorach i oszustwie. Bez sensu było jeździć po małych, prowincjonalnych gonitwach, bo tam pula nagród niewarta była splunięcia. Musieli więc z Liamem

podróżować coraz dalej, by znaleźć dość duże wyścigi, na których jego paskudny wałach nie był jeszcze znany.

Bez względu na to, kim był ten mieszaniec, ze swoim koniem mógłby z łatwością odegrać wszystko, co Darther stracił i jeszcze zarobić dużo więcej. Zaczerpnawszy głęboki oddech, Adams zmusił się do uśmiechu i zachowania postawy świadczącej, że może nie jest całkiem trzeźwy, ale na pewno nie tak bardzo pijany, jak był w rzeczywistości.

- Ca-arrie, prze-edsta-aw mnie. Sięgając za siebie, chwycił ramię Carrie w żelaznym uścisku i pociągnął ją do przodu. - Ta tu-utaj, to moja żo-ona. Je-esteś jej zna-ajo-omym?

Metys bez słowa podszedł do okrytego pianą podjezdka i zdjął z niego siodło, a potem poprowadził kulejące zwierzę w stronę stodoły.

- Wracaj tu natychmiast ty parszywy... - wrzasnął Darther, z całej siły wbijając palce w ramię Carrie.

Musiała w tym momencie jęknąć, bo Jonasz odwrócił się natychmiast i ruszył w stronę Darthera. W jego kocich, gibkich ruchach czaiła się groźba. Carrie zaczęła go w duchu błagać, by nie wszczynał awantury, bo jej mąż może go zastrzelić. „Uciekaj natychmiast”, chciała krzyknąć. Wzrokiem zebrała, by odnalazł chłopców i trzymał ich z dala od tego domu, póki nie będą mogli bezpiecznie powrócić, ale nie mogła tego powiedzieć.

- Kobieto, czekam!

- To... to jest... Jonasz Longshadow. Mówiłam ci, że go najęłam, by pomógł mi wykarczować i zaorać pole. - Czekala na wybuch, ale do niego nie doszło.

Wciąż bezlitośnie ściskając jej ramię, skinął głową w stronę ogiera stojącego spokojnie przy Jonaszu.

- Nieźle wygląda ten gniadosz. Nie jest może najpiękniejszy, ale tak się składa, że szukam dobrego, ułożonego wierzchowca. Mogę za niego zaferować...

- Darther, muszę ci coś powiedzieć...



Jego palce jeszcze boleśniej wpiły się w jej ramię.

- Milcz, kobieto.

Teraz, gdy sprawa z Jonaszem została już wyjaśniona, chciała, żeby poznał całą prawdę.

- Chodzi o tych chłopców...

- Do diabła, kobieto, mówiłem ci... - Nagle urwał i jego twarz wykrzywił złowrogi grymas. - Jakich znowu chłopców?

- Tych... hm... których przygarnęłam.

Darther zamierzył się na nią pięścią i Carrie już cała skuliła się w sobie, cios jednak nie spadał. Gdy chwilę później ostrożnie otworzyła oczy, zobaczyła, że Jonasz trzyma jej męża za wzniesioną rękę.

Och Boże, ależ bolało ją ramię. Wkrótce pokażą się na nim takie same sińce jak na twarzy. Ale tym, co dokuczało jej teraz najdotkliwiej, nie były siniaki, ale zraniona duma. Nie chciała, by Jonasz zobaczył ją w podobnej sytuacji. Nie chciała, by się dowiedział, że poślubiła takiego, żalosego śmiecia i tkwiła przy nim od trzech lat. Tego po prostu nie mogła znieść.

- Nie uderzysz tej kobiety - oświadczył Jonasz spokojnie, niemalże szeptem.

Patrzył na tego zapitego sukinsyna i miał ochotę go zamordować. Jego własny ojciec musiał być takim właśnie człowiekiem, zagarniającym wszystko, na co miał ochotę, pastwiącym się nad słabszymi od siebie.

Wszyscy zastygli w bezruchu. Carrie odwróciła wzrok i zaczęła wpatrywać się w pobliski las. Nie przychodźcie, trzymajcie się od tego miejsca z daleka, dopóki ten bydlak stąd nie wyjedzie! - krzyczała w duchu. Postanowiła, że jeśli ten parszywy opój choćby palcem tknie któregoś z jej chłopców, rzuci się na niego z motyką.

Chwilę później aż rozwarła usta ze zdumienia, gdy zobaczyła, że jej mąż zaciera swoje tłuste łapy i wybucha wymuszonym, rubasznym śmiechem. Jakby nagle znaleźli się we trójkę na popołudniowej herbatce w salonie pani Robinson.

Kiedy Darther posunął się do poklepania Jonasza po plecach, Carrie miała wrażenie, że świat się kończy.

Przenosiła wzrok z jednego mężczyzny na drugiego. Żaden nie zamierzał ustąpić pola. Prowadzili cichą batalię. Carrie doskonale wiedziała, który z nich był tym najlepszym, wiedziała też jednak, że nawet najlepsi nie zawsze wygrywają z pijanym, podstępным brutalem.

Darther nie wytrzymał pierwszy. Nie spuszczać wzroku z twarzy Jonasza, zadysponował:

- Ugotuj nam coś do jedzenia, kobieto.

Carrie nie wiedziała, co począć - bała się zostać, bała się też odejść. W końcu Darther klepnął ją z taką siłą w biodro, że aż się zatoczyła. Spojrzała na Jonasza. Mięśnie szczęki wyraźnie mu zadrgały, ale nie powiedział ani słowa, nie uczynił żadnego ruchu, i Carrie poczuła, że jej serce kurczy się do rozmiarów drobnego orzecha, a na dodatek staje się równie twarde i kruche.

Kilka minut później, rozdrabniając smalec z mąką, zrozumiała, że Jonasz zachował się wyjątkowo roztropnie. Przecież był więźniem zwolnionym za kaucją. Wcześniej czy później będzie musiał odpowiedzieć za czyn, o którego popełnienie został oskarżony, i nie chciał się narażać na pewne powieszenie za zaatakowanie białego człowieka. A jednak, pomyślała...

A jednak...

Po zapuchniętym policzku Carrie stoczyła się łza, by po chwili wpaść do chlebowej dzieży.

## **ROZDZIAŁ SIÓDMY**

Jego żona? Jasnowłosa Carrie o śmiejących oczach była żoną tej żalostnej, niechlujnej kreatury? Jak to możliwe?

Gdy tylko znikła za drzwiami chaty, Jonasz skrzyżował ręce na piersi i czekał. To indywiduum o świńskich oczach pożądało T'a-Kona. Czy aż tak

bardzo, by zabić? Czy aż tak bardzo, by odesłać Jonasza do więzienia, a potem oznajmić, że ten koń należy do niego? Czy aż tak bardzo, by w zamian traktować swoją kobietę z należnym szacunkiem i przygarnąć pod dach dwóch bezdomnych chłopców?

Ludzie tego pokroju nie mieli za grosz honoru, ale skoro jedynym atutem Jonasza był koń, którego pożądał ten śmieć, Jonasz musiał go wysłuchać. Zdawał sobie sprawę, że Adams natychmiast wykorzysta sytuację, gdy tylko dowie się, że jest więźniem wypuszczonym za kaucję, do tego Metysem oddalonym od swojej ojczystej ziemi i własnego ludu. Miał tylko nadzieję, że się nie zorientuje, iż jego największą słabością jest Carrie, no i chłopcy.

- Tak się składa, że poszukuję nowego konia. Wyścigi to mój fach i pasja. Człek może sobie nieźle radzić w tych stronach, jeśli ma dobrego wierzchowca.

- Adams czknął donośnie, po czym podciągnął opadające spodnie.

- T'a-Kon nie jest na sprzedaż.

- No cóż, możemy podyskutować o cenie. Możemy też ubić pewien interes.

Jonasz wciąż stał nieporuszony. Usilnie starał się, by na twarzy nie pojawił się wyraz bezgranicznej pogardy, jaką odczuwał w stosunku do tej żalösnej ludzkiej karykatury.

- Mój koń nie jest na sprzedaż - powtórzył cicho.

Adams zaczął przebierać nogami w piachu, po czym splunął. Usta rozciągnął mu wymuszony uśmiech. W końcu oświadczył:

- Chłopcze, powiem wprost. Osobiście nie mam nic przeciwko wam, Indiańcom. Jeśliś ciekaw mego zdania, to powiem ci nawet, żeście mieli nielekkie życie. No a tak się składa, że właśnie byłbym w stanie ci to wynagrodzić. Widzisz, za tydzień odbędzie się gonitwa. Nic szczególnego, posezonowa zabawa. Takie niby próbne wyścigi. Z północy zjedzie kilku hodowców, co by na własne oczy chcieli ujrzeć, czynimy tu możemy się pochwalić. Będzie trochę sprzedawania i kupowania, ale nie obejdzie się bez gonitwy. Jakby to mądrze rozegrać, można zagarnąć trochę grosza.

Jonasz wciąż milczał, rozdarty myślami pomiędzy jasnowłosą kobietą, dwójką dzieci i tą kanalią o świńskich oczkach, która traktowała własną żonę gorzej od muła.

- Rozumiesz, akurat w tej chwili potrzebuję nowego konia i jeźdźca. Liam, to jest dżokej, który dla mnie pracował, miał paskudny wypadek. - Darther przybrał żalobny wyraz twarzy, równie fałszywy, jak jego uśmiech. - Tak jest, chłopcze, w rzeczy samej masz przed sobą nieszczęśliwego człowieka.

Chłopcze?! Czy doprawdy trzeba mieć kredowobiałą skórę, by zyskać miano mężczyzny? A do tego pić na umór i maltretować słabszych od siebie?

- Wróciłem do domu bankrutem, ot i cała prawda - Przewracając oczami, Darther zatoczył się i niemal zwałił na ziemię, zdołał jednak wziąć się w karby. - Jednego dnia straciłem konia i dżokeja, ale ty tchnąłeś we mnie życie, więc wyjawię ci moje plany. - Odchrząknął, splunął i ponownie podciągnął spodnie.

Jonasz wiedział, że ten człowiek był wart tyle, co worek mierzwy. Spokojnie więc czekał, by ten śmieć złapał się we własną pułapkę.

- Za twoim pozwoleniem zgłoszę tego konia do trzech gonitw. Wszystko załatwię jak trzeba, a potem podzielimy się wygraną.

Jonasz z trudem pohamował wybuch śmiechu, a przecież zazwyczaj śmiech przychodził mu z trudem. Kątem oka spostrzegł chłopców przemykających się przez ogródek. Kierowali się do tylnych drzwi. Zach zaczepił nogą o bluszcz i Nate chwycił go gwałtownie za ramię, po czym zaczął coś gorączkowo szeptać mu do ucha. By zagłuszyć ten dźwięk, Jonasz natychmiast się odezwał:

- To mój koń. Czemu miałbym ci cokolwiek płacić?

- Bo będę handlowym pośrednikiem. Widzisz, pierwszy lepszy obcy nie może tak sobie wziąć udziału w gonitwach, trzeba mieć wprowadzającego, wiedzieć, za jakie pociągnąć sznurki, znać właściwych ludzi. My tu mamy swoje zwyczaje, tak jak twój lud ma swoje.

Jonasz aż sprężył się w sobie. Nadchodził odpowiedni moment; Za jego plecami T'a-Kon zarżał cicho.

- Rzeczywiście, nasz lud ma swoje zwyczaje. Najważniejszy z nich mówi o uczciwej wymianie. Jeżeli chcesz czegoś ode mnie, musisz mi podarować coś o równej wartości.

- Przecież zaoferowałem ci, że podzielimy się wygraną pół na pół. Oczywiście po odliczeniu mojej gaży pośrednika.

To nie miało sensu. Równie dobrze Jonasz mógł dyskutować z drewnianym kołkiem.

- Mam jeszcze dużo pracy. Może porozmawiamy jutro.

Kiedy Adams złapał go za ramię, Jonasz napiął wszystkie mięśnie. Tylko w ten sposób mógł się powstrzymać, by nie uderzyć tego śmiecia.

- Praca poczeka, chłopcze. Wejźmy do domu, moja kobieta już na pewno zastawiła stół. Brzydka ona, ale niezgorzej gotuje.

Jonaszowi przypomniała się siewka markująca złamane skrzydło, by odciągnąć drapieżnika od gniazda. Nie mógł trzymać mężczyzny z dala od jego żony, ale mógł chronić przed nim chłopców.

- Jak wspomniałeś, mój lud ma swoje zwyczaje. Kio-wa nigdy nie tolerują okrucieństwa wobec kobiet i dzieci. - Nie było to prawdą, ale mogło okazać się dobrą kartą przetargową.

- Masz moje uroczyste słowo, chłopcze, że będziemy obchodzić się z twym koniem, jakby był ze szczerego złota - oświadczył Adams nabożnym tonem.

Jonasz już widział okrytego pianą podjezdka pozostawionego samemu sobie. Dostrzegł też ciemniejące sińce Carrie i jej puchnącą szczękę.

- Nie mówię tylko o koniach. Twoja kobieta traktowała mnie przyzwoicie, w zamian za to pracowałem na waszym polu. Nie chcę widzieć, że ktoś nią poniewiera.

- Carrie? Och, to całkiem niezgorza dziewczyna. Czasem tylko strzela jej coś do głowy. Kobiety już takie są, synu, ale jeśli im pokażesz...

Dłonie Jonasz zwinęły się w pięści. Przez zaciśnięte zęby wysyczał ponownie:

- Nie chcę widzieć, że ktoś nią poniewiera.

- Mówisz o Carrie? - Adams huknął Jonasza z całej siły w plecy i parsknął śmiechem. - Utrzymuję ją tylko w ryzach, ot i wszystko. Drobnny klaps od czasu do czasu załatwia sprawę. - I ruszył w stronę chaty.

Jonasz natomiast przez chwilę stał w bezruchu, by ochłonać.

- Jeżeli zgodzę się pojechać z tobą na wyścigi, nie będzie więcej żadnych klapsów. A dzieci zostaną dobrze potraktowane i będą mogły spać w stodole - oznajmił w końcu.

Czy więzień zwolniony za kaucją może brać udział w wyścigach? Dla Carrie i chłopców gotów był jednak podjąć ryzyko. Ostatecznie zawisnąć można tylko raz.

Darther schylił się po springfielda, którego upuścił jakiś czas temu. Potknął się, niemal zarył twarzą w piach, w końcu jednak odzyskał równowagę.

- Dzieci?! O to już nie musisz się kłopotać. W tym stadle nie pojawią się żadne bachory pałatające się człowiekowi pod nogami.

- Jednak zanim wejdziemy do środka, chcę, byś dał mi słowo honoru, że dotrzymasz moich warunków - nalegał Jonasz.

Na twarzy Darthera pojawił się uśmiech, tym razem wyglądający na całkiem szczery.

- Masz je, synu. I zapamiętaj moje słowa: twój konie będzie prawdziwą kopalnią złota. Musimy tylko znaleźć odpowiedniego dżokeja, ale to mały kłopot. Znam wielu z tych kurdupli, którzy tylko czekają, by wyjść z cienia i wziąć udział w dobrej gonitwie. Z twoim ogierem, dobrym dżokejem i moją głową do interesów będziemy mistrzami od Karoliny Południowej po Wirginię. Musimy tylko poczekać na sezon.

- Ja będę dosiadał T'a-Kona - oznajmił Jonasz cichym, lecz nieznoszącym sprzeciwu głosem.

- Do diabła, chłopcze, jesteś tylko... to znaczy reguły nie zezwalają na to ludziom spoza branży.

- Jeżeli mój koń ma brać udział w wyścigach, ja będę na jego grzbiecie.

- Słuchaj, chłopcze, do stu piorunów, teraz popełniasz poważny błąd.

Jonasz uniósł nieznacznie brew.

- Błąd?

- Tak jest. Mężczyzna twej postury spowolni bieg konia, a o wygranej decydują sekundy.

- Jeżeli mój koń stanie do gonitwy, ja będę go dosiadał - oznajmił Jonasz spokojnie, zimno.

Darther wyrzucił z siebie soczyste przekleństwo, które w czystym powietrzu rozniosło się dudniącym echem. Na ten dźwięk w maleńkiej chacie Carrie upuściła łyżkę z przestachu, a potem nadstawiła uważnie ucha.

- Niech więc będzie - powiedział jej mąż.

O co chodziło? Do jakiego doszli porozumienia? Zdecydowana, że zrobi wszystko, by nie okazać, jak bardzo poczuła się zdradzona i odrzucona, zabrała się za formowanie kolejnego placka, a w chwilę później wstawiła blachę do rozgrzanego pieca.

W ciasnej niszy za łóżkiem cicho przycupnęli chłopcy. Bali się. Carrie czule ich objęła. Kiedy obaj mężczyźni pojawili się w progu, Darther wściekłym wzrokiem obrzucił pusty stół.

- Niech cię piekło pochłonie, kobieto, kazałem ci przecież...

Jonasz cicho przypomniał mu o umowie, a potem spojrzał na Carrie i dzieci. Jego spokojny wzrok dawał ukojenie i poczucie bezpieczeństwa.

- Kto, do pioruna...? - zaczął ryczeć Adams, zaraz jednak urwał. - Co zrobiłaś z moim gąsiorkiem, kobieto? - wymamrotał pod nosem.

Na kilka sekund wszyscy zastygli w bezruchu. W końcu Carrie odparła hardo:

- Pewnie jest na podwórzu, tam gdzie go upuściłeś.

- Więc, do stu diabłów, leć... - Natychmiast jednak się zmiarkował. - Chłopcze, połóż strzelbę na rogach nad drzwiami - zwrócił się do Jonasza.

Wręczył mu springfielda, opadł ciężko na ławę i w tym momencie dostrzegł dwójkę przycupniętych za łóżkiem chłopców wpatrujących się w niego szeroko rozwartymi oczami.

- A wy, do ciężkiej cholery, co tak wytrzeszczacie ślepie? Kędzierzawy! Leć szybko i przynieś mój gąsiorek.

Carrie postąpiła krok, jednak Jonasz zatrzymał ją, kładąc rękę na jej ramieniu. Żadne z nich nie powiedziało słowa, ale po raz pierwszy w życiu Carrie odczytała jego myśli, jakby je wypowiedział wyraźnie i w głos. Zostań tu, ja pójdę. Jak długo mam coś, czego on pożąda, nic ci nie grozi.

Kiedy placki już się upiekły, chłopcy zabrali talerze i wyszli na dwór, pozostawiając dorosłych przy stole. Żeliwny piec, kupiony przez Darthera po tym, jak Carrie marnowała posiłek po posiłku, usiłując coś upichcić w dymiącym kominku, powodował w ciasnym pomieszczeniu i nieznośną duchotę, ale Darther uparł się, by zjedli kolację w pańskim stylu.

- Daj temu chłopcu jeszcze jeden placek, dziewczyno - zadysponował, częstując Jonasza chytrym uśmiechem, jakby chciał powiedzieć: „Widzisz, jak dobrze traktuję tę kobietę?”.

- Dziękuję - odparł Jonasz z powagą, żałując, że nie może wyjaśnić Carrie wszystkiego ani uspokoić chłopców.

Żałując, że nie może zabrać ich do siebie, by zapewnić im bezpieczeństwo.

Słuchał jednym uchem przechwałek Adamsa na temat gonitw, które już wygrał, i które jeszcze wygra dzięki T'a-Konowi. Darther gestykulował przy tym zawzięcie, rozrzucając okruchy, ale ani na moment nie zapominał o whisky.

Carrie milczała od chwili, gdy wyprawiła chłopców na dwór, a Jonasz umykał wzrokiem przed jej oskarżycielskim spojrzeniem. Dobrze wiedział, co sobie myślała. Że ją zdradził i przeszedł do obozu wroga, Ale jakże mógł jej wyjaśnić w obecności Adamsa, że zgodził się na ten układ tylko po to, by zapewnić jej bezpieczeństwo?



- Z nastaniem przyszłego tygodnia ty, ja i twój ogier ruszymy w drogę. Da nam to dzień lub dwa, by koń przywykł do toru. Konie nie zawsze sprawują się najlepiej w nowym miejscu. - Darther już nie mówił, zabelkotał.

- Przedtem musimy ustalić wiele rzeczy.

- Pół na pół, to przecież uczciwy układ, chłopcze. Przy moich zdolnościach zarobimy, jakbyśmy mieli kopalnię złota.

W tym momencie wtrąciła się Carrie.

- Darther, chyba nie zamierzasz zabrać Jonasza do Wirginii? - spytała z wahaniem.

- Cicho, kobieto. To nie twoje sprawy.

- Oczywiście, ale czy Jonasz nie mówił ci, że nie może wyjechać poza granice stanu? Tak jest wyraźnie napisane w jego warunkowym zwolnieniu. Musi być tu, póki nie zgłosi się po niego szeryf.

Darther podejrzliwie popatrzył na Carrie i Jonasza.

- Zwolnili cię warunkowo z więzienia? Diabła tam, czemu od razu nie powiedziałaś, chłopcze? - rzucił w końcu.

- A co sobie wyobrażałaś? Że za co go wynajęłam? Bo przecież nie za te nędzne grosze, które mi zostawiasz. - W głosie Carrie przebijała gorycz. - Tłumaczyłam ci, że Emma pożyczyła mi parę dolarów i zgodziła się, bym zwróciła jej w przyszłym roku, jak będę miała pieniądze za zboże.

- Pieniądze za zboże! Ty będziesz miała pieniądze za zboże! Toż to śmiechu warte, kobieto. - Darther gwałtownie zwrócił się w stronę Jonasza. - Mania wielkości, słyszałaś kiedy o czymś takim, chłopcze? To właśnie doskwiera mojej kobiecie! Mania wielkości, ot co. We łbie ci się poprzewracało, dziewczyno.

Jonaszowi krew zadudniła w uszach.

- Nazywam się Jonasz Longshadow, nie mów mi więc chłopcze - powiedział dobitnie. - A twoja kobieta ma na imię Carrie.

- Cóż, jeśli tak sobie życzysz, chło... panie Longshadow. A pani Adams niech natychmiast biegnie po kolejny gąsiorek, bo w tym już widać dno.

Jakimś cudem Jonasz zdołał nie udusić tej kanalii i wytrwać do końca kolacji. Podczas gdy Darther szczegółowo opisywał wszystkie znane mu tory, Carrie w milczeniu uprzątnęła ze stołu, mruknęła coś na temat karmienia kur i wyszła na dwór. Kilka minut później Jonasz zauważył, jak razem z chłopcami szła w stronę zagrody za stodołą, gdzie trzymał Boodle i jej żrebaka. Tuż za ogrodzeniem stał Con i od czasu do czasu rżał z cicha.

- Henry, on to ma słabość do pięknych pęcín i zadów. Problem w tym, że zgrał się już co do centa. Bez względu na to, jak dobrze wygląda koń, stary Hen nie może się odegrać, bo nie ma już co postawić, a do tego ma pecha. Może spróbujemy temu zaradzić, by mógł spłacić, co mi winien. Henry nieźle potrafi powęszyć w cudzych stajniach. Jakby się dobrze spisał, a do tego szepnął słówko komu trzeba, dalibyśmy i jemu co zarobić.

Jonasz już go nie słuchał. Boodle i Con. Jak to się stało, że tak szybko zaakceptował imiona, jakie jego koniom nadała Carrie? Ciekawe, jak w jej ustach będzie brzmiało imię innej klaczy, Zebát, nazwanej tak z powodu strzałki na głowie? Lub Saynday, niezłej przechery, za którą tyle razy musiał gonić. Te konie zostały wyhodowane tu, na wschodzie. Kiedy je kupował, miały wschodnie imiona, ale gdy stały się jego własnością, natychmiast przejęły jego zwyczaję, poza jednym. Zamiast dosiadać je od tyłu, jak to czynił jego lud, wsiadał na nie z lewej strony. T'a-Kon już pierwszego dnia dał mu dobrą lekcję.

- Więc będziemy tam parę dni naprzód, co by się rozeznac, jednak nie za wcześnie. Możemy zatrzymać się u Hena. Ma sklep kilka mil za granicą stanu. Ja i Hen znamy się od lat. To on oddał mi Carrie za długi, mówiłem ci już? To był jeden z najlepszych interesów, jakie zrobiłem w całym moim życiu.

Jonasz poczuł ściskanie i pieczenie w przetyku. Henry i Carrie? Carrie i jeszcze inny mężczyzna? Na wszechpotężnego Taime, ten Henry musiał być wcielonym diabłem, jeżeli Carrie wołała od niego Adamsa.

A może nie miała w tej sprawie nic do powiedzenia?

- Żona mówi, że jesteś na zwolnieniu warunkowym. Słuchaj, chłopcze, mam dla ciebie jeszcze jedną propozycję. Obiecuj, że razem ze mną weźmiesz udział w pięciu gonitwach, a kiedy przyjdzie czas, przemówię za tobą w sądzie. Słowo białego człowieka wiele tutaj znaczy. A jak już przestaniesz być w kłopotcie, będziemy renego-rene-gon-renegoncjonować.

Jak na pijanego, doskonale panował nad językiem, ale ostatni wyraz go zmógł. Adams odstawił gąsiorek z głośnym stukiem. Zamiast oczu miał teraz dwie wąziutkie szparki i Jonasz zastanawiał się, kiedy ten opój wreszcie zwali się z ławy.

Gdy wreszcie wcisnął się w kąt i zaczął chrapać, Jonasz zaczął rozważać, czy nie zaciągnąć go do łóżka. I wtedy uświadomił sobie, że Carrie sypia z tym parszywcem!

Ten obraz wciąż go prześladował, gdy znalazł się już na podwórzu i zagwizdał na T'a-Kona. Słońce wisiało ognistą kulą tuż nad wierzchołkami odległych drzew. Na wyłoczone trawy kładł się fioletowy cień. Wokół panował taki spokój...

Wskoczył na ogiera, próbując przelać w niego własną duszę, wiedział jednak, że człowiek nigdy nie umknie prześladowającym go demonom. Jonasz uniósł głowę i wciągnął w nozdrza aromat suchych traw, pokrytego kurzem drewna i żywicznych sosen. Wschód pachniał zupełnie inaczej niż zachód. Rzeka Czerwona niosła inne zapachy niż pobliski strumień Currituck Sound. I chociaż niekiedy nachodziła go nostalgia za tym, co zostawił, wiedział, że jego przyszłość należała do tych stron. Mógł ją zbudować, jak chciał.

Już raz odzyskał wolność, ten najcenniejszy skarb człowieka, a potem, dzięki ciężkiej pracy, oszczędnemu życiu i starannemu planowaniu, znalazł się na najlepszej drodze, by stworzyć sobie nowe życie na tej ziemi. Teraz próbowano mu to odebrać.

Do dzisiaj miał nadzieję, że zdoła udowodnić swoją niewinność i odzyskać wszystko, co prawnie do niego należało. Teraz i to stało pod znakiem zapytania. Jonasz znalazł się w pułapce. Jeżeli opuści granice stanu, warunki zwolnienia przestaną obowiązywać. Zostanie uznany za zbiega i każdy będzie mógł go zastrzelić lub powiesić bez rozprawy. Gdyby jednak odmówił Dartherowi i nie wyjechał, zapłaci za to Carrie oraz chłopcy.

A więc była mężatką! Kobieta, którą już uważał za swoją, miała męża. Kiedy zaczęła znaczyć dla niego więcej od wolności? Czy wtedy, gdy zdjęła mu kajdany i opatrzyła krwawiące rany? Czy gdy po raz pierwszy pili wodę z jednego dzbanka, odczuwając wspólną satysfakcję po ciężkim dniu pracy? A może już pierwszego dnia, kiedy stojąc nad brzegiem strumienia zobaczyła, że jest prawdziwym mężczyzną?

Nawet teraz, kiedy o tym myślał, ogarniało go podniecenie, więc bezlitośnie wyrzucił ten obraz z pamięci. Jego Carrie była mężatką! Jej mężczyzna był durniem i krętaczem bez honoru, ale Carrie należała do niego, a nie do Jonasza.

A chłopcy? Oni też nie należeli do nikogo. Kto więc będzie ich chronił?

Jonasz skierował ogiera ku świeżo wykarczowanemu polu. Tak, nie miał wyboru. Musi zaryzykować własną wolność, lub nawet życie, i wystartować dla tego śmiecia w gonitwach, by jak najdłużej trzymać go z dala od tego miejsca. Jeżeli wyjdzie z tego cało i oczyści się z zarzutów, wówczas zabierze chłopców i stworzy im prawdziwy dom.

Gdy zaś chodzi o Carrie...

Nagle przypomniał sobie jej oczy, tak niebieskie jak kwiaty porastające brzegi czerwonej Rzeki, i szeroko rozwarte z zachwytu, gdy patrzyła na narodziny źrebaka. Czuł jej ciepło, dotykał drobnej dłoni, wdychał korzenny, kobiecy aromat. W tamtym momencie nie istniały między nimi żadne bariery.

Przypomniał też sobie, jak się pochylała, by zmierzyć wążutką talię Zacha, kiedy zabrała się za szycie chłopcom spodni z kwiecistego perkalu. Poprzez

cienką, spraną sukienkę wyraźnie przeświecały jej kobiece kształty. W uszach zadźwięczał mu też jej radosny głos wyśpiewujący co rano: „Słońce na niebie. Pora wstawać, czas ucieka!”.

Nie była jego kobietą, ale przynajmniej tyle mógł dla niej zrobić. Zostawi Boodle i Howarda pod jej opieką razem z dokumentem stwierdzającym, że gdyby coś mu się przytrafiło, konie należą do niej, a nie do Adamsa. Jonasz co prawda nie wierzył szczególnie w moc takich dokumentów, ale nie widział lepszego rozwiązania. Potem postara się trzymać jej męża jak najdalej od domu, choćby miał wziąć udział w stu gonitwach.

Chłopcom natomiast powie, jak trafić na jego ziemię i jak zająć się dwoma pozostałymi klaczami. Nate był sprytny i pomysłowy, przecież wyprowadził Zacha z płonącego domu i znalazł dla obu bezpieczny kąt. Przykaże mu, że w razie niebezpieczeństwa mają z Carrie biec do domu jej przyjaciółki.

Kiedy godzinę później znalazł się na podwórzu, nie zobaczył błysku światła w oknach chaty. Starając się wyrzucić z myśli dwoje ludzi śpiących w jej wnętrzu, otarł z potu konia, напоił go i nakarmił miarką owsa. Poszedł sprawdzić, co u Boodle i jej maleństwa, a potem rozebrał się, nabrał wiadro wody z poidła i wylał na głowę. Wciągnął spodnie, wszedł do stodoły, po omacku odnalazł posłanie i ułożył się do snu.

Na stryszku Zach zaczął jęczeć przez sen, a Nate poruszył się i wymamrotał kilka słów. Wkrótce jednak obaj chłopcy znów smacznie spali. Jonasz wpatrywał się w ciemność i rozmyślał o przyszłości, starając się nie myśleć o Carrie.

Teraz, gdy wrzesień dobiegał końca, dni stawały się coraz krótsze, lecz w obecnej sytuacji praca w polu nie wchodziła w grę. Na szczęście jeszcze tylko jeden kawałek nie został przegrany, ale zanim mróz zetnie ziemię, ręka Carrie już na pewno się wygoi, więc zdoła sobie poradzić bez pomocy Jonasza. Ten zaś z rozbawieniem i zdziwieniem zdał sobie sprawę, że nie chce, by Carrie sama kończyła to, co zaczęli razem. Teraz nie miał już nic przeciwko podążaniu

Drogą Oracza, której tak bardzo unikali wojownicy Kiowa, przekonani, że pozbawi ich męskości.

Jonasz już w to nie wierzył. Skierował się przecież na Drogę Oracza, a jego męskość wciąż była imponująca. Czasami nawet aż za bardzo. Dlatego też przez następne dni zabierał Adamsa najdalej jak mógł od Carrie pod pretekstem trenowania T'a-Kona.

Adams brał w łapę zegarek zawieszony na złotym łańcuchu i mierzył czas poszczególnych okrążeń, a Jonasa ogarniał pusty śmiech. Jego ogier nie potrzebował żadnego treningu, bo bieganie miał we krwi. Człowiek, który mu go sprzedał, twierdził, że ojcem ogiera był pełnej krwi arab, który odnosił sukcesy na wyścigach. Jego matka nie była aż tak sławna, ale Jonasz uważnie przyjrzał się dwulatkowi i dostrzegł w nim pokrewną duszę. Kupił go wraz z trzema klaczami, bo starszy pan był już poważnie schorowany i zależało mu, by konie przed jego śmiercią znalazły się w dobrych rękach.

Przez kilką kolejnych dni Jonasz z Adamsem wyjeżdżali więc wcześniej i wracali późno. Pierwszego dnia Darther zabrał ze sobą gąsiorek, okazało się jednak, że whisky i prażące słońce nie idą ze sobą w parze. Kiedy więc zaczął narzekać na ból głowy i brzucha, Jonasz kazał mu wypić dzbanek wody i przypomniał o czekającym zadaniu.

- Musisz mi opowiedzieć o tych wyścigach. Widziałem gonitwy na Florydzie, ale od tamtej pory minęło sporo czasu.

- Nigdy nie byłem na Florydzie, ale możemy tam zawędrować, gdy zacznie się prawdziwy sezon.

- Na Florydzie jest gorąco i wilgotno. Moim koniom nie służyłby tamtejszy klimat.

- Koniom, ha? Trzymasz gdzieś jeszcze coś poza tą klaczką i jej źrebem?

- Dwie klacze. Opiekuje się nimi przyjaciel. Czyli Dawk'hee, wielka bogini ziemi.

- Ta klacz, co stoi za stodołą, nie jest wiele warta, ale chętnie bym kupił żrebaka, gdy już nie będzie potrzebował cycka. Wygląda na to, że wdał się w swego papę. - Darther posłał wielkiemu, czarnouchemu ogierowi pełne niekłamanego podziwu spojrzenie.

W młodości Jonasz miał wiele kom. Podziwiano w nim wojownika, ale najbardziej ceniono za niezwykle umiejętności podchodzenia i łapania najlepszych koni oraz szybkiego i doskonałego ich układania. Niektórych jednak nie chwycił, bo wiedział, że nie zniosą niewoli.

Biała nawałnica przetoczyła się na zachód, niszcząc i trując wszystko po drodze. Lepiej będzie, jeśli zostanie na wschodzie, gdzie to wszystko wydarzyło się już dawno temu i teraz życie było b wiele mniej burzliwe.

Chłopcy złapali we wnyki i sprawnie obdarli ze skóry królika. Carrie udusiła go z dużą ilością rzepy, kapusty i fasoli, dzięki czemu z jednego chudego kadłubka zdołała przygotować posiłek dla pięciu osób i jeszcze trochę odłożyć dla Emmy.

- To ta stara wariatka wciąż jeszcze dyszy? - Darther splunął przez drzwi.

- Tak mniemam - odparła Carrie, zaciskając usta.

Darther mrugnął w stronę Jonasza.

- Ona tak mniema - rzucił kpiąco. - Posłuchaj dobrej rady, chłopcze. Nigdy nie bierz sobie kobiety wychowywanej przez misjonarki. Nie do uwierzenia, ile durnych pomysłów są w stanie wcisnąć w te ptasie mózdzki.

Carrie gwałtownie zarumieniła się i szybko podniosła oczy na Jonasza, ale zaraz opuściła powieki i czekając, aż woda zagotuje się na zmywanie, zaczęła zrzucać z talerzy resztki do kubła na odpadki. Od dnia, gdy Darther pojawił się w domu, wszystko nagle się zmieniło.

Nic dziwnego, bo nawet taka parodia człowieka, jak jej mąż, miała o wiele więcej do zaoferowania niż ona. Obaj mężczyźni mieli wspólną pasję, czyli konie. Darther dał Jonaszowi szansę na zarobienie pieniędzy, a co dała mu ona? Sprowadziła go tu w kajdanach, traktowała, jakby był głupszy od tego pióru...

żałosnego muła, i kazała harować od świtu do nocy za miskę ubogiej stawy i posłanie w stodole.

Za kilka dni obaj wyjadą i tak będzie najlepiej. Bowiem Carrie zaczęła myśleć o Jonaszu nie jak o dodatkowej parze rąk do pracy, ale jak o przyjacielu. Przyjacielu? Na pewno nie w takim sensie, jak Emma, ale z pewnością nie jak o więźniu, którym przecież był.

Niech więc jedzie z Dartherem i niech stanie się kolejnym opojem i hazardzistą, głupim wycirusem i oszustem. Niech się wda w konszachty z ludźmi pokroju wuja Henry'ego. Niech zbytkuje z lekkimi kobietami, jakich pełno na torach wyścigowych. O tak, dobrze znała te kobiety. Darther nie raz się przed nią chełpił, jak słodko pachną, jak pięknie wyglądają w obcisłych gorsetach i z umalowanymi twarzami. Dobrze wiedziała, że z nimi sypiał, ale wcale jej to nie obchodziło. A raczej obchodziło. Niech ma ich setki, byle jej nie dotykał swymi brudnymi łapskami.

Carrie, gdyby chciała, też mogłaby pięknie wyglądać. Ale nie chciała. Nie dla Darthera. Mogłaby malować twarz i co wieczór kręcić włosy na papiloty. Mogłaby wyblagać jedwabną suknię, falbaniaste halki, a nawet parę prążkowanych pończoch. Napatrzyła się z ukrycia na te wszystkie wymyślne stroje w czasie zabaw, jakie wuj organizował w sklepie za każdym razem, gdy coś wygrał na wyścigach.

Poza tym Jonasz nigdy by o niej nie pomyślał jak o godnej pożądaniam kobiecie, nawet gdyby była wolna. Niech więc jedzie, bo swoje już zrobił, gdy najbardziej potrzebowała pomocy. Zostaną przy niej Nate i Zach. Ręka wreszcie zaczęła się goić i gdy tylko Darther zniknie z domu, da radę zaorać resztę pola przed pierwszymi mrozami. Chłopcy jej pomogą.

Będzie też musiała przedstawić ich Emmie. Jeżeli nie daj Boże zajdzie taka potrzeba, będą mieli gdzie się schronić. Emma otoczy ich opieką.

Następnego ranka, gdy Darther chrapał na łóżku w skołtunionej pościeli, Carrie zwinęła prowizoryczne posłanie, które rozłożyła na podłodze, postawiła



na gorącym piecu garnek z kleikiem kukurydzianym, czajnik pełen wody i płaskie żelazko. Dopóki Darther nie pojedzie na wyścigi, nie ma mowy o żadnej pracy w polu. Carrie za wszelką cenę odsuwała od siebie myśl, że wraz z mężem wyjedzie również Jonasz.

Nie chciała dopuścić do siebie, jak wiele zaczął dla niej znaczyć. Była przecież zamężną kobietą. A mężatkom, bez względu na to, jak nieszczęśliwym w swoich związkach, nie wolno było myśleć o żadnym mężczyźnie w sposób, w jaki od jakiegoś czasu zaczęła myśleć o Jonaszu, który na dodatek był półkrwi Indianinem. Przecież to właśnie Indianie zamordowali jej rodziców.

Carrie wyjrzała na podwórze przez otwarte drzwi. Ubrany w spodnie z niebieskiego dzinsu, tak uwypuklające jego męskość, że na kimś innym wyglądałyby nieprzyzwoicie, Jonasz stał przy stodole, instruując chłopców, jak mają opiekować się Boodle i żrebakiem. Przez chrapanie Darthera przebijały się głosy dzieci: wysoki, pełen naiwnego entuzjazmu głos Zacha i niższy, rozwlekleszy Nate'a. Nate zawsze mówił w taki sposób, jakby był czymś zatroskany.

Jonasz. Carrie przygryzła wargę na wspomnienie ich pierwszych wspólnych dni. Odnosiła się do niego, jakby był niewiele pojętniejszy od kołka w płocie, biła mu brawo, gdy powtarzał proste słowa w rodzaju „pług” czy „deszcz”. Doprawdy cud, że wówczas nie utopił jej w poidle. Jak to możliwe, by tak inteligentny mężczyzna zgadzał się pojechać na wyścigi z wiecznie zapitym hazardzistą?

A jednak tam się właśnie wybierał, mimo że ryzykował utratą wolności, lub nawet życia, a na dodatek porzucał dwóch chłopców wpatrzonych w niego jak w tęczę.

Niech go piekło pochłonie!

Niech idzie do wszystkich diabłów!

Jeśli spadnie z tego swojego pioruńskiego konia, niech i tu nie wraca, by Carrie opatrywała mu rany terpentyną z cukrem. Niedoczekanie! Zanim zraniła

się w rękę, doskonale radziła sobie bez niego, więc kiedy wyjedzie, świat się nie zawali. Miała przecież Emmę i chłopców. Czego więcej mogłaby pragnąć kobieta?

Żar bijący od pieca zaczął się rozlewać po chacie. Darther wybełkotał coś przez sen i przewalił się na brzuch. Włosy sterczały mu na głowie, upodabiając go do rozsierzonego jeża. Spocone policzki pokrywał ciemny zarost i Carrie przytknęła dłoń do dzióbka czajnika, by sprawdzić, czy woda jest dość gorąca do golenia. Ten żaloszny łajdak zawsze gdy wracał do domu, śmierdział whisky, potem i tanią wodą kolońską. Szczęśliwa, że znów wyjeżdża, Carrie wysyłała go w drogę świeżo wykapanego i ogolonego, w czystej koszuli, pachnącego mydłem laurowym. To był jeden z jej samarytańskich uczynków, mający uśmierzyć wyrzuty sumienia, które nękały ją z powodu tak wielkiej nienawiści do człowieka, którego poślubiła.

Dzięki Bogu, że miał się czym zająć w życiu, i że tak często wyjeżdżał, bo inaczej musiałaby mu ciągle usługiwać i unikać ciosów... aż do chwili, gdy któreś z nich posunęłoby się za daleko.

- Darther, nie śpisz? Zanim wyjedziesz, będziesz miał wszystkie koszule czyste i poprasowane.

Carrie słyszała, jak mówił Jonaszowi, że następne wyścigi zostały wyznaczone na koniec przyszłego tygodnia. Wyścigi, pomyślała z obrzydzeniem. Jakby stado wyliniałych szkap ścigających się po prowizorycznym torze miało coś wspólnego z eleganckimi gonitwami, których zdjęcia widziała w gazetach przechowywanych przez wuja.

Wuj Henry był takim samym łajdakiem jak Darther. Hazard zawsze brał górę nad prowadzeniem sklepu. No i oczywiście zawsze zgrywał się do suchej nitki.

- Darther, wstawaj. Ktoś nadjeżdża.

Poruszył się, przewrócił na bok i wymamrotał coś w poduszkę.

- Może to Liam - powiedziała z niechęcią Carrie, nie mając ochoty oglądać dżokeja o twarzy łasicy.

Co gorsza, może to być ktoś, komu Darther nie spłacił długu. Już nie raz na farmie pojawiali się tacy ludzie. Węszyli, co by tu zająć za umorzenie długu. Teraz, przy Dartherze, nie śmiała sięgnąć po strzelbę, ale skoro Jonasz z chłopcami był przy stodole, nie groziło jej niebezpieczeństwo. Carrie zawsze jednak pamiętała, że samotna kobieta bardzo musi mieć się na baczności.

Ostrożnie wyszła na schodki i przesłoniła dłonią oczy. Zbliżający się jeździec, zaledwie wyrostek, nie wyglądał na niebezpiecznego osobnika. Chwilę później osadził konia tuż przed chatą. Nie zdejmując zniszczonego kapelusza z głowy, od razu przeszedł do rzeczy:

- Przepraszam, czy to pani trzyma u siebie więźnia?

## **ROZDZIAŁ OSMY**

Trzej mężczyźni ruszyli w drogę: Młody zastępca szeryfa Noe, Darther na nieszczęsnym podjezdku i usadowiony na imponującym ogierze Jonasz, który wyglądał piękniej, niż jakikolwiek mężczyzna miał prawo wyglądać. Carrie nie zdążyła uprasować Dartherowi wszystkich koszul i zapakować mu sakw, bo wyrostek oznajmił, że sędzia czeka na Jonasza, więc natychmiast muszą ruszać w drogę. Zdołała tylko przygotować jedzenie na drogę, na co bardzo nalegał Darther, niezwykle dbający o swoją nowo odkrytą kopalnię złota.

Trudno powiedzieć, czy młodociany zastępca szeryfa był bardziej zafascynowany, czy też zatrwożony widokiem Jonasza, który bez kajdan dosiadał wspaniałego wierzchowca. Niepewnie pomacał kaburę rewolweru, spojrzął na więźnia i Darthera, aż wreszcie powiedział:

- No to w drogę. Sędzia Powell nie lubi czekać.

Jonasz spojrzął na Noego. Noe zerknął na Jonasza. Nie odezwali się ani słowem, ale Carrie odniosła wrażenie, że już kiedyś musieli się spotkać.

- Wrócimy na kolację - pewnym głosem rzucił Darther. - Zarznij dla nas jedną z tych swoich kur.

Carrie pozostało już tylko pięć niosek, więc ani myślała zabijać którąś z nich tylko po to, by jej mąż mógł napchać sobie brzuch. Jak długo Darther zamierzał wydawać każdego wygranego centa na whisky i swoje stroje zamiast przywozić pieniądze do domu, będzie musiał zadowalać się fasolą, bekonem, kaszą kukurydzianą i kapustą.

- Kiedy Jonasz do nas wróci? - płacząco dopytywał się Zach.

Chłopcy znów stali przytuleni do siebie, patrząc na odjazd trzech mężczyzn. Carrie objęła ich małe ciała ramionami, by ukoić zarówno ich, jak i siebie.

- Cicho, on już nie wróci - gorączkowo wyszeptał Nate.

- A bo tak. Sam powiedział.

- A bo nie. Jak ktoś raz wyjedzie, to nigdy nie wraca.

- Chłopcy, dzisiaj zaprzęgniemy Sorry'ego do wozu i pojedziemy w odwiedziny. Co wy na to?

Musiała czymś się zająć, żeby nie wypłakać oczu. Jonasz odjechał, nie mówiąc jej nawet do widzenia. Bez słowa, bez jednego uśmiechu, czy choćby przelotnego spojrzenia podążył za tym pióru... gamoniowatym młodzikem szeryfa, który wyglądał tak, jakby jeszcze dobrze nie nauczył się sznurować butów.

Bardzo potrzebowała Emmy, która bez słów zrozumie jej uczucia, która jej nie potępi, nie pogłębi poczucia winy. Carrie rozumiała, że to, co czuła, było niestosowne, a tak naprawdę grzeszne. Musiała się dowiedzieć, jak długo będzie cierpieć po stracie Jonasza. I jak długo będą ją prześladować sny, które co rano wywoływały na jej policzkach rumieniec wstydu.

Nate podprowadził Sorry'ego do wozu i zaprzęgnął do dyszla. Ten chłopiec nadzwyczajnie obchodził się ze zwierzętami. Zach zagonił kury do zagrodki, którą zamknął na haczyk na wypadek, gdyby w pobliżu zaczął węszyć lis. Mogli

więc ruszyć w drogę. Carrie próbowała zanucić kilka taktów „O, Zuzanno!”, lecz skoczna melodia zabrzmiała nad wyraz smętnie.

- Czy pani jest na coś zła, panno Carrie? - zapytał Zach po dłuższej chwili.

- Nie, kochanie. Nie jestem zła, tylko...

- Jest smutna - oznajmił Nate pełnym wyższości tonem. - Jej chłop wyjechał, więc ucisz się i wyjmij paluch z gęby, smarku.

Kciuk Zacha natychmiast wyskoczył z ust.

- Nie jestem smark.

- A bo tak.

- A bo nie. Prawda, psze pani panno Carrie?

Carrie westchnęła ciężko, zastanawiając się, jak oderwać myśli chłopców od wyjazdu Jonasza. Dał im przecież wszelkie powody, by zaczęli mu ufać i na nim polegać, a potem, przy pierwszej lepszej okazji na bardziej ekscytujące życie, bez słowa pożegnania odjechał. Wystarczyło, że Darther powiedział:

- Zaczynij ścigać się dla mnie, chłopcze, a wstawię się za tobą u sędziego i zarobisz furę złota.

Po stokroć przeklęte, pioruńskie wyścigi. Może nawet i Darther kiedyś był przyzwoitym człowiekiem, lecz hazard wypalił mu duszę. A teraz zaraził tą chorobą Jonasza. Od czasu, gdy Jonasz przystał na propozycję Darthera, ani razu nie posłał jej tego szczególnego uśmiechu swoich szarych oczu. Nie powiedział ani słowa na temat niezaoranej części pola czy zapadniętego dachu szopy, który tak wytrwale reperował, by Boodle i Howard mieli schronienie na wypadek deszczu.

Krzyżyk na drogę. Sama wyreperuje tę przeklętą przybudówkę, a chłopcy jej pomogą. Sama też poradzi sobie z orką, niech tylko ręka jej wydobrzeje, a to nastąpi lada dzień.

Nagle uprzytomniła sobie, że Jonasz wcale nie pojechał na wyścigi, tylko został wezwany przed oblicze sędziego. Zadrżała. Już lepiej, żeby włączył się

po wyścigach, nawet się upił albo i co jeszcze... Sędzia i ława przysięgłych, to brzmiało tak groźnie!

- Dzisiaj mamy wakacje - oświadczyła sztucznie radosnym głosem. - Każdy od czasu do czasu potrzebuje wytchnienia, ale od jutra wracamy do roboty. Nate, Zach, bardzo na was liczę, chłopcy. - Zmusiła się do uśmiechu, ale miała mokre oczy.

- Jakeśmy poprzednio mieli wakacje, ty prałaś, a Jonasz ciął drewno. I nikt się nie bawił, tylko ja i Zach.

Strzelając lejcami o zad Sorry'ego, Carrie oznajmiła radośnie:

- Emma kiedyś miała dzieci i może znajdzie się u niej jakaś zabawka. Skakanka albo książka z obrazkami. - Starła się, by w jej głosie pobrzmiwał gorący entuzjizm, jednak przed dom wdowy zajechało bardzo smętne trio.

Carrie spostrzegła, że Emma poruszała się wolniej niż zwykle, jakby ból zaległ się w każdej jej kości. Starsza pani utrzymywała, że miewa tylko dobre i lepsze dni, a nigdy złe. Carrie pomyślała, że pogorszenie stanu Emmy oznacza rychłe nadejście tak długo wyczekiwanego deszczu, ale teraz chętnie by się go wyrzekła, jeżeli w ten sposób mogłaby ulżyć przyjaciółce.

Pomimo że Emma mieszkała w chacie mniejszej od salonu swego dawnego domu, w którym wspólnie z mężem wychowywała gromadkę dzieci, wciąż co rano ubierała się w jedną ze swoich spłowiałych, jedwabnych sukien ozdobionych koronkowym kołnierzykiem spiętym złotą broszką. Rzadkie, białe włosy zawsze starannie splatała i upinała na czubku głowy kilkoma szylkretowymi grzebykami. Na nogach natomiast miała wydziergane na szydełku bambosze, bo jej stopy były już tak zniekształcone, że nie mogła włożyć żadnych butów.

Carrie poczuła wyrzuty sumienia, że pożyczyła od tej ubogiej kobiety pieniądze. Przysięgła sobie w duchu, że pewnego dnia jej to wynagrodzi. Odwdzięczy się jej za te wszystkie chwile, gdy przybiegała do niej zapłakana, zagubiona i zrozpaczona tym, że jej małżeństwo okazało się piekłem.

Emma znalazła woreczek z kulkami do gry i po pełnych zachwytu okrzykach chłopcy wybiegli na podwórko, wyrysowali na ziemi duże koło i rozpoczęli zabawę, natomiast kobiety wytaszczyły na ganek dwa bujane fotele i zabrały się za łuskanie skórzastej fasoli i wysuszonego groszku.

Carrie zaczęła opowiadać Emmie o chłopcach, o tym, jak świetnie radził sobie z nimi Jonasz i jak zyskał sobie jej pełne zaufanie. Opisała też wszystkie prace, jakie wykonał w obejściu, i jak sprowadził na świat źrebaka Boodle.

Starsza kobieta od razu dostrzegła szczególny błysk w oczach Carrie, gdy ta tłumaczyła, jak cudownie Jonasz porozumiewał się z dziećmi i zwierzętami.

I z młodymi kobietami, pomyślała Emma, obawiając się, że jej niedoświadczona przyjaciółka skończy ze złamanym sercem.

- Och, gdybyś widziała, jak on umie doprowadzić chłopców do śmiechu. Zjawili się u nas zabiedzeni i przerażeni, ale gdybyś ich usłyszała teraz! Oczywiście czasami kłócą się i przepychają, ale Jonasz twierdzi, że tak robią wszyscy mali chłopcy.

„Jonasz twierdzi”, ze smutkiem powtórzyła w duchu Emma. „Zjawili się u nas”. Czy to dziecko miało pojęcie, co się z nią tak naprawdę działo?

- A teraz wyjechał i pewnie już nie wróci. Bo nawet jeśli szeryf nie zamknie go z powrotem w więzieniu, to Jonasz zapewne zbrata się z hazardzistami z wyścigów i tak to się wszystko skończy. Tym bardziej że nigdy nie polubił pracy na roli. - Fotel zatrzeszczał szaleńczo, jakby Carrie usiłowała wytrząść z siebie wszelkie troski. - Ale nie martw się, tak czy owak na wiosnę z pewnością posieję zboże - oświadczyła z powagą. - Teraz już najgorsze za mną. Ten ostatni kawałek zaorzę sama. - Zaczęła wyginać kciuk, by zademonstrować, jak doskonale goi się jej dłoń. - Gdy tylko mróz zniszczy pędraki i nasiona chwastów, ziemia będzie gotowa, by rozpocząć siew. Widzisz, jak dobrze pamiętam wszystko, czego mnie nauczyłaś.

Emma doskonale wiedziała, co tak naprawdę martwi jej młodą przyjaciółkę, i wcale nie było to świeżo wykarczowane pole.

- Przykro mi, że tak się ułożyły sprawy, kochanie. Jak sędzę, ten mężczyzna poruszył serce twoje i tego drobiazgu, ale serca zawsze się goją. Blizny nosi się przez jakiś czas, podobnie jak wspomnienia, ale w końcu jedne i drugie bledną i nie sprawiają już straszego bólu.

Carrie nie wyjawiała wyraźnie, co czuje do Jonasza, ale Emma zawsze w lot pojmowała wszystkie niedopowiedzenia. Dlatego Carrie musiała się z nią zobaczyć jeszcze tego dnia. Była tak przepełniona uczuciami, których nie rozumiała i z którymi nie umiała sobie poradzić, że musiała dać im upust, bo inaczej nagromadzony żalu musiałby wybuchnąć z ogromną mocą.

Carrie poznała Emmę, gdy pojechała na targ w Shingle Landing, by kupić nasiona do ogródka. Darther, w przyływie niespotykanej hojności, dał jej trzy dolary, gdy wybierał się do Warrenton na wyścigi. To właśnie Emma powiedziała jej, jakie warzywa będą najlepiej rosły, a które nie udają się na tej ziemi. Ostrzegła ją też, że sarny i króliki tylko czyhają, by rzucić się na pierwsze pędy, które wystrzelą z ziemi.

Od tamtej pory bardzo się zaprzyjaźniły mimo ogromnej różnicy wieku. Miały jednak wiele wspólnego. Obie straciły wszystkich bliskich, obie przetrwały. Emma, bez cienia cierpiętnictwa w głosie, powiedziała Carrie, że bolesne doświadczenia i ciężka praca są wpisane w los kobiety, i jedynym sposobem, by to znieść, jest traktowanie każdego, nawet najdrobniejszego powodzenia, jak wielkie zwycięstwo, i budowanie w sobie przekonania, że przyszłość przyniesie następne. Jeżeli ciasto nie opadło, to już wielka wygrana. Jeśli kura zniosła jajko z dwoma żółtkami, to wielki sukces. A kiedy osiągnie się pewien wiek, szczęśliwe przeżycie każdego dnia jest poważnym zwycięstwem.

Więc jeśli Emma, schorowana, uboga i samotna staruszka, umiała cieszyć się każdym kolejnym dniem, Carrie tym bardziej powinna się na to zdobyć.

- Emmo, a co będzie, jeśli Dartherowi nie uda się go uwolnić? Czy sądzisz, że wtedy... - Nie była w stanie tego powiedzieć, nie mogła znieść podobnej myśli, a jednocześnie nie potrafiła się od niej oderwać. - Przecież zostawił swoją



klacz ze źrebkiem i nauczył chłopców, jak z nimi postępować. Czy to nie oznacza...?

- Nie ma sensu wywoływać wilka z lasu i zamartwiać się na zapas, kochanie. Tak zawsze mawiał mój Luther, gdy zaczynałam się trapić.

Carrie zamyśliła się. Pośród wielu grzechów, przed którymi ją przestrzegano, poczesne miejsce zajmowały zawiść i próżność. Do tej pory pamiętała, jak w dzieciństwie pożałała nowego, falbaniastego fartuszka swojej koleżanki - a miała wówczas zaledwie pięć lat. Za karę musiała spędzić pół dnia w ciemnej piwnicy, a kilka dni później następne pół dnia po tym, jak została przyłapana na podziwianiu własnego odbicia w gładkiej tafli jeziora. Najwidoczniej trudno przyswajała sobie lekcje pokory, bo w niecały tydzień później znów została wysłana do piwnicy. Ogolono jej głowę, by definitywnie pozbyć się wszy, a ona odmówiła chodzenia do kościoła aż do chwili, gdy odrosną jej włosy.

Oczywiście pouczano ją także na temat zgubnych skutków nieposłuszeństwa.

Ale to było w zupełnie innym życiu, pomyślała. Jak wiele żywotów bywa dane człowiekowi? I jak wiele z nich już wykorzystała? Jedno - przed masakrą, drugie - po masakrze, gdy na próżno czekała, by ją ktoś adoptował. Potem przyszło życie pod dachem pani Robinson, gdzie musiała nauczyć się tabliczki mnożenia, spamiętać setki biblijnych wersetów, i gdzie była karana za czytanie świeckich powiastek. Jej następne życie przybrało dramatyczny obrót, bo nagle znalazła się u wuja Henry'ego.

Teraz przyszedł czas na życie z Dartherem Adamsem. Jak wiele żywotów może mieć kobieta? Czy aż dziewięć, jak kot?

O Boże, teraz na pewno zostanie ukarana za grzech herezji. A przecież już znajdowała się w dostatecznych kłopotach, bo pożałała mężczyzny niebędącego jej mężem, choć na dobrą sprawę nie całkiem wiedziała, co w zasadzie oznacza to „pożądanie”.

Niemniej była przekonana, że miało ono coś wspólnego z tym, co czuła, gdy Jonasz dotykał jej dłoni lub gdy patrzyła, jak szedł za pługiem równym, pewnym krokiem, z brązowymi ramionami błyszczącymi od potu. Lub gdy, przyłapawszy ją na ukradkowych spojrzeniach, odpowiadał jej iskierkami ciepłego humoru w oczach.

- Tak, zostawił konie, więc pewnie zamierza po nie wrócić, ale jeśli nie będzie mógł tego zrobić? Emmo, a co, jeśli go powieszą? W głębi serca wiem, że niczego nie ukradł, a jeśli nawet, to tylko przez pomyłkę.

Emma wybuchnęła śmiechem. Było to tak nieoczekiwane, że nawet chłopcy przerwali zabawę i spojrzeli na nią. Zagwizdał drozd, cykały koniki polne, z oddali dobiegało szczekanie psa. Późnopołudniowe słońce świeciło ukośnie poprzez drzewa i nagle Carrie poczuła wielką ochotę, by objąć ramionami wszystko wokół - Emmę, chłopców, ten śmiech i ciche dźwięki cudnego, babiego lata - a potem chłonąć całą duszą słodczy i kojący spokój tej szczególnej chwili.

Syć się każdym najmniejszym zwycięstwem, a potem ruszaj przed siebie na spotkanie następnego.

Urok przysł, gdy nagle znajomy chór - „A bo nie”, „A bo tak” - wdarł się niespodziewanie w jej marzenia.

- Myślę, że powinniśmy zbierać się do drogi - z żalem oznajmiła Carrie. - Chodźcie, chłopcy, musimy wracać.

- Musimy? Ja już prawie złapałem mrówkolwa - wyjęczał Zach.

- Wstawaj, smarku, potrzebniemy koniom - zarządził Nate, otrzepując dłonie.

- Przyjedźcie koniecznie w przyszłym tygodniu. Może uda mi się znaleźć jeszcze kilka zabawek - zwróciła się do chłopców Emma. Do Carrie zaś powiedziała: - Luther robił chłopcom gwizdki i proce, pewnie jeszcze gdzieś tu leżą.

Carrie czekała z odjazdem, póki jej przyjaciółka, podpierając się laską, nie wdrapała się po drewnianych schodkach. Kiedyś Emma była równie młoda jak Carrie, pełna marzeń i nadziei. W tamtych czasach od Pasquotank River po Currituck Sound słynęła z urody i temperamentu, jak wyznała pewnego dnia, gdy wypity z Carrie parę szklaneczek jeżynowego wina.

Ale to wszystko było jeszcze wtedy, zanim jankescy maruderzy spalili jej dom, zanim straciła męża na wojnie i zanim ostatnie z jej dzieci zmarło w czasie zarazy w 1878 roku. Teraz mieszkała sama na paru akrach, sprzedawała własnoręcznie przyrządzone leki tym, którzy mogli sobie na nie pozwolić, a tym, którzy nie mogli, rozdawała mikstury za darmo.

Zeszłego lata zdechł jej muł i wówczas kilku mężczyzn, których rodziny wiele zawdzięczały jej umiejętnościom, przybyło, by go pogrzebać. Teraz zaś od czasu do czasu przynosili jej jakieś mięso, natomiast Carrie dzieliła się z nią wszystkim, co zdołała wyhodować czy pochwycić we wnyki. W taki oto sposób starszej pani udawało się przetrwać, zachowując godność i poczucie humoru, ciesząc się każdą porą roku, jakby to było wspaniałe widowisko wystawiane specjalnie dla niej.

Carrie bardzo chciałaby przeżyć własne życie, zachowując choćby połowę tej godności.

Nate zaprzągnął Sorry'ego do wozu. Pod wieloma względami ten chłopiec przypominał Jonasza. I będzie mu go brakować równie mocno jak Carrie. Zach był młodszy i w końcu zdoła zapomnieć, ale Nate nie zapomni nigdy.

- Czy ona jest starą wiedźmą? - zapytał Zach, gdy w milczeniu ujechali spory kawałek.

- Pani Emma? Co ty, głupi smarku, to mądra kobieta. Jak moja babcia, co to wiedziała wszystko o sprowadzaniu na świat dzieci i o odganianiu diabłów. Nie widziałeś krzaczków wiszących u powały? Kubek w kubek te same, co moja babcia wieszała, by wyschły. Niektóre się pali i wdycha dym, niektóre

gotuje i pije, a jeszcze inne miesza z niedźwiedzim sadłem i wciera w głowę lub brzuch, zależy, gdzie siedzą diabły. Ja już się dobrze na tym wyznaję.

- A bo nie.

- A bo tak.

- A bo nie.

Carrie westchnęła. Sorry włókł się powoli, leniwie, lecz jednak tym razem Carrie nie przeklinała go ani nie groziła batem. Dom i tak będzie na nich czekać... opustoszały. Nagle wydało się jej, że nawet słońce zasnęła szara, ponura mgła.

Jonasz z Dartherem zostali wprowadzeni do ciasnego, dusznego pomieszczenia, w którym siedziało kilku mężczyzn, na pierwszy rzut oka nieskorych do oddalenia zarzutów przeciwko Metysowi, który przybył tu z rezerwatu położonego w Zachodnim Terytorium via więzienie w St. Augustine na Florydzie.

Po krótkiej i mało ważnej dyskusji jeden z nich zwrócił się do więźnia:

- Czy zechcesz nam powiedzieć, chłopcze, czemu osiedliłeś się w naszych stronach?

Jonasz poczuł, jak tężeje mu kark. Pilnując się, by nie zareagować ostro na jawną pogardę w głosie nieznajomego, powtórzył historię, którą opowiadał już niezliczoną ilość razy. Stojący nieopodal szeryf pilnie przyglądał mu się spod oka, jakby liczył, że przyłapie go na kłamstwie.

- Mój okręt zatonął w pobliżu Pea Island. Uratowano mnie, potem łodzią przewieziono do miejsca zwanego Manteo. Tam dowiedziałem się, że w głębi łądu można kupić dobrą ziemię. Więc ją kupiłem.

- Kupiłeś ją - powtórzył sędzia. - Tak ot postanowiłeś kupić ziemię w miejscu, którego nigdy przedtem nie widziałeś i tam właśnie zapuścić korzenie. A za co postanowiłeś ją kupić? Za pieniądze, o kradzież których oskarżają cię inni marynarze?

- Człowiekowi szybko brzydnie łykanie słonej wody. Ziemia jest tu dobra, a ja nie mam żadnej rodziny, więc pomyślałem, że tu mogę żyć. Pieniądze, które zarabiałem przez cztery lata pracy na morzu, odbierał porucznik Pratt z Fort Marion i składał na moje nazwisko w banku. Właśnie za nie kupiłem ziemię i konie.

Jonasz pokazał dokumenty, które przejrzał każdy znajdujący się w małej salce, bez względu na to, czy umiał, czy nie umiał czytać. Bo Jonasz był pewien, że niektórzy nie umieli.

- A te ci tu dokumenty mają niby dowodzić, że twój pogański język dzikusa nie kłamie? - wtrącił uzbrojony osobnik z opadającym brzuchem, ściągając na siebie pełen dezaprobaty wzrok sędziego.

Pogański język dzikusa? Ten człowiek był jeszcze większym głupcem, niż się na pierwszy rzut oka zdawało.

W końcu, po wielu godzinach przesłuchań, szalę na korzyść Jonasza przeważył Darther. Z czerwoną twarzą, ale pewnie trzymając się na nogach, wystąpił naprzód.

- No więc, jako właściciel ziemski mówię wam, że ten tu Longshadow jest rzetelny i pracowity, i że nigdy, wedle mej wiedzy, nikomu nie skłamał, niczego nie ukradł, nie skrzywdził zwierzęcia, kobiety czy dziecka - oświadczył pompatycznie. - Chłopak pracuje dla mnie i mojej żony. Spisuje się na schwał, oczyścił moje pole i w ogóle doglądał farmy, gdy musiałem wyjechać w ważnych interesach.

Rozległy się szydercze śmiechy, bo niektórzy dobrze znali Adamsa, wkrótce jednak zwitki pieniędzy zgrabnie zaczęły krążyć z rąk do rąk. Uzbrojony osobnik wyszczerzył zęby w uśmiechu, z zadowoleniem poklepał się po kieszeni i splunął na podłogę. Młodociany zastępca szeryfa, Noe, aż pokraśniał na twarzy, gdy ukradkiem chował kilka monet. Sędzia, spokojny, elegancko ubrany mężczyzna, westchnął ciężko i wbił wzrok w okno, udając że nie widzi, co się dzieje wokół.

Gdy tylko wyszli z sądu, Jonasz chciał już tylko jak najszybciej opuścić miasteczko, bo związane z nim wspomnienia nie należały do przyjemnych. Jednak Darther miał inne pomysły.

- Jak już jesteśmy tak blisko, to pojedźmy obejrzyć tor, poniuchajmy trochę. Wypijemy co nieco, usiądziemy do kart. Grałeś kiedykolwiek w pokera?

- Wezmę z tobą udział w trzech wyścigach gdy nadejdzie pora. Masz na to moje słowo.

- No cóż, po tym jak zapłaciłem za twoją wolność, zdaje mi się, że mam prawo oczekiwać więcej. Może więc ugodzilibyśmy się na innego jeźdźca?

- Jeżeli T'a-Kon ma brać udział w biegu, ja będę na jego grzbiecie.

- W takim razie sześć gonitw.

- Trzy.

- Pięć. To moja ostateczna oferta - dobitnie oświadczył Darther. - Pięć gonitw, z tobą na grzbiecie, w moich barwach.

- Cztery i w niczyich barwach. Takie są moje warunki.

Wdychając głęboko powietrze pachnące wolnością, Jonasz powiedział sobie w duchu, że powinien okazać więcej wdzięczności, ale na myśl o ściganiu się dla tego człowieka, o dalszym oglądaniu go na oczy, cierpła mu skóra. Z drugiej jednak strony został oczyszczony z kryminalnych zarzutów nie dlatego, że uwierzono w jego niewinność, ale dlatego, że Darther wiedział, ile i komu wsunąć w łapę. Poza tym Jonasz dał swoje słowo, a należał do ludzi honoru.

- Takie są moje warunki - powtórzył, krzyżując dłonie na piersi.

- No dobrze, szczegóły uzgodnimy później. Widzę, że teraz spieszno ci wracać. Nie umknęło mi, jak patrzyłeś na mą żonę. Carrie to dobra dziewczyna, muszę przyznać. Potrafi rozsierdzić człowieka tymi swoimi wymysłami, ale widziałem brzydsze od niej. Więc jeżeli oboje chcielibyście coś tam razem, to mogę się wynieść z gąsiorkiem na stryszek, - Wzruszył pulchnymi ramionami, a Jonasz z trudem powstrzymywał się, by nie chwycić tej kanalii za tłuste gardło.

- Oczywiście wtedy musielibyśmy renegocjować nasz układ. Powiedzmy, cały sezon wyścigowy, no i ten żrebak, jeżeli coś z niego wyrośnie.

O potężny Taime, daj mi siły! Olbrzymi Łuku, Szybki Niedźwiedziu, Błądzący Niedźwiedziu, udzielcie mi swej odwagi i mądrości, bym nie wypatroszył tego człowieka i nie rzucił jego trzewi myszołowom na pożarcie!

Zanim księżyc wznosił się nad wierzchołki drzew, Nate i Zach, wyczerpani dźwiganiem wody ze strumienia, pochłonęli żarłocznie wielkie porcje placka kukurydzianego z fasolą, po czym poszli spać do stodoły. Carrie proponowała, by przenocowali w domu, ale oni woleli pójść na stryszek.

Tęsknili za Jonaszem.

Carrie była głęboko zatroskana. Darther powiedział, że wrócą na kolację, ale pora kolacji dawno już minęła. Nawet jeżeli udało mu się doprowadzić do uwolnienia Jonasza, w co głęboko wierzyła, obaj zapewne poszli to uczcić. Albo Jonasz zdecydował się wrócić do siebie. Wcześniej czy później przyjedzie po Boodle i Howarda, ale jeżeli jest teraz wolnym człowiekiem, nie będzie miał po co tu zostawać.

Może to zresztą i lepiej. Carrie będzie radować się jego wolnością, a potem zrobi tak, jak radziła Emma - postara się cieszyć każdym najdrobniejszym zwycięstwem. Wciąż przecież miała Nate'a i Zacha. I wykarczowane pole, niemal gotowe pod zasiew.

No i męża. Męża, którego będzie musiała tolerować, bo nie ma innego wyjścia, jeśli chce stworzyć chłopcom w miarę bezpieczny dom. Pewnego razu, gdy Darther wyjątkowo dotkliwie ją pobił, zastanawiała się, czy nie poprosić Emmy, żeby przyjęła ją do siebie, doszła jednak do wniosku, że ten łajdak na pewno by po nią przyjechał i zrobił piekło także z życia jej przyjaciółki.

Stojąc na frontowych schodkach, Carrie objęła się ramionami dla ochrony przed wieczornym chłodem. To już ostatnie dni września. Carrie pomyślała, że nie tylko lato właśnie się skończyło.

Z oddali dobiegło szczekanie psa, a potem jakby tętent końskich kopyt. I grzmot. Radość z nadciągającego deszczu wyparła wszystkie inne myśli.

## ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Deszcz lunął akurat w chwili, gdy Darther z Jonaszem zajechali przed dom.

- Daj mi suchą koszulę, kobieto! - krzyknął Darther, wpadając do środka.

Przyjechali! Są w domu! Jonasz wrócił! Nie potrafiąc ukryć radości, Carrie odwróciła się i z kosza wyjęła czystą koszulę.

- Czy Jonasz przyjechał po swoje konie?

Tak czy owak, nie zostanie długo. Nie będą więcej jadać wspólnie kolacji na świeżym powietrzu, nie będą patrzeć, jak jedna po drugiej wschodzą gwiazdy w akompaniamencie śmiechu dokazujących chłopców.

Deszcz bębnił głośno o dach i wpadał do środka przez pootwierane okna. Carrie chciała wybiec na zewnątrz, wyciągnąć ramiona ku niebu i krzyczeć z radości. Nie tylko dlatego, że zaczęło padać.

Zrzucając z siebie mokre ubranie, Darther posłał jej groźne spojrzenie.

- Pozbyłaś się już tych dzieciaków?

- Przecież nie mogę ich wysłać na poniewierkę. - Była przygotowana, by walczyć o chłopców, lecz Darther, ku jej wielkiemu zdumieniu, porzucił temat.

- Jest gąsiorek w domu?

- Tylko ten, co został od wczoraj.

- Więc dawaj go tu, kobieto, i nie stój tak z rozdziawioną gębą. - Pochylił się w stronę otwartych drzwi i zakrzyknął: - Jonasz! Wchodź do środka, chłopcze: Mamy co świętować!

Od tej chwili wieczór zaczął zamieniać się w koszmar. Jonasz pojawił się w progu, jednak Carrie od razu zauważyła, że nie miał ochoty wchodzić, tylko z dziwnym wyrazem twarzy spoglądał to na nią, to na Darthera.



- Wchodź, chłopcze. A ty, kobieto, pozamykaj wreszcie te okna! No już, chłopcze, siadaj i napij się ze mną. Wy Indiańcy lubicie whisky, co? - zarechotał na całe gardło, aż Carrie skuliła się z zażenowania.

Jonasz wszedł i zamknął drzwi, a Carrie na jego widok natychmiast przyszedł na myśl zdziczały szczeniak, którego próbowała zaadoptować. Niektóre stworzenia nie mogły żyć w niewoli.

Podczas gdy mężczyźni rozmawiali o koniach, a raczej gdy perorował Darther, Carrie narzuciła chustę na głowę i wybiegła na dwór, by sprawdzić, co u chłopców, no i by przynieść Dartherowi następny gąsiorek. Im szybciej jej mąż spije się do nieprzytomności, tym lepiej dla wszystkich.

Ze stryszku dobiegły ją gorączkowe szepty.

- Jest szybszy od wszystkich innych wyścigowych koni na świecie.

- Ty żeś nigdy nie widział żadnego wyścigowego konia.

- A bo tak!

- A bo nie!

Carrie zapaliła latarnię i podeszła do drabiny.

- Chłopcy, uspokójcie się. Zjedliście kolację, więc już czas na sen. Pamiętajcie, Jonasz liczy na to, że jutro pomożecie mu przy koniach.

Wprawdzie nie wiedziała, na co liczy czy nie liczy Jonasz, ale chciała zachęcić chłopców do snu.

- Czy on już teraz z nami zostanie? - spytał Zach.

- Pewnie, że nie, głupku! Razem z Conem wygrają wszystkie wyścigi stąd do Nizin Południowych, a potem wrócą i Jonasz zbuduje wielki dom, jeszcze większy niż dom starego Litkina, i my razem z nim zamieszkamy, i będziemy doglądać Howarda i Boodle, i Cona, i tych wszystkich koni, co Jonasz je kupi, jak już będzie bogaty.

Carrie rozdziawiła usta ze zdziwienia:

- Nate, czy tak właśnie powiedział ci Jonasz?

- Nie, psze pani panno Carrie, nic mi nie powiedział, tylko żebym dobrze wytarł podjezdka i dał mu owsa, jak wypocznie. I to zrobiłem. A z niego to nie najlepszy biegus, prawda?

- Pewnie tak. Chłopcy, naciągnijcie na siebie koc i uważajcie, by nie nakapało wam na nosy. - W tym samym momencie na policzku Carrie wylądowała wielka, pękata kropla, przyprowadzając dzieci o konwulsje śmiechu. Carrie tymczasem ostrożnie zaczęła schodzić po drabinie, trzymając latarnię i ciężki gąsiorek.

Darther i ta jego przeklęta whisky! Miała ochotę wlać mu cały ten samogon własnoręcznie do gardła, bo inaczej nagle może mu się zachcieć kury na kolację. Nie byłby to pierwszy raz, gdy bez względu na pogodę musiała w środku nocy lecieć do kurnika i zarzynać jedną ze swoich cennych niosek, a potem patrzeć, jak ten głupiec traci przytomność, zanim jeszcze zdążyła oskubać i opalić nieszczęsnego ptaka. Że też los obdarzył ją takim opojem z wiecznie obrzękłą gębą i złośliwymi, świńskimi oczkami. Przynajmniej gdy na nią patrzył, były pełne złośliwości, bo gdy się rozwodził na temat tych wszystkich gonitw, które dla niego wygra Jonasz na Conie, z jego spojrzenia wyzierała najczystsza chciwość.

Chwilę później Carrie zabrała się za smażenie bekonu. Ze spizarki przyniosła fasolę na zimno i placek kukurydziany na wypadek, gdyby Jonasz był godny, a potem, starając się ignorować obu mężczyzn, usiadła na stołku i nawlekła igłę. Co prawda zrobiło się już za ciemno na cerowanie, ale pozostało jej jeszcze nieco zielonej fasoli do naciągnięcia na sznurki. Była twarda i skórzasta, wieszano się ją do wysuszenia w całych strąkach, i nie należała do najsmaczniejszych, ale Carrie nie mogła sobie pozwolić na marnowanie żadnego jedzenia.

- No dalej, chłopcze. Źle się pije samemu. Przecież mamy co świętować! Do wszystkich diabłów, uratowałem cię przed zadyndaniem na stryczku, więc przynajmniej możesz się ze mną napić za własne zdrowie.

Z ramionami splecionymi na piersi Jonasz spokojnie odmówił. Zawarł określony układ. Dotrzyma jego warunków, ale żaden z nich nie przewidywał, że będzie pił z tym człowiekiem.

- Masz coś przeciwko whisky, chłopcze?

Tak, miał, bo whisky zmienia ludzi w zwierzęta, odbiera im rozum, ambicję, rozsądek. Uznał jednak, że mówienie o tym na niewiele się zda, odparł więc jedynie, że jest głodny, a nie spragniony.

Słyszając to, Carrie napełniła dzbanek melasą i nakryła do stołu. Kiedy przypadkiem jej ręka musnęła jego ramię, Jonasz usłyszał, jak sapnęła z wrażenia, po czym spojrzała na niego niczym rażona piorunem.

Rozwalony na ławie, z nogami opartymi o ruszt kominka, Darther uśmiechnął się kpiąco i potrząsnął głową.

- A rzeczywiście, to muszę przyznać, chłopcze. Zbyt wiele trunku ugasi każdy płomień. Jeżeli więc nie chcesz pić mojej whisky, to może przystaniesz na wzięcie sobie mojej żony. To się nazywa prawdziwa goś-gociś-go... - jeszcze parę razy usiłował wypowiedzieć słowo „gościnność”, w końcu jednak dał za wygraną. - Carrie, masz być miła dla naszego przyjaciela, słyszysz? On zrobi z nas bogaczy, prawda chłopcze?

Doprowadzony do furii podobnym traktowaniem Carrie, Jonasz ostatnim wysiłkiem woli powstrzymał się, by nie chwycić tego żalosego śmiecia za kark i nie cisnąć nim na podwórze. Pohamował się jednak i zabrał się za kolację; Jadł powoli, metodycznie, celowo nie patrząc ani na Carrie, ani na jej męża.

Niestety, ten człowiek miał rację. Ta kobieta o jasnych włosach i białej cerze rozpaliała w nim krew. Z wrodzoną swojej rasie arogancją zapłaciła za niego dwa dolary, a potem przywiązała go do wozu, jakby był nie lepszy od parszywego psa, i kazała mu w kajdanach wlec się za wozem. Uwięzienie pod fałszywymi zarzutami było już dostatecznie okropne, lecz odsprzedanie go kobiecie za mniej niż równowartość galonu whisky dopełniło miary. Wówczas

kipiał gniewem i nienawiścią, miał ochotę krwawo odegrać się za doznane krzywdy. Kiedy więc to wszystko zaczęło się zmieniać?

Nie wiedział.

Szybko zaczął sobie wyobrażać, jak by wyglądała bez tej workowatej sukienki, pod którą jej ciało musiało być jeszcze bielsze od jej twarzy. Czy jej kobiece włosy były także jasnozłote? Kiedyś, na Barbadosie, wziął sobie jasnowłosą dziwkę i z wielkim rozczarowaniem odkrył, że między nogami była równie ciemna jak on.

W przypadku Carrie Adams nigdy się tego nie dowie. Ta kobieta wciąż burzyła w nim krew, ale już nie z gniewu. I nie zawsze z pożądania. Gniew byłby prostszy i łatwiejszy do zniesienia, ale w niektórych sprawach mężczyzna nie miał wyboru. Być może kiedy będzie już zupełnie stary, a więc odporny na pokusy, zdoła o niej zapomnieć.

Być może...

Tymczasem Darther wciąż pił. Jonasz twardo postanowił, że nie wyjdzie, dopóki Adams nie zapije się do nieprzytomności, bo teraz wiedział już dobrze, że póki ten opój nie doprowadzi się do takiego stanu, byle drobiazg może wyprowadzić go z równowagi, a wówczas rzuci się z pięściami na pierwszą lepszą osobę, jaką będzie miał pod ręką. A tą osobą będzie Carrie.

Jakiś czas po północy deszcz przestał padać równie gwałtownie, jak zaczął. Niebo nagle się wypogodziło, a w chłodnym, czystym powietrzu unosił się balsamiczny aromat palonego drewna i jesiennych liści. Księżyc odbijał się w wypełnionym po brzegi poidle i w dziesiątkach małych kałuż. Jonasz miał ochotę już iść, jednak ile razy się podnosił, Darther wołał, żeby siadał, napił się, zjadł jeszcze coś... czy wziął cokolwiek, czego zapragnie.

Za każdym razem Jonasz, słysząc to, aż kipiał wściekłością i wstydem wobec kobiety, która wspólnie z nim odbywała nocne czuwanie. Pragnął trzasnąć Adamsa i skończyć tę zabawę, zabrać swoje konie i wyjechać, ale wiedział, na kim wówczas skupiłaby się furia tego łachmyty.

Czekali w milczeniu, a Darther, melancholijnie wpatrzony w strzelbę, opróżniał gąsiorek. Miał niewiarygodnie mocną głowę. Każdy normalny człowiek już dawno straciłby przytomność.

- Zaprowadziłem Cona do boksu - w końcu oznajmił cicho Jonasz.

Carrie skinęła głową, a po chwili, równie cicho, powiedziała:

- Chłopcy sądzą, że wygrasz wszystkie gonitwy, a za wygraną wybudujesz pałac i zabierzesz ich do siebie, by mogli żyć jak małe książęta. Mam nadzieję, że już o tym wiesz. - Na jej twarzy pojawił się blady, zmęczony uśmiech.

Ignorując tę uwagę, a także pokusę, by czułym dotykiem rozpogodzić jej twarz, zapytał miękko:

- Czemu w tym tkwisz?

Carrie spojrzała na Darthera. Jeszcze nie stracił świadomości, ale chyba niewiele już do niego docierało.

- Nie mam dokąd iść.

- A co z twoją przyjaciółką?

- Emmą? Jej chata jest niewiele większa od mojej, no i leży zbyt blisko. On by po mnie przyjechał i wówczas ucierpiałaby także Emma. - Uśmiechnęła się ponownie, jakby rozmawiali o drobiazgach bez znaczenia.

Jonasz doszedł do wniosku, że albo jest najodważniejszą, albo najgłupszą kobietą, jaką zdarzyło mu się spotkać.

- No i teraz są jeszcze chłopcy - dodała. - Chyba że naprawdę zamierzasz zbudować dla nich pałac, by mogli żyć jak książęta...

Pokręcił głową, uśmiechając się nieznacznie.

- Dobrze wiesz, co myślę o mieszkaniu w czterech ścianach.

- Wiem, że wolałbyś spać na świeżym powietrzu.

- Dach nie jest zły, ale ściany za bardzo przypominają więzienie - oświadczył, bawiąc się trzonkiem leżącego na stole widelca.

Jej ręka spoczywała tuż obok. Carrie usunęła już bandażę i Jonasz śmiałym ruchem zaczął wodzić po poszarpanej bliźnie wijącej się wokół jej kciuka. Dłoń

Carrie była szorstka i pełna odcisków. Nie odrywając ręki od jej palców, spojrział na nią uważnie, zastanawiając się, co czuła, gdy Adams zaoferował, by Jonasz wziął ją do łóżka. Czy poczuła się poniżona, czy też urażona jego pozornym brakiem zainteresowania?

Miał ochotę jej wyznać, że odmówił, bo nie chciał, by stało się to w takich okolicznościach, choć pragnął tego najbardziej na świecie. Pragnął jej powiedzieć, jak często nawiedzała go w snach, jak wiele razy miał ochotę zignorować nakazy rozumu i chwycić ją w ramiona.

Jeżeli kiedykolwiek do niego przyjdzie, to tylko z własnej woli. I jeśli kiedykolwiek będzie mógł jej dotykać, całować i trzymać w ramionach, to decyzje dotyczące przyszłości nie będą już należeć tylko do niego. A przecież razem nie mieli żadnej przyszłości. Carrie też musi to dobrze rozumieć.

Może poczuła się urażona pomysłem, by mogła iść do łóżka z Metysem? Na tę myśl gwałtownie oderwał palce od jej dłoni, zaś ona szybko opuściła ją na kolana.

- Już nie pada. Uchylę drzwi - rzuciła nerwowo, a Jonasz też poderwał się z miejsca i zaczął otwierać okna.

Czuł, że musi coś zrobić, poczuć na twarzy powiew wiatru, wygnać demony, które zaległy mu się w głowie, podszeptując marzenia, które nigdy się nie spełnią.

Kiedy do chaty zaczął napływać chłodny, świeży powiew, oboje odwrócili się i spojrzeli na mężczyznę rozpartego na ławie, z głową odchyłoną do tyłu pod dziwnym kątem, z szeroko rozwartymi ustami. Chwilę później nocną ciszę przerwało głośne chrapanie i wówczas Carrie odetchnęła z ulgą. Przy odrobinie szczęścia Darther będzie spać przez następne dwanaście godzin.

Odległość od ławki do łóżka była niewielka, ale Darther był ciężkim, a teraz zupełnie bezwładnym mężczyzną. Jednak w prawie niewykonalnym zadaniu wyręczył ją Jonasz, który zręcznym manewrem przerzucił opoja na puchowy materac.

Przewyciężając wstęt, Carrie zdjęła mężowi szelki, a Jonasz ściągnął mu buty. Carrie odpięła od koszuli kołnierzyk i mankiety, ostrożnie wyjęła z kamizelki zegarek i dewizkę, po czym ułożyła je na półce przy łóżku. Wreszcie okryła Darthera kołdrą i zaciągnęła kotarę.

- Dziękuję ci - wyszeptwała. - Wiem, że zostałeś, bo bałeś się, że wpadnie w szal, ale ja umiem sobie z nim radzić, gdy znajduje się w takim stanie. Jeżeli jestem dość czujna, zwykle poruszam się szybciej od niego, nawet kiedy jest trzeźwy.

Miała podkrążone oczy i uśmiechała się z wysiłkiem, ale ciepło tego uśmiechu sprawiało, że Jonasz miał ochotę porwać ją w ramiona i odjechać z nią gdzieś daleko, gdzie mogliby zapomnieć, że na świecie istnieli tacy ludzie jak jej mąż. Głupcze, pomyślał. Taime podarował ci życie, ale odebrał rozum.

- Kiedy twój mąż się obudzi, powiedz mu, że wrócę, by zdążyć na wyścigi. Dałem mu przecież słowo.

- Wyjeżdżasz? - Z jej oczu wycierała tak wielka rozpacz, że miał ochotę natychmiast ją przytulić i ukoić.

- Wyślij Nate'a i Zacha do swojej przyjaciółki. Na pewno może się nimi zająć przez kilka dni. Kiedy tylko wrócę po twojego męża, będziesz mogła sprowadzić ich z powrotem.

Carrie skinęła głową. To był dobry pomysł. Darther nie zniesie obecności dwóch małych, wścibskich chłopców, a w częstych napadach szału stawał się nieobliczalny. Z drugiej strony Emma zyska pomoc w codziennych pracach.

Nieudolnie próbując ukryć wzbierające w jej sercu uczucia, Carrie obiecała Jonaszowi, że postąpi tak, jak jej przykazał. W ciszy przerywanej jedynie dźwiękiem kropli spadających z dachu, stali naprzeciwko siebie, oczami wyrażając to, czego usta nie śmiały wypowiedzieć. Nagle Jonasz odwrócił się i ruszył przed siebie, Carrie zaś zamknęła za nim drzwi i oparła się o nie plecami, usiłując powstrzymać łzy i zwalczyć poczucie beznadziejności.

Rozwinęła starą kołdrę i rozłożyła na podłodze. Darther będzie spał co najmniej do południa. Materac przesiąknie jego potem i pewnie coś jeszcze gorszym, więc będzie musiała go wywlec na dwór, wyszorować płótno, a potem sięgnąć do beczki z pierzem i wymienić całą wyspę. Mąż wstanie rozjuszony niczym głodny niedźwiedź, ale jeżeli będzie się trzymać od niego z daleka, raczej nic jej nie grozi. Przecież jej nie zastrzeli, bo kto by go wtedy pielęgnował po kolejnych pijaństwach.

Następnego ranka Carrie wstała przed świtem, mimo że prawie wcale nie zmrużyła oczu. Napaliła w piecu i postawiła na płycie dzbanek z kawą, a potem wyszła na dwór, by wypuścić kury.

Wtedy zobaczyła chłopców. Stali przed stodołą i wpatrywali się w drogę z takimi minami, jakby zaraz mieli się rozplakać. Kiedy Carrie powędrowała za ich wzrokiem, ujrzała oddalającego się Jonasza, prowadzącego za sobą Boodle i Howarda. Wtedy jej oczy też zwilgotniały.

Siląc się na wesołość, powiedziała do chłopców:

- Przyszedł mi do głowy cudowny pomysł. Czy macie ochotę pomieszkać kilka dni u pani Emmy?

Zach natychmiast zaprotestował, ale Nate spojrzał na Carrie tymi swoimi ciemnymi, aksamitnymi oczami, które widziały dużo więcej, niż powinno widzieć dziecko.

- Jonasz powiedział, że mamy słuchać pani Carrie i robić wszystko, co nam każe. A ty pójdziesz z nami?

- Pójdę z wami, ale szybko będę musiała tu wrócić, by zająć się Sorrym i kurami.

- Uhm - rzucił Nate, nie kryjąc sceptycyzmu. Wszyscy troje wciąż wbijali wzrok w drogę.

- On szybko wróci, psze pani - oznajmił Nate, a Carrie mu uwierzyła. Nie byłaby w stanie znieść myśli, że więcej już nie zobaczy Jonasza.



Nim minęło południe, Jonasz odnalazł miejsce, którego szukał, czyli sosnę strzaskaną uderzeniem pioruna. Tam zboczył z głównej drogi, puścił się przez las, a potem jechał skrajem uprawnych pól, zatrzymując się od czasu do czasu, by sprawdzić, jak się miewa Boodle i jej żrebak.

Cały czas rozważał, czy nie powinien zawrócić. Darther Adams to okrutny i pozbawiony honoru człowiek. Pijany czy trzeźwy, nie można mu było ufać. Jakim cudem taka kobieta jak Carrie mogła żyć z podobnym mężczyzną? Powiedziała, że nie miała wyboru, ale przecież człowiek zawsze ma wybór.

Czyż nie?

Chwilę później jednak, kierując się na południe, ku gruntom częściowo wykarczowanym i ogrodzonym, ale w większości wciąż jeszcze zalesionym, które zaczął uważać za swoje miejsce na ziemi, powrócił myślami do problemu wyborów. Jego matka nie została zgwałcona, bo tak po-stanowiła. I nie z jej winy przez poczętego w ten sposób syna odsunęły się od niej wszystkie dawne przyjaciółki. Może nie zrobiły tego otwarcie, jednak jego matka w głębi serca świetnie czuła dzielący je dystans.

Plemię Kiowa słynęło ze swojej miłości do dzieci bez względu na ich rasę, a mimo to Jonasz miał wrażenie, że z powodu domieszki krwi białego człowieka jest traktowany inaczej. Ponieważ jednak w wiosce było bardzo mało młodych mężczyzn, szybko zasłużył na czerwoną szarfę wojownika.

Nie z własnej woli został pojmany i wsadzony do więzienia. Nie z własnej woli znalazł się na Florydzie. Od tamtej pory starał się jak najlepiej wyzyskać każdą trafiającą się szansę na lepsze życie, mimo to biali odsuwali go od siebie z powodu jego indiańskiej krwi.

Obaj - wielki Taime i Jezus białych ludzi - musieli śmiać się w głos, gdy ich wspólny dech sprawiał, że maluczcy bezwolnie toczyli się po powierzchni ziemi niczym jesienne liście miotane zimowym wiatrem.

Lekko dotknął obcasami boków ogiera i wyprostował się w siodle, wypatrując charakterystycznych punktów terenu, znaczących granice jego

ziemi. To kolejna wielka odmiana. Gdyby został w rezerwacie, nigdy nie miałby własnych gruntów. Tam wszystko należało do Dawk'hee i rządu federalnego.

Natomiast tutaj, na wschodzie, został właścicielem ziemskim. Bogatym człowiekiem, który mógłby sobie pozwolić na wiele żon. Jednak w tych stronach wolno było mieć tylko jedną żonę. W młodości Jonasz, pomimo swej mieszanej krwi, cieszył się względami wielu kobiet, ale wówczas nie myślał o założeniu rodziny. Według prawa ludu Kiowa mężczyzna mógł mieć tyle żon, ile był w stanie utrzymać. Była to konieczność, bowiem wielu młodych wojowników ginęło na wojnie i kobiet było dużo więcej niż mężczyzn. Jeżeli miało się już dość którejś z nich, oddawało się ją i to kończyło związek. Zaś jeżeli małżeństwo nie podobało się kobiecie, mogła je bez trudu zerwać. Wystarczyło, że wróciła do rodziców.

Tyle że Carrie nie miała rodziców. Jak dowiedział się od Adamsa, jej wuj oddał mu ją za karciany dług. Więc gdyby nawet opuściła swojego męża, z pewnością nie mogłaby wrócić do takiego człowieka.

Kiedy znalazł się blisko terenów, które nazywał swoim domem, zaczął dumać nad drogą, która go tu przywiodła. Widział wiele miast i miasteczek, przemierzał kraj koleją i powozem, pływał po morzach i oceanach, aż w końcu znalazł się tutaj, wśród ludzi, którym nie ufał, a którzy jego także nie darzyli zaufaniem. Być może właśnie domieszka białej krwi wzbudziła w nim potrzebę posiadania własnej ziemi, bo przecież nie leżało to w charakterze wojowniczego ludu Kiowa.

Pewnie gdyby był orłem, z lotu ptaka lepiej rozeznałby się w meandrach własnego życia, lecz był jedynie człowiekiem niesionym marzeniami. A teraz nawet jego marzenia były zagrożone z powodu słabości, której nie przewidział: pożądał żony innego człowieka.

## ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Upewniwszy się, że Darther wciąż jest pogrążony w głębokim śnie, Carrie przestawiła dzbanek z kawą na brzeg płyty, zamknęła szyber i wybiegła do chłopców. Nate zwabił pod ogrodzenie kilka małych kurcząt i karmił je okruszkami placka, pozwalając, by przez drucziane oczka wydziobywały mu je z dłoni.

Na jej widok aż się rozpromienił, a Zach zachichotał. Carrie wskazała na skrót przez las i powiedziała:

- No już, chłopcy. Musimy się zbierać.

Nie chciała, żeby dzieciom udzielił się jej gorączkowy pośpiech, ale gdy Darther budził się po pijaństwie, nigdy nie było wiadomo, do czego się posunie. Teraz na pewno wpadnie we wściekłość, gdy dowie się, że Jonasz wyjechał, i będzie chciał wyładować swą furję obojętnie na kim, byle żywym i odczuwającym ból. Kiedyś zdeptał wodnego węża wygrzewającego się przy poidle. Carrie bardzo współczuła wężowi i żałowała, że nie zdążył ukąsić swego prześladowcy.

- Słuchajcie, nie będę mogła z wami zostać, ale gdybyście mnie potrzebowali, znajdziecie ten skrót przez las, prawda? Zapamiętajcie, dwa razy musicie przejść przez strumień, a potem skręcić w jelenią dróżkę przy złamanym cedrze.

- My dobrze to wiemy - wysapał Zach, który musiał mocno wyciągać swoje krótkie nóżki. - Ja i Nate dobrze znamy te lasy, no nie, Nate?

- A dlaczego od razu nie poszliście do Emmy? Czemu schowaliście się w mojej stodole?

- Bo masz lepszą stodołę. Jej zaraz się zawali.

- Ale... przecież w okolicy są inne farmy, które mogliście wybrać.

Nate wzruszył ramionami. Był to gest całkiem dorosłego człowieka, ale też pod wieloma względami ten chłopiec był nad wiek rozwinięty, Carrie

podejrzewała, że dzieci wybrały jej dom, ponieważ był najbardziej oddalony od Shingle Landing, najbliższej większej osady.

Wreszcie poczuli dym z komina Emmy.

- Teraz słuchajcie mnie uważnie, chłopcy. Zostanę tylko tak długo, by wszystko wyjaśnić pani Emmie. Ona na pewno bardzo się ucieszy, że u niej trochę pomieszkacie, ale obiecujcie mi, że nie będziecie bałaganić, ani jeść za dużo, ani...

- Tak jest, psze pani panno Carrie.

- W razie jakichkolwiek kłopotów zaczniecie walić w rondel albo przybiegniecie po mnie, słyszycie?

- Tak jest.

- I nie jedzcie na raz więcej niż po jednym placku, ponieważ Emma musi kupować mąkę aż w Shingle Landing, a teraz, gdy nie ma już mąka, polega jedynie na uprzejmości innych ludzi.

- Tak jest - odparli potulnie, a Zach, słodkie dziecko, pociągnął ją za rękę. - Psze pani panno Carrie, czy on cię bardzo pobije? Bo ja z Natem moglibyśmy dać mu radę, odciągnąć go, a ja wpuściłbym mu mrówki do butów i one popęzłyby w górę, i odgryzły mu ptaka, i...

Carrie opadła na kolana i zagarnęła obu chłopców w ramiona. Zdołała zmusić się do śmiechu, chociaż tak naprawdę chciało jej się płakać.

- Coś takiego, jesteś prawdziwym wojownikiem, prawda? Ale teraz już się uciszcie i słuchajcie uważnie. Mnie się nic nie stanie. Pan Adams jest... to znaczy pewnie będzie go bardzo bolała głowa, kiedy się obudzi, ale ja się już do tego przyzwyczaiłam. Nie musicie się o mnie martwić, macie natomiast opiekować się sobą nawzajem, a także panią Emmą, ponieważ potrzebuje kogoś młodego do pomocy.

Emma czekała na frontowym ganku. Wyjaśnienia zajęły zaledwie kilka minut, bo staruszka doskonale znała całą sytuację.

- Uważaj na siebie, dziecko - zawołała za nią Emma. - A w razie czego wal w rondel, a ja wyślę chłopców po Waltera.

Walter Gilbert, najbliższy sąsiad Emmy, mieszkał dobre trzy mile stąd. Też był pokrecony reumatyzmem, ale kiedyś przyjaźnił się ze zmarłym mężem Emmy i pomagał jej, jak tylko mógł.

Carrie uśmiechnęła się, pomachała na pożegnanie i ruszyła w drogę. Jednak uśmiech szybko zgasł na jej twarzy.

Przez cały ranek chodziła po chacie na palcach, zbierając rozrzucone ubrania Darthera, by je szybko poprać. Chwyciła też buty i wyciągnęła wosk, bo zabłocone buty i poplamione koszule wyprowadzały Darthera z równowagi. Ale nie tylko one. Buczący trzmiel, wystygła kawa, chłód lub upał, jakieś słowo, wszystko mogło doprowadzić go do furii.

Dzisiaj nie będzie więc radosnego „Słońce na niebie, pora wstawać!”, pomyślała, wysypując kurom ziarno na podwórze. Nie minęło parę godzin od chwili, gdy pożegnała chłopców, a już za nimi tęskniła.

Nie mogła się powstrzymać, by nie myśleć o Jonaszu. Tak smutno i pusto było bez niego. Wspomnienia cisnęły się jej do głowy niczym wartki strumień wpadający do jeziora. Carrie zapatrzyła się w przestrzeń, marzyła... Aż wreszcie ofuknęła samą siebie:

- Do licha, kobieto, nie jesteś lepsza od tego durnego, upartego muła!

Bo nie była. Wystarczyło, że Jonasz posłał mu jedno spojrzenie i ta bestia już wyłaziła ze skóry, żeby tylko sprawić mu przyjemność.

I, panie Boże dopomóż, ona zachowywała się tak samo.

Teraz czekało ją wielkie pranie. Ułożyła drewno w niewielkim kamiennym kręgu za domem, podłożyła ogień, a potem wytaszczyła na dwór metalową wanienkę. Na piecu będzie musiała zagrzać dodatkowy sagan wody, żeby uprać jedwabne koszule Darthera. Kiedyś wrzuciła taką frymuśną koszulę do wanienki razem z bawełnianymi podkoszulkami i gatkami, i gotowała z kawałkiem ługowego mydła, no i koszula rozpadła się na drobne kawałki, gdy próbowała

wyciągnąć ją kijkiem. Carrie ledwie wówczas uszła z życiem, bo Darther o mały włos nie obłupił jej ze skóry.

W jakiś czas potem, gdy opowiedziała wszystko Emmie, starsza pani nauczyła ją, jak należy pracować jedwab, zawsze jednak zżymała się przy takich okazjach. Darther stroił się w jedwabie, a jej skąpił na perkal.

Nagle z zagrody dobiegł ją ogłuszający ryk Sorry'ego, więc biegiem ruszyła do stodoły, żeby jak najszybciej rozciąć nową belę siana. Kiedyś Darther po wielkim pijaństwie zastrzelił parę rudzików, które z piskiem walczyły o tłustego robaka. Gdyby teraz zabił muła, Carrie nie mogłaby posiać zboża i musiałyby pożegnać się ze swymi marzeniami. Lepiej więc, żeby nic go nie rozsierdziło.

- To dotyczy także ciebie, ty stara, jazgotliwa kupo kości - mruknęła do muła, rzucając do żłobu siano.

Gdy wczesnym popołudniem pranie suszyło się już na sznurze, jęcząc i przeklinając obudził się Darther. Szczęśliwie nie sięgnął po strzelbę.

Carrie nauczyła się unikać jego pięści i ostrego języka. Do pierwszego kubka kawy dołała nieco whisky dla uspokojenia żołądka, Darther nie wiedzieć dlaczego nazywał taki napój „włosem psa”. Do następnego kubka dodała miarkę przygotowanej przez Emmę esencji z kory wierzby; maskując jej smak miodem i odrobiną whisky.

- I żeby te buty, co mi przynoszą szczęście, były wypolerowane na glanc do czasu powrotu chłopaka - wyburczał.

Jeżeli on w ogóle wróci, pomyślała Carrie, ignorując ukłucie w sercu.

- Już rozgrzałam wosk.

Kiedy wreszcie wypolerowała buty, była mokra od potu, a wszystkie palce miała uwalane Francuską Pastą do Obuwia firmy Brown. Szybko wyszorowała ręce szczotką i wróciła do prac domowych. Dobrze, że musiała zrobić tak dużo. Dzięki temu miała mniej czasu na troski. I na tęsknotę. Na tęsknotę za tymi dwoma małymi łobuziakami, którzy są i zapewne zostaną jej jedyną rodziną w życiu... o ile nie uciekną do kogoś innego. Na tęsknotę za Jonaszem.

Czy teraz, gdy jest wolnym człowiekiem, jeszcze tu wróci? Pierwsze wyścigi miały się odbyć w najbliższy weekend, a Darther lubił pojawiać się na miejscu dużo wcześniej. Jak to będzie?

Następnego dnia, gdy lelki przygotowywały się do wieczornego koncertu, powrócił Jonasz. Carrie wyszła na podwórze zamknąć kury i zobaczyła znajomą sylwetkę na pięknym, gniadym koniu. Natychmiast przyglądała włosy, żałując, że ich wcześniej nie wyszczotkowała, żałując, że nie przebrała się w swoją najlepszą sukienkę i nie włożyła bucików, które wypolerowała przy okazji czyszczenia butów Darthera, i do diabła z tym, że miały dziury w podeszwach.

Jonasz był zmęczony. Jechał z luźno zwieszonymi ramionami i nogami. Kiedy wjechał na podwórze, obrzucił ją badawczym spojrzeniem, a Carrie nieznacznie skinęła głową. Miało to oznaczać: „Tak, chłopcy są w bezpiecznym miejscu. Tak, Darther wciąż tu jest. Tak, tak, jestem bardzo szczęśliwa, że wreszcie cię widzę!”.

Jonasz skinął głową w stronę chaty i pytająco uniósł brew.

- Jest w środku - powiedziała cicho Carrie. - Chorował przez pół dnia, ale wieczorem zjadł solidną kolację. Ucieszy na twój widok, bo cały dzień wyrzekał, że pojechałeś Bóg wie gdzie.

Słyszając to, Jonasz błysnął zębami w uśmiechu.

- A więc moja ziemia ma już swoją nazwę? „Bóg Wie Gdzie”.

- Wymaluję ci taki szyld i powiesz go nad bramą wjazdową.

Carrie wprost nie mogła uwierzyć, że stać ją na żart. Jakby nagle ożywił się każdy nerw jej ciała. Miała ochotę śmiać się i śpiewać, i płakać jednocześnie. Miała ochotę tańczyć, choć nigdy w życiu tego nie robiła, bo misjonarki nie pozwalały na takie nieprzystojne wymysły.

Jonasz wrócił! - dźwięczało jej w głowie. Jest znów tutaj! Gdybym tylko chciała, mogłabym podejść i go dotknąć!

W każdym razie mogła napatrzeć się do woli. Mogła go też nakarmić, a potem dać mu świeżutkie prześcieradła, by rozłożył je na sianie na stryszkach, czy

też na trawie za stodołą, bo Carrie nie wiedziała, gdzie tak naprawdę sypia Jonasz. Mogła mu zadawać różne pytania i słuchać opowieści o jego ziemi i koniach...

- Co u chłopców? - spytał, zeskakując z Cona.

- Są u Emmy. Przykazałam im, by rąbali drewno i nie psocili.

- A co u Carrie? - zapytał niskim głosem, wpatrując się w nią badawczo.

Poczuła ściskanie w gardle. Jego spojrzenie było równie palące jak dotyk.

- U niej... u mnie wszystko w porządku. Zajmowałam się pracą.

Zajmowała się unikaniem męża, myślami o Jonaszu, zamartwianiem się o przyszłość, bo wreszcie pojęła, jak mogłoby wyglądać jej życie.

A gdyby nie wyszła za Darthera? Gdyby wciąż pracowała dla wuja, a Jonasz wszedł pewnego dnia do sklepu, by kupić... och, to czy owo. Worek ziarna. Skórzany rzemień, łapkę na szczury czy naftę do lampy.

Gdyby ją wówczas zobaczył i zapytał, czy może się ubiegać o jej rękę? Gdyby wuj Henry się zgodził?

- Kobieto, rusz wreszcie swoją leniwą dupę!

Carrie podskoczyła, jakby ją użądliła osa, natomiast Jonasz odwrócił się i rozkulbaczył Ta-Kona. Zarówno on, jak i ogier woleliby jeździć bez siodła, ale w wyścigach, nawet tak podrzędnych, było ono bezwzględnie wymagane. W zasadzie nie wymagano nic poza tym. Nikogo nie obchodził wiek czy pochodzenie konia, jeżeli tylko właściciel zapłacił za start. Im więcej zgłoszonych koni, tym większa pula do wygrania, a na tym właśnie polegała cała ta idiotyczna zabawa, bo przecież trudno to było nazwać sportem.

- To tylko cztery wyścigi - wyszeptał Jonasz ogierowi do ucha. - A potem wrócimy do domu, do Sa-bodle-te, do Zabat i Saynday, i do Howarda.

Wrócą do Bóg Wie Gdzie.

Wyruszyli rankiem następnego dnia. Jechali na tor położony w południowo-wschodniej Wirginii, bardzo podrzędny, bez żadnego zaplecza poza prowizoryczną stajnią, byle jak skleconymi pokojami gościnnymi i kilkoma



wyszynkami. Zakłady przyjmowane były pokątnie. Adams oznajmił Jonaszowi, że noc spędzą w miasteczku o nazwie Hickory, gdzie mieszkał i prowadził swój sklep wuj Carrie, Henry. Nie będą się spieszyć, żeby nie przemęczyć koni, więc podróż przybrzeżną równiną zajmie im cały dzień.

Od chwili przyjazdu Jonasza Darther nie wziął whisky do ust. Carrie, patrząc na oddalających się mężczyzn, pomyślała że jej mąż od dawna nie wyglądał tak dobrze. Dzień wcześniej pozwolił sobie nawet przyciąć włosy i wymyć je najlepszym mydłem, a tego dnia włożył swój ulubiony, świeżo wyszczotkowany, zielony surdut, żółtą, jedwabną koszulę i brązowe spodnie. Przęd kamizelki w kratkę opasywała złota dewizka ze złotym wisiorem wyobrażającym konia w galopie, ponoć przynoszącym Dartherowi szczęście, choć o ile Carrie było wiadomo, do tej pory ten talizman jeszcze nie objawił swej mocy.

Tak naprawdę, powiedziała sobie w duchu, Darther nie wyglądał aż tak obrzydliwie, kiedy był trzeźwy. Może, pozbawiony kusiciela Liama i poddany wpływom Jonasza, stanie się innym człowiekiem? A wtedy jej życie stałoby się lepsze...

Ileż to już razy karmiła się podobnymi złudzeniami, rozwiewającymi się w dym, kiedy Darther wracał do domu pijany i rozwścieczony przegraną na wyścigach, przy karcianym stoliku, podczas walki kogutów... Oczywiście przegrał dlatego, że wszyscy wokół bezczelnie oszukiwali. Nonsensowne zajęcie, nonsensowne życie...

Oczywiście doskonale wiedziała, z jakiego powodu Darther nagle tak sporządzał. Bał się, że Jonasz mógłby jego ekscesy uznać za powód do zerwania układu. Tak by się oczywiście nie stało, bo ten pogardzany „chłopiec”, jak zwał go jej mąż, miał więcej honoru w małym palcu, niż Darther w całym swym tłustym cielsku.

- Najważniejsze, żebyśmy wpisali ciebie i twojego konia na listę startową u właściciela toru, niejakiego Deane'a - oznajmił Darther, gdy zatrzymali się przed

obskurnym sklepem, do którego przylegała mała szopa z końmi na wynajem. - Każę załatwić to Henry'emu, jest mi winien pieniądze - wyjaśnił, parszcząc śmiechem. - Hen zawsze ma u mnie jakiś dług. Jedyny człek w całym świecie, który, nawet jak postawi na pewniaka, i tak przegra.

W zagraconym sklepie, śmierdzącym źle wyprawionymi skórami, solonymi rybami i tytoniem, Darther dokonał prezentacji:

- Pozwól, Hen. Ten tutaj to mój nowy dżokej nazwiskiem Jonasz Longshadow. Ma takiego ogiera, że stary Peck wyglądałby przy nim jak wół wciskający się pomiędzy sztachety.

- Ogiera, mówisz?

- Poczekaj tylko, aż go zobaczysz.

- Ostami, co to na torze Deane'a ścigał się na ogierze, skręcił kark, gdy jego koń pogonił za kłaczą aż do Deep Creek. No nie wiem, Dart.

- Świetnie, świetnie! Pamiętaj, żeby wszystkim o tym przypomnieć. I możesz być spokojny, ten ogier nie sprawi kłopotu, zrób tylko wszystko, co trzeba, żeby pobiegł, a potem rozgłoś tu i tam, że jest do niczego. Wkrótce obaj zarobimy na tym chłopaku krocie. - Mówiąc to, Adams klepnął Jonasza po plecach, a człowiek zwany Henem lub Henrym obrzucił go uważnym spojrzeniem, splunął na podłogę i skinął głową.

To miał być wuj Carrie? Jakim cudem zdołała zachować tyle pogody ducha, jeżeli przyszło jej żyć wśród takich łajdaków?

Jonasz poczuł, że ręce zwijają mu się w pięści. Nagle, nie wiedząc czemu, przypomniał sobie, jak się czuł, gdy kurczowo trzymał się złamanego masztu wiele mil od najbliższego brzegu, wśród morskich fal piętrzących się wysoko niczym góry. Zdołał przetrwać dojmujący chłód Fort Still w Oklahomie i nieznośną, parną wilgoć lochów Fort Marion. Przeżył trzy katastrofy morskie. Przeżył więzienie, do którego został wtrącony za niepopelnione przestępstwo. Dla Carrie zniesie te cztery gonitwy, a gdy już spłaci swój dług wobec jej męża, będzie wreszcie mógł pojechać na swoją ziemię, do własnego domu.

Do Bóg Wie Gdzie, pomyślał i roześmiał się w duchu.

Im dłużej będzie trzymać Adamsa z dala od farmy, tym lepiej dla Carrie i chłopców. Przynajmniej tyle może dla niej zrobić.

Ustalono, że gdy dotrą na miejsce, Jonasz nie będzie się pokazywać w towarzystwie Darthera i Henry'ego. Sklepiarz wyruszy tam wcześniej, by rozpuścić kilka plotek o ogierze, który wprawdzie wygląda nieźle, ale nie jest wart złamanego centa.

Zresztą dobrze naoliwieni samogonem stali bywalcy i tak pewnie obstawiają znanych faworytów, i tym samym zwiększą pulę ich wygranej. Zanim ktokolwiek odkryje prawdę, zdołają wziąć udział w kilku gonitwach, zagarną główną wygraną i - po odliczeniu udziałów Jonasza - Darther i Henry podziela resztę między siebie. Tak przynajmniej przedstawiał się sprytny plan Adamsa.

Tak więc Jonasz i Czarnouchy, bo pod takim imieniem zarejestrowano T'a-Kona, by nikogo nie drażnić indiańskim słowem, po przyjeździe na tor trzymali się z dala od ogólnej stajni. Ale i tak Jonasz i jego ogier czuli się nieswojo. Jako podrostek, a potem młody wojownik, Jonasz chętnie ścigał się dla samej radości ścigania, lecz tutaj, wśród właścicieli stajni, hodowców oraz hazardzistów, dominowały całkiem inne emocje i obowiązywały inne zasady. Mówiąc wprost, była to zbieranina spod ciemnej gwiazdy.

T'a-Kon niespokojnie tańczył i potrzasał łbem. Jonasz uspokajał go szeptem, prowadząc do startowego boksu, chociaż sam był podenerwowany. Tuż przed sygnałem do startu podprowadził spiętego wierzchowca do bramki i dosiadł go tak, jak koń został przyzwyczajony - nie od prawej, lecz od lewej strony.

Od samego początku przewodzili stawce i tak pozostało aż do mety. Najwyraźniej i ogier, i jeździec bardzo chcieli, by ta żalosna zabawa jak najszybciej dobiegła końca.

Tuż po biegu, oddalając się od hałaśliwej tłuszczy, Jonasz pochylił się nad pokrytym pianą końskim karkiem i wyszeptał:

- Sprawileś się bardzo dzielnie, mój przyjacielu. Teraz musimy poczekać jeszcze chwilę, by zainkasować twoją wygraną, i ruszamy do domu. Potem jeszcze tylko trzy gonitwy i na dobre powrócisz do swoich dam.

Jonasz zazdrościł ogierowi, bo dama, którą najchętniej wybrałby dla siebie, już należała do kogoś innego, a prawa białego człowieka nie pozwalały jej tak po prostu odejść od męża.

Mężczyźni spotkali się we wcześniej uzgodnionym miejscu z dala od toru. Darther niechętnie wręczył Jonaszowi zwitek banknotów. Jonasz ostentacyjnie przeliczył pieniądze. Gdy skończył, nie powiedział ani słowa, ale znacząco spojrzał na Adamsa.

Ten z kolei, wybuchając wymuszonym śmiechem, wyłuskał z kieszeni surduta jeszcze kilka banknotów.

- Musiałem się pomylić - wymamrotał. - Pewien jesteś, że nie chciałbyś jednak zainwestować tej sumki? Umówiłem się z Henrym w stajni wynajmu koni Mac-Neally'ego. Kiedy już odda mi dług, postawię wszystko na pewniaka w czwartej gonitwie. Z przyjemnością dorzuciłbym twoją działkę do zakładu, chłopcze.

- Spotkamy się tu za trzy dni - oznajmił Jonasz, odwracając się od Adamsa i gładząc boki ogiera.

Uzgodnili, że będzie roztropniej poczekać, aż spektakularne zwycięstwo T'a-Kona zatrze się w pamięci bywalców toru, chociaż i tak po dzisiejszym biegu stawka zakładów już nigdy nie będzie dla nich równie korzystna. Po gonitwie kilku ludzi chciało kupić pięknego, gniadego ogiera, jako że te wyścigi były nie tylko okazją do hazardu, ale przede wszystkim do przeglądu koni przed rozpoczęciem właściwego sezonu.

Kiedy Jonasz wreszcie został sam, pochylił się i starannie obejrzał kopyta oraz nogi swojego ogiera, sprawdzając, czy nie ma śladów infekcji bądź obrzęków. Zanim ponownie dosiadł konia, dał mu w nagrodę garść przedniego

owsa. Powrót do Bóg Wie Gdzie w niespiesznym tempie zajmie im resztę dnia i połowę nocy.

- Popatrz na to w ten sposób, przyjacielu - wyszeptał Jonasz, gdy wyjeżdżali z miasteczka. - Gdybyś urodził się mułem, musiałbyś przez pięć lat ciągnąć pług, by zasłużyć na garść ziarna czy jabłko.

Zaledwie jednak ujechali parę mil, coś kazało Jonaszowi przystanąć. Odniósł wrażenie, że owiał go lodowaty podmuch, mimo że dzień był bezwietrzny i słoneczny, a na wąskiej drodze nie było nikogo podejrzanego. Z naprzeciwka szedł farmer prowadzący krowę, a dwóch chłopców pędziło stadko gęsi. Chwilę później, skinąwszy głową i uśmiechając się nieśmiało, wyminął go wyrostek wlokący się na kucyku.

Jonasz odpowiedział mu skinieniem głowy. W końcu wzruszył ramionami i znów ruszył przed siebie, rozmyślając o tych wszystkich akdach, jakie będzie mógł ogrodzić za swój udział w wygranej. Jeszcze parę gonitw, a niewykluczone, że zdoła kupić kolejną rozplodową klacz.

- Czas spłacić długi, Hen. Oddaj, coś mi winien, i przypadkiem nie zapomnij o tych wyścigach psów w Shingle Landing.

Sklepikarz uśmiechnął się nieszczercze.

- Przyszła mi do głowy lepsza myśl, Dart. Po mojemu możemy podwoić nasze pieniądze, jeśli postawimy wszystko w ostatniej gonitwie. Sprawdzalem czas tej jasnej klaczy i powiadam ci, Dart, to bez dwóch zdań pewniak.

Darther, lekko już bełkoczący po obowiązkowej porcji whisky, potrząsnął gwałtownie głową, zatoczył się, po czym oparł o ścianę.

- Wolę sam stawiać własne pieniądze. Oddaj mi, coś winien, Hen.

- Ej, Dart, toż jesteśmy przyjaciółmi. Czy nie dałem ci córki rodzzonego brata za żonę? Czy to nie czyni nas rodziną?

- Nie chcę żadnej rodziny, tylko swoją gotówkę, zanim ją przetracisz na jakąś szkapę o białym, rozdętym brzuchu.

Sklepikarz westchnął z przesadnym żalością i sięgnął do kieszeni poplamionego tytoniem surduta. Darther oderwał się od ściany z wyrazem chciwej niecierpliwości na obrzmiałej twarzy.

Niecierpliwość jednak szybko przerodziła się w niedowierzanie, gdy w dłoni przyjaciela nie pojawił się oczekiwany zwitek banknotów, a ostry sztylet.

## **ROZDZIAŁ JEDENASTY**

Jonasz ponownie się zatrzymał. Wokół panowały cisza i spokój, lecz on czuł, że coś było nie w porządku. Jonasz zawsze ufał swojemu instynktowi, tym razem jednak zmagął się ze sobą. Z jednej strony jakiś głos kazał mu ruszać przed siebie, wynosić się z tej okolicy jak najszybciej, z drugiej zaś miał przekonanie, że powinien wrócić.

Nagle nabrał pewności, że wydarzyło się coś złego. Mógł oczywiście to zignorować i dalej podążać na południe, ale niczego by to nie zmieniło. Człowiek może rzucić się do ucieczki, ale w końcu kłopoty i tak dościgną nawet najszybszego biegacza. Jonasz zawrócił więc ku torowi i położonym wokół barom. Droga prowadziła obok stajni wynajmu koni, gdzie Darther zostawił swojego podjezdka i gdzie miał się spotkać ze swoim przyjacielem.

Ale gdy Jonasz tam dotarł, nie ujrzał śladu żadnego z nich. W ogóle nie zobaczył żadnej ludzkiej duszy, a z zagrody dobiegało jedynie parskanie koni i miękki stukot kopyt. Za chwilę miała się rozpocząć kolejna gonitwa i każdy albo urzędował na torze, albo w jednym z pobliskich wyszynków. Jonasz przez dłuższą chwilę siedział w siodle, chłonąc niepokojącą ciszę. Potem powoli zsiadł z konia.

- Spokojnie, przyjacielu - wyszeptał do T'a-Kona i puścił luźno wodze.

Jonasz, ogarnięty złymi przeczuciami, podszedł do otwartych drzwi stajni. Z przyległej zagrody przyglądało mu się kilka koni, łącznie z podjezdkiem, na którym jeździł Darther.

- Adams? Jesteś tu?

Żadnej odpowiedzi. Za jego plecami podjezdek zarżał nerwowo. Jonasz wyszedł na zewnątrz, łagodnym słowem uspokoił konia, dał znak T'a-Konowi, by nie ruszał się z miejsca i zaczął okrążyć drewniany budynek.

Ciało leżało na wpół ukryte w jeżynowej gęstwinie. Bez wątplenia ktoś je ciągnął kilka metrów po piachu, po czym tu porzucił. Czując się, jakby właśnie przełknął ołowianą kulę, Jonasz wpatrywał się w postać rozciągniętą na ziemi: rozrzucone na boki nogi, ręce wyciągnięte nad głową i zdumienie wciąż widoczne w małych, szklistych oczach.

Adams nie żył. Krew na przodzie żółtej, jedwabnej koszuli już zdążyła zakrzepnąć w brązową skorupę. Jonasz wiele razy w życiu widział martwych ludzi, wszak swego czasu był walecznym wojownikiem.

To jednak, co teraz miał przed oczami, nie miało nic wspólnego z majestatycznym nimbem, który otaczał wojownika po śmierci na bitewnym polu. Wokół roilo się od wielkich, czarnych much, w oddali wył pies, a na niebie już zaczęły krążyć dwa myszołowy.

Instynkt nakazywał Jonaszowi, by natychmiast wsiadł na konia i jak najszybciej oddalił się od tego miejsca. Doświadczenie nauczyło go, że mieszanie się do spraw białych ludzi zwykle prowadzi do poważnych tarapatów.

Tym bardziej że cokolwiek zrobi, Darther Adams nie powstanie już z martwych. Nie wskrzeszą go ani prawa białego człowieka, ani moc samego Satanaty. Jonasz może więc odjechać i zostawić ciało na pastwę drapieżników, albo też może zgłosić przestępstwo i najprawdopodobniej wylądować w więzieniu za mord, którego nie popełnił.

Może też zawieźć nieszczęsnego łajdaka wdowie, pomóc jej wykopać dla niego grób i pozwolić, by go należycie opłakała. I by ktoś inny zgłosił jego śmierć.

Z położonego milę od stajni toru dobiegł go ryk tłumu. Rozpoczęła się kolejna gonitwa. Za chwilę wszyscy zaczną przepijać swe wygrane w brudnych,

śmierdzących barach, po czym wypróżniać się na ich ściany. Gdyby Jonasz wierzył, że znajdzie wśród zgromadzonych tam mężczyzn choćby jednego trzeźwego osobnika, może pokusiłby się o zgłoszenie zbrodni, ale pijany tłum łatwo przemieniał się w krwiożerczą tłuszcę.

Podjezdek nie był szczęśliwy, że ktoś ładuje mu na grzbiet ludzkie zwłoki, T'a-Kon też parsknął i przebiegał nerwowo nogami. Wreszcie wyruszyli w ponurą drogę na południe. Zanim zapadł zmierzch, minęli kilku podróżnych, posyłających im bardzo osobliwe spojrzenia. Nikt jednak nie zadał żadnego pytania.

Przed wejściem do „Piwiarni Barneya” Henry podciągnął spodnie i przybrał wystudiowany wcześniej wyraz twarzy. Do tej pory tak wiele razy powtarzał w myślach swą historyjkę, że teraz już sam niemal uwierzył w jej prawdziwość. Kiedy stanął w drzwiach baru, zastygł w dramatycznym bezruchu. Ani jedna głowa nie zwróciła się w jego stronę. Odchrząknął więc głośno, a gdy to nie ściągnęło niczyjej uwagi, zawył na całe gardło:

- Panie nasz, pomocy!

Dwóch mężczyzn spojrzało na niego przez ramię, po czym natychmiast powróciło do swoich trunków. Wściekły, że wszyscy go ignorują, Henry zaczął wymachiwać rękami. Ci idioci byli pijani w sztok. On sam miał wcześniej też nieźle w czubie, ale gdy poczuł, jak nóż uderza o kość, a potem zagłębia się w coś ciepłego, mokrego i obrzydliwego, natychmiast wytrzeźwiał.

Przeciskający się przez drzwi mężczyzna oblał mu plecy piwem.

- O co chodzi, stary? Boisz się wracać do domu, do swej pani?

Odpychając pijaka, Henry zaczął wodzić wzrokiem po obecnych, wypatrując choćby jednego w miarę trzeźwego.

- Durne sukinsyny! - wrzasnął w końcu. - Mówię wam, że popełniono morderstwo! Zamknijcie się więc na chwilę i posłuchajcie, co? - Cała sprawa jak na razie nie przebiegała zgodnie z jego scenariuszem, ale teraz już nie miał wyjścia. - Mojego najlepszego przyjaciela ktoś zadźgał nożem za stajnią



MacNeally'ego! - Wreszcie zwróciło się ku niemu parę głów, za chwilę jeszcze kilka następnych. Henry znowu zaczął wymachiwać rękami. - Sprowadźcie szeryfa! Jeśli nie jest na torze, to na pewno w którymś barze.

Miejscowy szeryf zawsze pojawiał się na wyścigach, bowiem bójki zaliczały się do tradycyjnych rozrywek towarzyszących gonitwom.

Tym razem jednak chodziło o morderstwo. Gdy słowa Henry'ego zaczęły docierać do zgromadzonych, wokół zapadła cisza. Henry natychmiast wykorzystał chwilę spokoju, by przedstawić swą starannie obmyśloną historyjkę. Zarówno Darther jak i Henry zrobili wszystko, żeby przed gonitwą nikt nie widział ich razem z Indiańcem, musiał więc teraz sprytnie zasiać ziarno podejrzeń. Ze słów Darthera wynikało, że Longshadow niedawno siedział w więzieniu hrabstwa Currituck. To powinno wystarczyć, by zawisł, zanim ktoś zacznie zadawać niewygodne pytania.

- Mówię wam, widziałem go na własne oczy. Leżał tam sztywny i martwy jak ćwiek we wrotach stodoły. I do tego obrabowany, Spostrzegłem to, gdy go macałem, by sprawdzić, czy bije mu serce. Najpewniej zrobił to ten mieszaniec, co się wcześniej kręcił przy stajni. Widziałem ich razem po pierwszej gonitwie i jak dla mnie to się o coś kłócili. Biedny Darther próbował go uspokoić, ale ten pioruński Indianiec wciąż wyklinał i zachowywał się, jakby właśnie wszedł na wojenną ścieżkę.

Po tej opowieści przez chwilę panowała cisza, a potem rozpętało się istne piekło.

- Obrabowany, powiadasz? To po prostu straszne!

- Ty ośła dupo, został też zabity!

- Jaki mieszaniec? Ja tam widziałem tylko jednego, w pierwszej gonitwie. Tego Indiańca z szarymi oczami na gniadoszu o czarnych uszach.

- To on! Ten sam właśnie! - wrzasnął Henry w podnieceniu. - Trzeba natychmiast sprowadzić tu szeryfa!

- Czy ktoś go widział? Był tutaj jeszcze przed drugą gonitwą.

Wkrótce echem zaczął się nieść chór głosów wołających: „Sprowadzić szeryfa” i „Poszukać Du Valle'a”, nic dziwnego więc, że już kilka minut później tłum musiał się rozstać, by wpuścić do baru miejscowego stróża prawa. Chrząkając kilka razy dla lepszego efektu, Henry powtórzył swoją historyjkę, wzbogacając ją o kilka barwnych szczegółów, między innymi osobiste przywiązanie do zamordowanego i wielką sumę pieniędzy, jaką miał przy sobie biedny Darther, zanim został obrabowany i zamordowany przez nieznanego napastnika, najprawdopodobniej mężczyznę mieszanej krwi, który całkiem niedawno został wypuszczony z więzienia.

Szeryf tego dnia także już świętował, bo osobiście postawił na gniadosza o czarnych uszach, mimo że ktoś, chyba nawet ów jęczący teraz przed nim człowiek, powiedział mu, że ten koń to kompletny łach, tylko nieźle wygląda. Tymczasem przy stawce dwadzieścia do jednego szeryf zbił na tym ogierze niezłą sumkę.

- No dobrze, może więc pokażesz mi, gdzie jest ciało.

Jak jeden mąż wszyscy wylegli na zewnątrz. Henry wypiął dumnie pierś, prowadząc cały pochód. Po dzisiejszym dniu, powiedział sobie w duchu, nikt już nie będzie wyzywać go od nieudaczników, skner i starych głupców, gotowych sprzedać własną matkę, gdyby tylko nie zadławiła się na śmierć surową ostrygą jakieś czterdzieści parę lat temu.

Teraz wreszcie wszystko zaczęło toczyć się zgodnie z planem. Ci durnie uwierzyli w każde jego słowo. Mimo to nie zaszkodzi wszystkim jeszcze trochę przykadzić, dlatego Henry machnął ręką w stronę mijanego baru i zakrzyknął:

- Stawiam wszystkim, przyjaciele. Przypadkiem też wygrałem dzisiaj trochę grosza.

Natychmiast cały tłum skierował się w stronę prowizorycznie skleconej budy. Jeden z mężczyzn napomknął, że przecież biedny stary Adams i tak już teraz nigdzie się nie ruszy, chyba że do piekła. Inny stwierdził, że człowiek musi uspokoić żołądek, zanim spojrzy na trupa.

Grzebiąc w kieszeni, Henry wyciągnął kilka banknotów, nie ujawniając przy tym całego swojego bogactwa. Rzucił je na bar i dumnie zamówił alkohol dla wszystkich zgromadzonych, a było ich ze trzydziestu. Każdy wychylił swoją miarkę, tylko nie Henry.

Oczywiście ani przez chwilę nie żałował tego, co zrobił. Ten przeklęty, niewdzięczny sukinsyn już od dawna się o to prosił. Ale teraz musiał zachować trzeźwą głowę. Przy tak wysokiej stawce nie mógł ryzykować, że wymknie mu się jakaś nieopatrzna uwaga.

Kiedy wszyscy zorientowali się, że już nie można liczyć na więcej darmowych kolejek, tłum wyległ na zewnątrz i skierował się ku stajni MacNeally'ego, przepojony słuszną żądzą sprawiedliwości.

Gdy doszli na miejsce, szeryf Du Valle zatrzymał całą procesję. Chwiejąc się, wymamrotał coś na temat dowodów.

- No więc, Henry, może mi pokażesz, gdzie leży ciało?

Wszelkie możliwe ślady i dowody zostały szybko wdeptane w błoto trzydziestoma parami ciężkich buciorów, gdy wszyscy ochoczo okrążali stajnię w poszukiwaniu czegoś, co choćby jako tako przypominało zwłoki. Zatrzymując ponownie tłum przed wejściem, szeryf zdjął kapelusz i podrapał się w głowę.

- Jesteś pewien, że tamten był martwy, Vãnder? Bo mnie się widzi, że musiał stąd odejść.

- Do stu piorunów, pewnie, że był martwy. Krwawił jak zaszlachtowana świnia, ot co!

- Widywałem ludzi, co tracili całą balię krwi i przeżywali - tonem eksperta oznajmił szeryf Omar Ernest Du Valle.

- Był martwy, mówię wam. Zimny jak śnięta ryba i leżał z wywróconymi oczami.

- Gdzie w takim razie się podział?

W tym momencie pewien wyrostek, nieco trzeźwiejszy od pozostałych, wysunął się do przodu.

- Szeryfie - wysapał. - Widziałem tego Indiańca, co to miał konia o czarnych uszach. Godzinę temu wyjechał z miasta, prowadząc podjezdka z jakimś ładunkiem na grzbiecie.

- Ładunkiem czego? - zapytał szeryf podejrzliwie.

Tylko mu trzeba było do szczęścia poważnego i trudnego do rozwikłania przestępstwa, kiedy w głowie kołowało się od nadmiaru wesoło wypitych kolejek.

Chłopak wzruszył ramionami z taką miną, jakby szczerze żałował, że w ogóle się odezwał.

- A bo ja wiem? Ale teraz myślę, że to mogło być martwe ciało.

- Martwe ciało. A to dopiero facecja - rzucił szeryf szyderczym tonem. - Widziałeś mordercę, który wiózł trupa na koniu, i tak po prostu pozwoliłeś mu odjechać?

Chłopak był bliski płaczu, natomiast Henry wysforował się naprzód i ponownie wcielił się w swoją rolę.

- Panie Boże, litości! Ten złodziej i morderca na dodatek ukradł jeszcze dowód!

Po tych słowach znów wybuchła wielka wrzawa. Skończyła się dopiero wtedy, gdy szeryf wdrapał się na żerdź ogrodzenia i wystrzelił w powietrze z kolta.

- Zamknijcie się! Zamknijcie! Muszę pomyśleć.

Tylko jedno w tej sprawie nie ulegało żadnej wątpliwości: nie było ciała. Sprawę dodatkowo komplikował fakt, że choć zbrodnia miała miejsce w Wirginii, ofiara pochodziła z Karoliny Północnej i właśnie tam, według wszelkiego prawdopodobieństwa, uciekł morderca, uwożąc ze sobą dowód zbrodni czy też *corpus delicti*, jak to kilkakrotnie określił szeryf.

Henry też już miał dosyć i zaczęły brać go mdłości. Marzył, by jak najszybciej wrócić do Hickory i zapomnieć o całej sprawie, lecz jego rola

jeszcze nie dobiegła końca. Po narobieniu takiego zamieszania nie mógł nagle zwinąć się do domu.

Choć jednak czuł się podle, miał wielki powód do radości. Jesteś bogaty, Henry, powtarzał sobie. A będziesz jeszcze bogatszy, kiedy sprzedasz ziemię Darthera. Wtedy kupisz sobie jakąś dobrą plantację, weźmiesz kilku dzierżawców, by obrabiali twoje pola i wynajmiesz kobietę, która będzie ci sprzątać i gotować. Może nawet zatrzymasz Carrie. O tak, choć raz w życiu sam sobie rozdałeś wygrywającą kartę.

W końcu zdecydowano, że dyskusja z szeryfem hrabstwa Curritack na granicy stanów może poczekać. Teraz wszystkich czekała ostatnia gonitwa dnia, a w barach pozostało mnóstwo alkoholu.

- Biedny stary Dart. Przecież już i tak nie może stać się bardziej martwy - nabożnie zauważył jeden z mężczyzn.

- Poza tym w ostatniej gonitwie ma pobiec ta grzywiasta klaczka, o ile wcześniej nie rozniesie boksu i nie zwieje.

- Panowie - odezwał się w końcu elegancko ubrany pijanica o miękkim głosie. - Proponuję, żebyśmy pozwolili Karolinie Północnej zająć się własnymi problemami.

Tłum skierował się ku torowi.

Henry posłał w tamtą stronę ostatnie, żałosne spojrzenie, po czym niechętnie odwrócił się i ruszył przed siebie. Znał dobrze własne słabości. Nie był w stanie siedzieć w towarzystwie hazardzistów i nie rzucać się w wir zakładów, tak jak nie mógł przebywać z pijakami i nie pić. Teraz jednak musiał się pilnować, bo jedno nieopatrzone słowo groziło stryczkiem. Henry kilkakrotnie pozwalał sobie na karkołomne przedsięwzięcia, jak wtedy kiedy posłał po tę sierotę, twierdząc, że jest jego bratanicą, bo nosiła takie samo nazwisko. Ale tym razem nie mógł sobie pozwolić na najmniejsze ryzyko.

Mimowolnie wsunął rękę do kieszeni surduta i zaczął bawić się niewielkim wisiorkiem do dewizki. Od wielu lat zachwycał się talizmanem Darthera.

- Cóż, w końcu nie przyniósł ci szczęścia, co, Dart? - mruknął.

Henry ukradł to cacko w szale złości, gdy po zamordowaniu Darthera odkrył, że jego dawny kompan już wypłacił Metysowi jego należność. Poczul się po prostu okradziony ze swej własności.

Droga do Hickory dłużyła mu się niezmiernie, bo czuł się naprawdę fatalnie, jednak pokrzepiał się myślą, że jeśli do końca dobrze odegra swoją rolę, a potrwa to jakiś czas, wreszcie będzie mógł się wynieść z tego przeklętego sklepu i zacząć żyć jak jakiś pioruński dżentelmen.

Carrie przygotowała sobie kąpiel w balii. Musiała zastanowić się nad wieloma rzeczami, a najlepiej myślało się jej, gdy siedziała w wodzie. W lecie pławiliby się w strumieniu, ale na to było już za zimno.

Przymknęła oczy i zadumała się. Czy zjawią się tu razem? A może Darther wróci sam, natomiast Jonasz od razu pojedzie na swoją ziemię? Czy Jonasz w ogóle jeszcze się tu kiedyś zjawi?

Carrie w cichości ducha miała wielką nadzieję, że Jonasz przyjedzie sam, by powiedzieć, że Darther udał się do Warrneton, Suffolk czy gdziekolwiek, gdzie można oddawać się hazardowi i innym rozrywkom. Bo i po co miałyby wracać do domu? Przecież tu były tylko pola, których nie miał zamiaru uprawiać, i żona, która obchodziła go mniej od jego pioruńskiej starej strzelby.

Ale i Jonasz nie miał żadnego powodu, by się tu pokazywać.

Carrie wyciągnęła nogę i szorstką szmatką zaczęła leniwie szorować kolano. Uwielbiała pławić się w wodzie. Nie przepadała jednak za szorowaniem, ale pani Robinson przykazała jej tuż przed wepchnięciem jej do pociągu, by nigdy nie zapomniała, że jest damą.

Niekiedy ciężko jej było o tym pamiętać, ale w każdej sytuacji bardzo się starała. Chociażby ze względu na Emmę, stanowiącą dla niej niedościgły wzór.

Myśli o Emmie przypomniały jej o chłopcach i zaczęła się zastanawiać, kiedy będzie mogła bezpiecznie sprowadzić ich do domu. Z rezygnacją

przyznała w duchu, że nie miała pojęcia. Zaraz potem zanurzyła się w balii, tak że nad wodą sterczała tylko jej głowa, ramiona i kolana. Pewnego dnia, gdy już zarobi na zbożu, kupi sobie prawdziwą, wielką kąpielową wannę.

Jonasz zawsze mył się w strumieniu, nawet teraz, gdy wieczory zrobiły się chłodne. Zastanawiała się, czy nie powinna uprzedzić go o węzach, ale w końcu doszła do wniosku, że mężczyzna, który czyta w myślach muła, musi wiedzieć wszystko o węzach, szopach, łasicach, czarnych niedźwiedziach czy innych nocnych stworzeniach.

Jonasz... Nie mogła przestać o nim myśleć, o jego ciepłym głosie, łagodnym traktowaniu dzieci, koni a także... jej, Carrie.

Czy żonę traktowałby równie łagodnie?

W tym momencie zadrżało jej serce, a zaraz potem zaczęło walić jak oszalałe. Zapłonęły jej policzki. Przecież już miała męża, robiła z nim te straszne rzeczy w łóżku co najmniej z tuzin razy. Nie było w nich nic przyjemnego dla kobiety, i zapewne niewiele dla mężczyzny, sądząc po reakcjach Darthera. Zawsze albo kłął, albo staczał się z niej i zabierał do picia whisky. Emma powiedziała kiedyś, że po wszystkim Luther zawsze jej dziękował i trzymał za rękę, póki nie zasnęła.

To byłoby miłe, tak trzymać się za rękę z kimś leżącym obok, czuć ciepło i... bliską więź.

Westchnęła ciężko i wyszła z balii, bo woda zupełnie wystygła. Ale Carrie podjęła już pewną decyzję. Z samego rana przywiezie chłopców z powrotem do domu. Darther może nie wrócić przez tydzień, dwa, a nawet dłużej. Kiedy zaczynał się sezon wyścigów, a trafiała mu się dobra passa, potrafił pojechać daleko na północ, aż do Marylandu.

Pewnego razu przywiózł jej nawet stamtąd suknię, lecz Carrie nigdy jej nie włożyła. Była czerwona i niezbyt czysta, a także śmierdziała potem i tanimi perfumami. Na szczęście Darther zaraz upił się do nieprzytomności i zapomniał, że dał żonie tę suknię. Jej resztki wciąż jeszcze spoczywały w woreczku na

ścinki, bo Carrie pocięła ją na wąskie paski, których użyła do wydziergania chodnika.

Wiedziała, że nie wypocznie dobrze tej nocy, bo była pełnia, a wtedy zawsze nachodziła ją bezsenność. To drzemała, to się budziła i słuchała świergotu lelków, kumkania drzewnych żab. Wreszcie dobiegł ją tętent końskich kopyt na piaszczystej drodze.

A więc wrócili. Obaj, sądząc po odgłosach. Jakby to było, gdyby w jej życiu nigdy nie istniał żaden Darther. Gdyby był tylko Jonasz i dzieci, pomyślała, jak zwykle o świecie bezbronna wobec swych nieziszczalnych marzeń. Chłopcy spaliby w pokoju dobudowanym z tyłu chaty, a Jonasz leżałby obok niej, trzymając ją za rękę przez całą noc.

Bez entuzjazmu wstała i zabrała się za rozniecanie ognia Darther zawsze chciał się napić kawy, jeżeli akurat jej nie było. Gdy zaś na piecu stał parujący dzbanek, nigdy nie miał ochoty na kawę, tylko natychmiast zabierał się do whisky.

Carrie miała nadzieję, że jej mąż wygrał jakieś pieniądze. Jeżeli dzięki Jonaszowi i Conowi udało mu się zbić kawałek grosza, o wiele łatwiej będzie mu dogodzić. Może nawet udałoby się jej sprowadzić chłopców i przyzwycząić go do ich widoku.

Ale jeśli przegrał...

## **ROZDZIAŁ DWUNASTY**

Podwórze spowijał mrok, gdzieniegdzie tylko rozświetlany światłem księżycy przedzierającym się przez potężne pnie drzew. Carrie już po stokroć widziała tę scenerię, ale teraz, z niewiadomego powodu, wszystko wydawało się jakieś inne, jakby ze snu. Wróciło do niej dawne wspomnienie: była mała, włożyła buty nie na tę nogę i wpatrywała się we własne stopy z tym samym niejasnym przecuciem, że coś nie jest w porządku.



A potem ktoś - zapewne jej mama - klęknął przed nią, zdjął jej buty, włożył jak należy, i wówczas owo dziwne uczucie natychmiast zniknęło.

Teraz jednak, jeszcze zanim Jonasz podjechał do chaty i zsiadł z Cona, Carrie ogarnęła pewność, że cokolwiek złego się stało, trudno to będzie naprawić. Kiedy spojrzała ponad ramieniem Jonasza, zobaczyła, że drugi koń ma na grzbiecie rulon z koców. Przeszył ją lodowaty dreszcz.

Jonasz stał plecami do światła księżyca, więc nie mogła dojrzeć wyrazu jego twarzy. Próbował coś powiedzieć, ale zaraz urwał i wówczas Carrie ogarnął jeszcze większy niepokój. Jonasz był mężczyzną odważnym i zdecydowanym, teraz jednak...

Ktoś musiał w końcu przełamać tę ciszę.

- Darther? - wyszeptała.

Jonasz skinął głową.

- Przywiozłem go do domu.

Dopiero w jakiś czas później Jonasz powiedział jej to wszystko, co wiedział o śmierci jej męża. Teraz jednak, pomna dawnych nauk misjonarek o szacunku należnym zmarłym, musiała zrobić parę rzeczy.

Zebrała pościel i zasała materac świeżymi prześcieradłami. W domu wisiało tylko jedno małe lustro, przy którym golił się Darther, i Carrie nakryła je chusteczką. Zrobiła tak pod wpływem impulsu, nikłego echa niegdyś zasłyszanych słów.

Jonasz przyglądał się jej w milczeniu. Carrie zdjęła z łóżka puchową poduszkę. Nie wiedziała, czy poduszki są dozwolone, czy nie, ale wydawało się jej właściwsze, by zmarły leżał całkiem płasko z ramionami skrzyżowanymi na piersiach i z zamkniętymi oczami. Gdyby jednak Darther wyglądał tak, jakby mu było niewygodnie, wciśnie mu tę poduszkę pod głowę.

W końcu to Jonasz zamknął Dartherowi oczy, bo Carrie nie mogła się przemóc, żeby dotknąć jego twarzy.

- Muszę go umyć i ubrać w czystą koszulę - wyszeptała.

- Zajmę się tym - odparł Jonasz. - A ty idź na dwór i odetchnij głęboko. Nakarm kury. Zrób wszystko, co robisz każdego ranka i dopiero wówczas tu wróć.

Jak ostatni tchórz Carrie usłuchała jego polecenia. Kiedy w końcu przyszła z powrotem do chaty, Jonasz już przykrył ciało prześcieradłem.

- Powinniśmy zapalić świece - wyszeptała.

Jonasz skinął potakująco głową. Prawie nic nie mówili, bo czuli, że tak należy zachowywać się przy zmarłym.

Dobry Boże, modliła się Carrie, nie pozwól, żebym zrobiła coś złe. Dobrze wiesz, co do niego czułam, teraz już nic na to nie poradzę, ale błagam, przynajmniej pozwól mi spełnić tę ostatnią posługę jak należy.

- Czy mógłbyś przynieść ławkę spod stodoły? Och, tylko przedtem usuń wszystkie pajęczyny, dobrze? Kiedy ludzie zaczną się schodzić, będziemy potrzebować miejsc do siedzenia.

Dzięki Bogu Jonasz nie spytał, kto miałby przyjść i dlaczego, bo Carrie nie umiałaby mu odpowiedzieć. Była jednak przekonana, że ktoś się zjawi. Ludzie zawsze schodzili się w takich sytuacjach. Kiedy Jonasz wyszedł, Carrie zaciągnęła kotarę oddzielającą łóżko od reszty pokoju, aby po chwili rozsunać ją z powrotem. Nagle i jedno, i drugie wydało się jej niestosowne.

Podobnie jak ta balia z wodą, której nie wyniosła po kąpieli. Zrobiła to teraz, a zaraz potem przyszedł Jonasz, niosąc prymitywnie zbitą, ale czysto wyszorowaną ławkę, którą Carrie kazała ustawić pod szczytową ścianą. Sama chwyciła dwa krzesła - jedno umieściła u wezgowia, drugie u stóp łóżka. Na myśl o siedzeniu przy zmarłym mężu dostawała gęsiej skórki, ale postanowiła, że zbierze w sobie wszystkie siły, byle tylko uroczystość przebiegła jak należy.

Nadal nie wiedział, co tak naprawdę się stało. Na koszuli Darthera było mnóstwo zakrzepłej krwi, a więc zginął gwałtowną śmiercią. Carrie często słyszała, jak Darther i Liam rozprawiali o bijatykach, bo nieodłącznie towarzyszyły one hazardowym rozrywkom i pijatykom.

- Chcesz, żebym został? - zapytał Jonasz cichym głosem.

Bez słowa skinęła potakująco głową. A potem, z trudem przetykając ślinę, powiedziała:

- Muszę powiadomić Emmę. Muszę wstawić garnek fasoli. Przyjdą ludzie...

Tylko czy przyjdą? O ile jej było wiadomo, Darther z nikim się tu nie przyjaźnił, nie chodził też do kościoła. Nikt nie składał mu wizyt ani on nie odwiedzał nikogo.

Emma twierdziła, że tak się działo, bo Darther należał do tej hordy Jankesów, która niczym stado szarańczy zjechała na południe po wojnie secesyjnej i rzuciła się na wszystko, co jeszcze pozostało po latach zawieruchy. Ale nawet gdyby ani jeden człowiek nie zjawił się na pogrzebie Darthera, Carrie i tak musiała zrobić wszystko, jak Bóg przykazał.

- Pojadę zawiadomić Emmę. Poczekasz tu na mnie?

- Weź podjezdka.

Posłała mu pełne przerażenia spojrzenie i wybiegła na dwór, a Jonasz podążył za nią. Znalazł ją przy drucianym ogrodzeniu, jak wpatrywała się w konia, który przywiózł do domu zwłoki Darthera. Położył dłoń na jej ramieniu i powiedział cicho:

- Zostań. Ja pojadę.

Carrie gwałtownie potrząsnęła głową:

- Emma cię nie zna. Poza tym... ona mi powie, co muszę zrobić. Na pewno o czymś zapomniałam.

Nagle, jakby to było najnaturalniejsze na świecie, odwróciła się i wtuliła twarz w jego pierś.

Jonasz poczuł, jak tężeją mu wszystkie mięśnie. Każdym zmysłem chłonał jej siłę, kruchość i ciepło, wdychał słodki aromat jej włosów. Przyciskając ją do siebie jedną ręką, drugą odgarnął miękkie, niesforne loki łaskoczące mu podbródek.

To był błąd, ogromny i bardzo niebezpieczny. Jonasz napotkał w swoim życiu wiele niebezpieczeństw, ale nigdy dotąd nie doświadczył uczuć, które w tej chwili zalały go wielką falą. Zbierając się w sobie, by ją od siebie odsunąć, popełnił kolejny poważny błąd i musnął ustami jej brew. Bardziej aksamitną od najdelikatniejszej skóry łani. Słodsza od całego miodu świata...

Ostatnim wysiłkiem woli wypuścił ją z objęć.

- Wskaż mi miejsce, to wykopię grób. - Nawet w jego uszach te słowa zabrzmiały wyjątkowo szorstko. Odchrząknął więc szybko i spróbował raz jeszcze: - Zbiję też skrzynię pogrzebową.

- Trumnę?

- Trumnę.

- Jest trochę desek... och, powinnam koniecznie zawiadomić Liama, ale nie mam pojęcia, jak go odnaleźć. Czy myślisz, że ktoś w Shingle Landing mógłby wiedzieć, gdzie przebywa?

Jonasz wiedział, że chodzi o dawnego dżokeja Adamsa, ale nie miał pojęcia, jak go odszukać. Poza tym z drobnych uwag wywnioskował, że obaj mężczyźni nie rozstali się w przyjaźni.

- Jedź do swojej przyjaciółki. Ona będzie wiedziała, co należy zrobić.

- Szkoda, że nie mogę poradzić się pani Robinson - oświadczyła Carrie z westchnieniem.

- Pojedź wozem. Twoja przyjaciółka przecież nie będzie szła tu pieszo. Zaprzęgnę podjezdka.

- Myślisz, że nie będzie miał nic przeciwko temu? Bo... bo w tej chwili nie byłabym w stanie wsiąść na jego grzbiet.

- Na pewno sprawi ci mniej kłopoty niż Sorry. - Jonasz rozumiał jej obawy, choć nieco go rozbawiły.

- I nie będę musiała kłąć, żeby ruszył naprzód? Bo widzisz, nie chciałabym, żeby chłopcy nabrali jeszcze więcej złych nawyków. Mają ich już wystarczająco dużo.

Tym razem Jonasz uśmiechnął się całkiem otwarcie. Chwytnąc Carrie za ramię, czując ciepło jej ciała i jego zaskakującą jędrność, oznajmił:

- Osobiście przykażę mu, że ma słuchać każdej twojej komendy.

Przez twarz Carrie przebiegł cień uśmiechu, a zaraz potem w jej oczach pojawił się wyraz poczucia winy. To prawda, za życia pogardzała Dartherem i nienawidziła go, ale chciała pożegnać go z szacunkiem, jak należy. Ta szczera żałoba była jej potrzebna dla spokoju własnego sumienia.

- Włóż kapelusz. Słońce będzie dzisiaj mocno prażyć.

Zerknęła na jego dłoń na swoim nagim ramieniu, potem podniosła oczy i spojrzała mu w twarz. Dojrzał w jej oczach cierpienie, winę i niepewność. Tak bardzo chciał ją przygarnąć i utulić, zmusił się jednak, by powiedzieć beznamytnie:

- On już odnalazł spokój, Carrie. Zbiję skrzynię, a potem wykopię grób. Ty jedź do swojej przyjaciółki i opowiedz jej o wszystkim.

- Tylko co ja jej powiem, skoro sama nic nie wiem? - wyszeptała żałośnie. - Pewnie Darther kogoś oszukał i tak to się skończyło. Czy wiesz, kto go zabił?

- Nie. Znalazłem go za stajnią koni na wynajem. Musiał nie żyć od dłuższego czasu, bo krew całkiem już zakrzepła.

- A czy tam... był ktoś jeszcze?

- Nie.

- Sądzisz, że powinnam poinformować o tym szeryfa, czy może już ktoś to zrobił? - Była wyraźnie zaniepokojona.

- Adams został zabity w Wirginii - odparł Jonasz.

Nie miał najmniejszej ochoty na spotkanie ze stróżem prawa z Currituck, który tak bezceremonialnie wtrącił go do więzienia i trzymał tam przez dwanaście dni. Chociaż sędzia zrobił na nim wrażenie przyzwoitego człowieka Słabego, ale uczciwego. Natomiast pozostali uczestnicy tej parodii procesu. .. no cóż, jedni skwapliwie przyjęli pieniądze Adamsa, inni nie, ale nawet ci, którzy

nie wyciągali ręki, ani trochę nie byli zdumieni jawnym przekupstwem. Carrie potrzęsnęła głową.

- Cóż, na to przyjdzie czas później. Teraz musimy go pochować.

Wokół gdakały kury, na drzewie przysiadło hałaśliwe stado wron. Wewnątrz chaty leżał człowiek, który zmarł gwałtowną śmiercią, a tymczasem nic się nie zmieniło, jakby odszedł całkiem niepostrzeżenie.

- Myślę, że tam możesz wykopać mu grób - oznajmiła Carrie, wskazując na cieniste miejsce pod masywnym dębem.

Jonasz skinął głową. Korzenie utrudnią mu pracę, ale to miejsce i tak nie nadawało się na uprawę. Za to na pochówek będzie równie dobre jak każde inne.

Carrie ruszyła w stronę chaty, by włożyć buty i swoją najlepszą sukienkę, bo sytuacja wymagała pewnej ceremonialności. Rzuciła przelotne spojrzenie na ciało spoczywające na łóżku, po czym wybiegła na zewnątrz. Jej mąż nie żył. Okrutnik i cyniczny prześmiewca, który ją kupił za długi, by harowała dla niego, był martwy. Już nie będzie z niej kpił ani wyzywał od głupich, leniwych czy brzydkich. Nigdy więcej nie uderzy jej, nie zrzuci kopniakiem z łóżka, ani nie zrobi jej tego, co było bolesne, ale jeszcze bardziej żenujące.

Darther umarł. A ona, dobry Boże, czuła jedynie wielką ulgę. Co oczywiście wywoływało w niej niewysłowione poczucie winy.

Gdy ponownie zjawiła się na podwórku, Jonasz już zdążył zaprząć podjezdka. Obrzuciwszy uważnym spojrzeniem jej najlepszą sukienkę, brzydkie, ale idealnie wypolerowane buciki, loki, które okiełznała wodą i bezlitośnie ściągnęła za uszami szylkretowymi grzebykami -podał jej lejce i pomógł wejść na kozioł.

Jakby setki razy sama nie wdrapywała się i nie złaziła z tego paskudztwa, pomyślała z bolesnym rozbawieniem. W tej samej chwili cmoknęła głośno i podjezdek ruszył truchtem.

- Carrie, Carrie, upiekliśmy ciastka!

- Carrie, złapałem węża, zamknąłem go w puszcze po tytoniu i pani Emma powiedziała, że mogę go trzymać, jeśli tylko nie będę wypuszczać go w domu.

Chłopcy wybiegli aż na skraj lasu, żeby się z nią przywitać.

- Wyglądasz dziwnie z tymi włosami do tyłu - zawyrokował Zach, wpatrując się w nią szeroko rozwartymi oczami, i Carrie wybuchnęła spontanicznym śmiechem.

- Litości, pozwólcie mi złapać oddech! - wykrzyknęła, gdy dzieci rzuciły się na nią i zaczęły ciągnąć w stronę domu.

Słowa padały gęsto, bo chłopcy mówili jednocześnie. Emma wyszła na ganek, wycierając dłonie o fartuch, i powiedziała:

- Pewnie przyjechałaś po moje dzieci. Nate, wyprzęgnij konia i zaprowadź go do szopy.

- Przyjechałam, żeby... cóż, prawdę mówiąc, to historia wymagająca dłuższego wyjaśnienia.

- Zach, przynieś tutaj talerz z ciastkami. Przez chwilę posiedzimy na ganku.

Gdy tylko chłopcy znaleźli się poza zasięgiem głosu, Carrie powiedziała cicho:

- Darther nie żyje. Sądzę, że został zabity w bójce.

- O mój Boże!

Starsza pani opadła na wyplatany, bujany fotel. Carrie przyciągnęła drugi i też usiadła. Szybko, by zdążyć przed powrotem chłopców, opowiedziała Emmie wszystko, co wiedziała.

- Mówiłam ci, że po tym, jak Darther wstawił się za nim w sądzie, Jonasz obiecał pobiec dla niego w wyścigach. Wyjechali razem, a dziś, tuż przed świtem, Jonasz przywiózł jego ciało. Teraz kopie dla niego grób.

- Czy to on go zabił?

- Jonasz? Oczywiście że nie.

Emma pograżyła się w milczeniu, a tymczasem z domu dobiegł trzask tłuczonego talerza i dziecięce okrzyki:

- Do diabła, do diabła, och, do diabła!

Zaraz zjawił się Nate i oznajmił:

- Wyprzęgłem go, psze pani panno Carrie. On nie lubi ciągnąć wozu.

Z chaty wyłonił się Zach, niosąc w serwetce ciastka z melasą, a Carrie zaczerpnęła głęboki oddech i zaczęła wyjaśnienia:

- Chłopcy, mój mąż... to znaczy pan Adams... on został. .. no cóż, on zmarł. I ja... to znaczy my... bo rodzina powinna...

Emma z trudem wstała z fotela, po czym powoli wyprostowała się na swoją imponującą wysokość metra i czterdziestu pięciu centymetrów.

- Carrie właśnie próbuje nam powiedzieć, że musimy jechać z nią do domu.

Nate, wycofując się rakiem, stwierdził:

- Ja tam nie zamierzam siedzieć z jakimś umarlakiem. Zach, z oczami wielkimi jak spodki, oznajmił natychmiast:

- Ani ja.

- Nate, pobiegiesz na sąsiednią farmę i powiesz panu Gilbertowi, by rozpowiedział wokół, co się stało. My w tym czasie przygotujemy wszystko do drogi. Zach, biegnij i zobacz, czy w kurniku są jakieś jajka. Carrie, chodź ze mną do środka, zobaczymy, co możemy przygotować do jedzenia.

Siedząc na krześle u stóp łóżka służącego za marylę, Carrie pomyślała, że choć te wszystkie rytuały wydawały się z pozoru banalne, był w nich ukryty głęboki sens. Chociaż nikt w całym hrabstwie nie opłakiwał Darthera, jednak jego sąsiedzi przyszli, przynosząc ze sobą jedzenie. Cichym głosem obcy ludzie, których nigdy nie widziała na oczy, składali jej kondolencje. A ona czerpała pokrzepienie z ich obecności.

Oczywiście wszyscy znali Emmę i dobrze wiedzieli, jak powinni się zachować w tych okolicznościach. Kłaniali się obu kobietom, podchodzili do sosnowej trumny zbitej przez Jonasza i z beznamiętnym wyrazem twarzy spoglądali w dół na leżącego tam obcego im człowieka. A potem stawali przy kuchennym stole i częstowali się jedzeniem, które sami przynieśli. Pieczone



kurczę, szynka, kapusta, placki kukurydziane oraz razowy chleb. A nawet delikatne, drożdżowe rogaliki.

- Będziemy mieć deszczową jesień - zawyrokował jeden z mężczyzn.

- A do tego ostrą zimą. Jeszcze nigdy nie widziałam tylu fig na drzewach - dorzuciła jakaś kobieta.

- Myślę, żeby wykarczować ten kawałek ziemi przy rzece. Wylewa jedynie raz na jakieś pięć, dziesięć lat.

Nikt nie powiedział ani słowa o Dartherze Adamsie. Wszyscy go znali i nie lubili, więc nikt się nie kwapił do sentymentalnych wspomnień o zmarłym, jako że takich nie było, a mówić źle nie wypadało. Spędziwszy wewnątrz chaty tylko tyle czasu, ile bezwzględnie w tej sytuacji należało, mężczyźni zebrali się na podwórzu i zaczęli dyskutować o cenach zboża i wieprzków oraz o spodziewanych zyskach za skóry piżmaków.

Natomiast kobiety zabrały się za porządkowanie kuchni. I kiedy w domu już wszystko błyszczało, Emma poprowadziła Carrie na zewnątrz.

- Sądzę, że już czas - oznajmiła.

Jonasz, do tej pory trzymający się z dala, wyszedł kobietom naprzeciw. Zaraz na początku Carrie przedstawiła go wszystkim, ale Jonasz szybko zabrał chłopców nad strumień, by dorośli mogli odbyć spokojne, krótkie czuwanie przy zwłokach.

- Pastor leży w łóżku zmożony bólem głowy - powiedziała Emma. - Poproszę więc Waltera, by powiedział, co należy.

Walter, najbliższy sąsiad i przyjaciel Emmy, przybył tu, jak i pozostali, tylko ze względu na nią, chociaż oczywiście nie dał tego po sobie poznać. Niektóre kobiety do tego stopnia przełamały lody wobec wdowy po znienawidzonym Adamsie, że włączyły ją do rozmów o dzieciach, zbiorach fig i najlepszych sposobach kiszenia orzechów włoskich.

Carrie położyła dłoń na ramieniu przyjaciółki.

- Nie, Emmo. Ja znałam go najlepiej, więc to ja powiem kilka słów.

Ponieważ doskonale zdawała sobie sprawę z uczuć sąsiadów, nie chciała prosić któregokolwiek z nich, by poprowadził modlitwę nad grobem nieboszczyka.

Unikając wzroku Jonasza, Carrie poczekała, aż mężczyźni wyniosą z domu sosnową trumnę. Darther był potężnym mężczyzną, więc i trumna była bardzo duża. Kiedy czterech starszych farmerów nie mogło sobie poradzić ze zniesieniem jej po schodkach, Jonasz podszedł i wziął większość ciężaru na swoje barki.

- Dziękuję, synu - mruknął jeden z mężczyzn. Powolnym, majestatycznym krokiem kobiety ruszyły za procesją prowadzoną przez Carrie i Emmę. Kiedy trumna została spuszczone do grobu, Jonasz odszedł na bok. Mężczyźni stanęli po jednej stronie, kobiety po drugiej. W sumie obecnych było czternaście osób.

Jonasz spojrział w oczy Carrie i nieznacznie skinął głową. Już czas.

Carrie miała wrażenie, że język przyrósł jej do podniebienia, ale musiała wypełnić powinność. Emma przysunęła się jeszcze bliżej, tak że teraz stykały się ramionami. Jedna z kobiet zaczęła śpiewać kościelny hymn i po chwili rozległ się chór. Carrie nie знаła słów tej żałobnej, powolnej pieśni, ale przyłączyła się do śpiewu, by znów poczuć więź ze wspólnotą.

Kiedy hymn się skończył, wystąpiła naprzód, zaczerpnęła głęboki oddech i rozpoczęła swą przemowę:

- Darther nie pochodził z tych stron i, prawdę mówiąc, nie wiem, czy gdzieś na północy miał jakąś rodzinę. Miał natomiast dwóch dobrych przyjaciół, człowieka o imieniu Liam, którego nie udało mi się odnaleźć, i mojego wuja, Henry'ego. Wuj mieszka w Wirginii i już napisałam mu o śmierci Darthera. Wiem jednak, że mój mąż byłby bardzo dumny, gdyby wiedział, że przyszlście tu wszyscy, by uczestniczyć w jego... ostatniej drodze. - Nagle uderzyła ją niezamierzona ironia tego frazesu. Darther nie udawał się w żadną drogę, tylko włożono go do dołu, by zaraz przysypać ziemią. Gorączkowo zastanawiała się, jak zakończyć swoją mowę. - To znaczy... jego dusza teraz zapewne dokąds

wędruje, bo Pan jest także i jego pasterzem. Więc... chciałam wam wszystkim serdecznie podziękować za przybycie. Amen.

Zgromadzeni zaczęli powtarzać ciche „amen”, a Emma wskazała głową na kopczyk piachu. Jeszcze tylko ta jedna powinność i już będzie po wszystkim, pomyślała Carrie. Chwyliła garść gliniastej ziemi i rzuciła na żółte, sosnowe deski.

- Na wiosnę posieję coś ładnego na jego grobie - mruknęła do siebie.

Zboże. Najchętniej posiałaby zboże... i zaraz zawstydzila się swej zawziętej mściwości. Choć swoją drogą należało się to staremu opojowi za te wszystkie kpiny z jej wysiłków.

Gdy w końcu wszyscy ruszyli w stronę domu, lalka kobiet współczująco poklepało ją po ramieniu, inne niemal przyjaźnie skinęły głowami. Z uczuciem aż nazbyt widocznej ulgi mężczyźni zaczęli zaprzęgać konie do wozów, szykując się do odjazdu.

- Chciałabyś pomieszkać u mnie? - spytała Emma.

- A czy ty nie mogłabyś tu zostać przez kilka dni? - rzuciła szybko Carrie, bo nagle zdała sobie sprawę, że wkrótce zostanie w domu jedynie z dziećmi. Jonasz nie zabawi tu długo. Bo niby z jakiego powodu? Poza tym nie wypadało, by kawaler mieszkał ze świeżo owdowiałą kobietą.

- W moim wieku najlepiej sypia się we własnym łóżku, dziecko - odparła Emma, posyłając Carrie zatroskane spojrzenie.

Walter Gilbert zaoferował Emmie, że odwiezie ją do domu. Carrie pobiegła do chaty i wróciła z półmiskiem pełnym pieczonego kurczaka.

- Proszę, weź - zwróciła się do przyjaciółki. - Dla chłopców i Jonasza i tak zostało dużo jedzenia.

Wreszcie Carrie została sama. Zapatrzyła się w potężny dąb o żółknących liściach. Grób trzeba będzie zasypać, zanim zacznie padać. Powinna to zrobić teraz. Nie chciała o to prosić Jonasza. Zresztą teraz zajmował się chłopcami.

Dobrze sobie radziła, zanim się tu pojawił, poradzi więc sobie i wówczas, kiedy odjedzie.

Była mu wdzięczna, że został przy niej w tych trudnych chwilach i trzymał chłopców z dala od ponurych obrządków. Nie miała wątpliwości, że Jonasz będzie wiedział, co im powiedzieć w tej szczególnej sytuacji.

## ROZDZIAŁ TRZYNASTY

W mokrym piasku nad brzegiem strumienia Jonasz wyrysował palcem mapę.

- Jesteśmy tutaj. Potem strumień się rozszerza, a w tym miejscu wpada do Currituck Sound.

- To ta sama woda? A co się z nią dzieje dalej? - spytał Nate, który chłonał lekcję geografii z niekłamanym zainteresowaniem. Zach zapadł w drzemkę, znużony śledzeniem dwóch mrówek ciągnących do mrowiska odwłok swojej towarzyszki.

- Wpada do oceanu.

- Oceanu Lantyckiego - oświadczył rezolutnie Nate. - Kiedy dorosnę, zostanę marynarzem.

Jonasz nie wiedział, czy powinien zachęcić, czy raczej zrazić chłopca do podobnych planów. Wbijając wzrok w zachodzące słońce, roztropnie powstrzymał się od komentarza

- Czy nie powinniśmy już iść, by pomóc Carrie przy kolacji?

- Jej nie trzeba pomocy, bo jest jeszcze dużo pogrzebowego jedzenia. Jedna pani z Greentown piecze tęgi czekoladowy tort. Wiem, bo przyniosła taki na pogrzeb starego Litkina.

Jonasz podniósł się z ziemi i otrzepał dłonie. Ten chłopiec, który z pewnością miał nie więcej niż osiem, dziesięć lat, znał lokalne obyczaje o wiele lepiej od niego. Jonasz chciał oszczędzić dzieciom smutnych przeżyć, chociaż

jemu nikt nie oszczędził widoku dziadka zestrzelonego z konia, a potem zatratowanego przez oszalałe zwierzę. Nikt też nie oszczędził mu widoku martwej matki, która podczas nawrotu choroby umysłowej odebrała sobie życie.

Dzieci były o wiele bardziej odporne, niż się mogło wydawać.

Mimo to nie obudził Zacha, ale wziął go w ramiona, czerpiąc spokój i ukojenie z ciepła małego, pogrążonego we śnie ciałka. Niezbyt przyjemny zapach uświadomił mu, że powinien nakłonić chłopców do umycia się, gdy byli nad strumieniem, jednak doszedł do wniosku, że brak kąpieli jeszcze nikomu nie zaszkodził. W przeciwnym razie po tym świecie chodziłoby znacznie mniej małych chłopców i dorosłych mężczyzn.

Carrie ze szpadlem w dłoni opierała się o pień dębu stojącego przy aa wpół zasypanym grobem męża. Teraz znów miała na sobie bezkształtną workowatą sukienkę, którą nosiła w czasie prac na polu. Wilgotna od potu tkanina kleiła się do ciała. Z głową odchylną do tyłu i zamkniętymi oczami, Carrie zdawała się spać na stojąco.

Jonasz podszedł do niej.

- Powinnaś była zaczekać. Przecież bym to zrobił. - Wskazał na grób.

Otworzyła oczy, poruszyła ramionami, a potem palcami. Dłoń już jej się wygoiła, ale ranę wciąż jeszcze pokrywała cienka, delikatna warstwa naskórka.

- Przed odjazdem jeden z mężczyzn chciał to zrobić, ale powiedziałam mu, że już ktoś inny się tego podjął.

- Czemu więc nie poczekałaś?

- Musiałam się czymś zająć. Już i tak zbyt długo leniuchowałam.

To był wykręt. Już wiedziała, że kierowała nią podświadoma potrzeba pokuty za wszelkie niedociągnięcia i przewiny.

- Wejdźcie do środka. Zaraz nakryję do stołu.

- A jest tam czekoladowy tort? - zapytał Nate tęsknym głosem.

- Na pewno jest ciasto rodzynekowe i placek z figami, ale czy jest coś z czekoladą, sam będziesz musiał poszukać.

Nate ruszył biegiem w stronę chaty, a Zach przetarły oczy, wysłiznął się z objęć Jonasza i też szybko potruchtał.

- Jutro pojedę do domu - powiedział cicho Jonasz. - Muszę zająć się końmi. Ale przedtem zasypię do końca grób i przyszykuję drewniany nagrobek. Powiedz mi tylko, co mam na nim wypisać.

Carrie potrząsnęła głową. Nie chciała myśleć o nagrobku i epitafium, a już najmniej o wyjeździe Jonasza.

- Przecież mógłbyś przyprowadzić tutaj swoje konie. Wystarczy dla nich miejsca w zagrodzie. - Mówiąc to, Carrie już wiedziała, że Jonasz odmówi. Przecież dopiero co owdowiała, a on był kawalerem. To mogło okazać się nie tylko niestosowne, ale i wyjątkowo kłopotliwe. - No tak... hm... nie sądziłam, że miałbyś ochotę zostać, ale pomyślałam, że powinnam ci to zaproponować. Z grzeczności.

To był oczywiście wykręt, bo Carrie wiedziała jedno: kiedy Jonasz ją zostawi, najpierw wypłacze oczy, a potem będzie ją nękać straszne poczucie winy, że nad grobem swego męża nie uroniła ani jednej łzy. Nic nie unieszczęśliwia bardziej kobiety niż podwójne poczucie wstydu i winy.

Postawiła na stole szynkę na zimno, gotowane ziemniaki, marynaty i warzywne zaprawy, a także wszystkie słodczy. Jonasz kroił chłopcom mięso, a Zach łapczywie chwycił swoje porcje w obie dłonie. Carrie zastanawiała się, gdzie Jonasz nauczył się tak wielkiej cierpliwości w stosunku do dzieci.

I do kobiet.

Tego wieczoru pozwoliła chłopcom spać w wielkim łóżku, na puchowym materacu, tłumacząc sobie w duchu, że przecież nie było w tym nic zdrożnego. Oni nie widzieli na nim martwego, zimnego Darthera, a ona i tak nie będzie w stanie położyć się tam przez długi czas. Chłopcy ochoczo wdrapali się na materac, zbyt zmęczeni, by spytać, czemu Carrie porzuca własne łóżko na rzecz o wiele mniej wygodnego pośłania na ziemi.

Między innymi dla pokuty, powiedziała sobie w duchu, zbierając mokre, ubłocone ubrania dzieci. Jutro znów urządzi wielkie pranie. Ale zanim odzyska spokój ducha, będzie musiała odmówić jeszcze bardzo dużo modlitw.

- Dzisiaj przenocuję w stodole. Jutro dokończę wszystkie prace i wyjadę - oznajmił Jonasz, stojąc w otwartych drzwiach. Teraz, gdy stoi został już uprzątnięty, a chłopcy leżeli pogrążeni w głębokim śnie, Carrie mogła się do niego przyłączyć. Cały czas zastanawiała się, czym mogłaby go skusić do pozostania jeszcze przez kilka następnych dni... następnych lat.

- Ale przecież wcale nie musisz... to znaczy, zawsze możesz...

Jonasz posłał jej stanowcze spojrzenie. Oboje doskonale wiedzieli, dlaczego musi odjechać. Im dłużej tu przebywał, tym bardziej przywiązywał się do pewnej myśli. Gdyby Carrie była jego kobietą, kładliby się razem pod drzewami, w świetle księżyca, w świetle gorącego, letniego słońca. I choć kochaliby się na wszelkie możliwe sposoby, on i tak nie zaspokoiłby swojego pragnienia. Okazało się, że podążanie narzuconą mu przez Carrie Drogą Oracza nie tylko nie pozbawiło go męskości, ale rozпалиło tak bardzo, że teraz mógł myśleć jedynie o tym, jak osiąść tę kobietę. Chciał bez ustanku wtulać się i wchodzić w jej ciepłe ciało, dzień po dniu, noc po nocy, aż do czasu, gdy oboje staną się bardzo starzy i będą mogli jedynie grzać się żarem płonącego onegdaj między nimi ognia.

Dla Adamsa ta kobieta o ciepłym sercu i radosnym usposobieniu, silna, dumna i piękna delikatną urodą, była mniej warta od jego strzelby. Mógł z nią sypiać od czasu do czasu, ale nigdy jej nie kochał.

Tymczasem Jonasz kochałby nad życie tę drobną, odważną istotę o niezłomnej woli, która kazała jej zaprzęgać do pługów i zmuszać do pracy upartego muła, a jednocześnie o tak miękkim sercu, by przygarnąć pod swój dach dwie małe, bezdomne sieroty.

Zach zaczął cicho kwilić. Zaspany, ale natychmiast wybudzony Nate ukoił go kilkoma cichymi słowami i już po chwili obaj chłopcy znów pogrążyli się we

śnie. Jonasz chwycił Carrie za ramię i wyprowadził na schody, a potem pociągnął ją na podwórze, gdzie znaleźli się twarzą w twarz, niezdolni do przełamania dzielącego ich milczenia.

Stojąc tuż przy Carrie, Jonasz zaczął myśleć o różnych kobietach ze swojej przeszłości. Żadna z nich nie wzbudziła w nim takiej czułości, tak silnego pożądania, opiekuńczości i chęci całkowitego zawłaszczenia. Jonasz nigdy nie szukał podobnych uczuć, ale teraz nie mógł im już zaprzeczyć.

- Przyjedziesz tu jeszcze kiedyś? To znaczy w odwiedziny?

Próbowała przybrać taki ton głosu, jakby jej na tym wcale nie zależało, ale Jonasz nie dał się zwieść. Wiedział, jak bardzo jej zależało. Tak bardzo, że aż ją to przerażało, bowiem, podobnie jak on, dostrzegała piętrzące się problemy.

- Przyjadę wkrótce - rzucił lekkim głosem. - Przecież jesteśmy sąsiadami.

To nie wystarczyło. Carrie chciała czegoś więcej.

- I przyjaciółmi? - spytała po chwili.

- I przyjaciółmi - odparł.

Oczywiście łączyło ich dużo więcej niż przyjaźń, tyle że on nie umiał precyzyjnie określić tej więzi. Nie wiedział też, jak sobie z nią radzić. Wiedział natomiast, że nie nadszedł jeszcze właściwy czas.

Carrie stanęła w dumnej, wyprostowanej postawie, jakby miała samotnie stawić czoło całemu pułkowi wojska.

- Ja... to znaczy chłopcy będą za tobą tęsknić.

- Pożegnam się z nimi, zanim wyjadę - przyrzekł Jonasz.

Zapadła cisza. Stali, wbijając wzrok w potężny dąb i leżący pod nim na wpół zasypany grób.

I nagle Jonasza ogarnęło poczucie, że czas posunął się do przodu z prędkością chmur gnanych burzowym wiatrem. Oczyma duszy zobaczył siebie za lat wiele, samotnego starca zżeranego gorzkim żalem. Pod wpływem tej dziwnej chwili pochwycił stojącą obok kobietę w ramiona, tuląc twarz do jej



gęstych, pachnących włosów. Carrie, jedyna Carrie. Moje ty serce, duszo moja, wyjedź ze mną!

A potem ją pocałował. I zaraz chciał się odsunąć.

Lecz Carrie oplotła ramionami jego muskularne ciało z niewiarygodną u tak drobnej istoty siłą. Tętniła energią, buchała gorącem. Niewprawnymi ruchami wodziła po jego plecach, a ich pocałunek stawał się coraz bardziej namiętny. Żarliwie, niekiedy niezdarnie, wpijała się w jego usta, wciąż nienasycona. Serca obojga zaczęły walić szaleńczym rytmem, a jeden pocałunek zaczął przechodzić w następny, i jeszcze następny, aż w końcu, dysząc gwałtownie, odskoczyli od siebie zdumieni gwałtownymi emocjami, którym tak nieopatrznie pozwolili wydobyć się na powierzchnię.

- Carrie? - odezwał się Jonasz drżącym głosem, niepewnie wodząc dłońmi po jej twarzy.

- Och, proszę...

Ten szept był niewiele głośniejszy od cichego westchnienia, ale Jonasz go pochwycił.

Jakimś cudem zdołali dotrzeć do stodoły. Ciemne wnętrze, pachnące końskim potem i świeżym, letnim sianem, surowymi rzemieniami i kurzem, koilo swojskością. Jonasz poprowadził Carrie do nowego boksu, po narodzinach Howarda wyścielonego świeżą, czystą słomą.

W tej samej chwili jakiś wewnętrzny głos ponownie podpowiedział mu, że nie jest to dobry moment.

Jednak Jonasz zignorował ten głos. Może moment nie był dobry, ale wszystko inne wprost wspaniałe. To niepojęte, ale Carrie należała do niego. Wiedział, że są dla siebie stworzeni.

Lecz podstępny głos nie ustępował. Podszeptował uparcie, że może kiedyś, ale jeszcze nie teraz. Nie teraz. Nie w chwili, gdy grób jej męża na dobre nie został pokryty ziemią.

Heroicznie próbował oderwać się od jej ciała, ale Carrie wciąż kurczowo do niego przywierała.

- Nie zostawiaj mnie - wyszeptała cicho błagalnym tonem.

Jonasz nie wiedział, czy chodziło o to, by nie opuszczał jej w tej szczególnej chwili, czy też - by nie opuszczał jej w ogóle.

Kiedyś myślał, że podobnie jak on, Carrie została odrzucona przez białą społeczność, ale po dzisiejszym dniu nie był już tego taki pewien. Ludzie przyszli do jej domu i zrobili to w podobnych okolicznościach zrobiliby dla każdej innej wdowy. W dodatku zaakceptowali jego obecność, jego pomoc... zaakceptowali go jako człowieka.

Może więc Carrie i on nie byli już wyrzutkami, co jednak nie oznaczało, że mogli ignorować ogólnie przyjęte obyczaje. Jonasz na własne oczy widział, jak jego matka powoli zaczęła zatracać miarę rzeczy, aż w końcu zapadła na chorobę umysłową. Jonasz nie zrobi Carrie tego, co przed laty jakiś żołdak unionistów zrobił niewinnej dziewczynie z plemienia Kiowa.

- Nie wolno nam postępować niewłaściwie - oświadczył stanowczo w nadziei, że zabrzmiał przekonująco.

- To nie jest niewłaściwe.

- Nie jest, ale czas jest nieodpowiedni. Twoja przyjaciółka, Emma, na pewno by ci powiedziała, że musimy poczekać. Kiedy nadejdzie odpowiednia pora, przyjadę do ciebie i wówczas porozmawiamy.

Ale Carrie wcale nie chciała żadnych rozmów. Po raz pierwszy od tak wielu lat poczuła że do kogoś przynależy, i to najprawdziwiej i najszczerzej. Czegoś podobnego nie przeżyła ani z wujem, ani z Dartherem, ani nawet z panią Robinson, chociaż stara misjonarka bardzo starała się być dla niej miła.

Jonasz podniósł się i wyciągnął do niej rękę. Carrie miała ochotę rozsłochać się jak małe dziecko, ale się powstrzymała. Z całą godnością, na jaką mogła się w tej chwili zdobyć, wstała, otrzepała źdźbła słomy ze spódnicy i poprawiła stanik sukni, który się przekrzywił, gdy Jonasz sięgnął do jej piersi.

Carrie wciąż czuła w nich dziwne rozpieranie. Sekretne miejsce pomiędzy nogami, którego misjonarki pod żadnym pozorem nie pozwalały oglądać, dotykać, a nawet o nim myśleć, pulsowało z niezwykłą siłą. Kiedy Jonasz dotykał jej piersi, coraz intensywniej czuła owo dziwne, rozkoszne rozpieranie i pulsowanie. A te niezwykle pragnienia, jakie ją wówczas ogarniały...

O Boże...

Darther też dotykał jej piersi, ale to bolało. Zawsze miała ochotę oderwać od siebie jego ręce, ale wiedziała, że on zaraz by ją pobił, więc leżała bez ruchu i pozwalała mu to robić. Takich doznań jak z Jonaszem nie przeżyła nigdy w życiu. Chciała czuć na piersiach jego dłonie, jego usta, i jeszcze inną część jego ciała, gdyby zechciał ją obnażyć. Dobrze wiedziała, jak Jonasz wygląda, gdy jest nagi, bo widziała go rozebranego tego pierwszego dnia, nad strumieniem. Ale teraz już nie wystarczyłoby jej samo oglądanie jego nagości. Chciała go dotykać wszędzie, bez wyjątku, chciała z nim robić to, co mężczyzna i kobieta zazwyczaj robili razem. Nigdy przedtem nie czuła takiej potrzeby.

Misjonarki przestrzegały przed cielesnym grzechem równie mocno, jak przed zawiścią, fałszywym świadectwem, zabójstwem i innymi ciężkimi przewinami. W owym czasie Carrie sądziła, że grzeszność ciała polega na jedzeniu mięsa w niektóre dni tygodnia, jednak ilekroć pytała o szczegóły, oznajmiano jej zgorszonym tonem, że cnotliwi ludzie nigdy nie mówią o podobnych rzeczach. Wyrzuciła tę kwestię do lamusa pamięci, gdzie przechowywała wszystkie pytania ciekawego świata dziecka, na które dorośli nie chcieli bądź nie umieli odpowiedzieć.

No cóż, pomyślała z żalnością, wychodząc za Jonaszem z ciemnej stodoły, jeżeli te cielesne grzechy miały prowadzić do takich doznań, to zupełnie nie były warte zachodu. Owo rozpieranie, pulsowanie, niezwykle łaskotanie w brzuchu sprawiły jedynie, że czuła się... niepełna.

Musi dziś wziąć do łóżka na noc ciepłą cegłę, a przedtem napić się herbaty z ostrokrzewu przyprawionej odrobiną whisky. To zawsze pomagało jej na comiesięczne dolegliwości, może więc pomoże i teraz.

Jonasz z pochyloną głową czekał na nią na podwórzu. Przez chwilę wahała się, jak powinna postąpić, w końcu jednak przemówiła:

- Jonaszu, jeżeli zrobiłam coś niestosownego...

Odwrócił się i wówczas w jego jasnych, odbijających światło księżycy oczach, dojrzała gniew.

- Zamilcz, kobieto! Nie zrobiłaś nic niestosownego. To ja nie postąpiłem należycie, gdy powiodłem cię do stodoły. Miałem zamiar...

- Oboje wiemy, jakie miałeś zamiary. Ale ja też tego chciałam, więc nie powinienes brać winy na siebie. Wiele razy w życiu słyszałam o cielesnych grzechach. To, co się wydarzyło dzisiaj, nie byłoby grzechem, gdyby nie pchała nas do tego tak wielka pokusa, ale skoro w ogóle nie posunęliśmy się do grzesznego aktu, to...

- To? - zainteresował się, a Carrie odniosła wrażenie, że nagle coś go rozbawiło.

- To myślę, że najlepiej będzie, jak już pójdę spać. Chłopcy na pewno wcześniej zerwą się na nogi, a poza tym mam dużo prania i jeszcze...

- Carrie.

- I jeszcze będę musiała wystawić tablicę na grobie.

Szybko przeszła obok Jonasza i ruszyła w stronę domu, swego jedyne w tej chwili azylu. Niewielka chata podzielona na dwie izby, posłanie na podłodze, dwójka osieroconych chłopców, którzy może zechcą, a może nie zechcą przy niej zostać... a do tego nienaładowana, ciężka strzelba - wedle wszelkiego prawdopodobieństwa będąca teraz jej własnością.

Carrie, wyczerpana ostatnimi przeżyciami, spała długo i głęboko. Kiedy się wreszcie obudziła, chłopcy już urzędowali na dworze, zaś resztki figowego placka i kilka czekoladowych okruchów stanowiły wspaniałe świadectwo ich

zaradności i samodzielności. Jej pierwszą myślą było, że musi przypilnować, by na obiad dzieci zjadły mięso i warzywa. Następną - że Jonasz pewnie się już zbierał do odjazdu, o ile już nie wyjechał

Okazało się, że jeszcze nie wyruszył, ale T'a-Kon był już osiodłany i gotowy do drogi. Stając w progu, Carrie od razu zauważyła, że grób nie tylko został zasypyany, ale że widniał na nim starannie usypany kopczyk ziemi i prosty krzyż z cedrowego drewna. Teraz będzie musiała jedynie umieścić na krzyżu napis.

Jonasz rozmawiał z chłopcami, jednak tak cicho, że nie dochodziły do niej żadne słowa. Jeżeli zamierzał przekonać ich, że powinni zamieszkać z nim, a nie z Carrie, zupełnie nie wiedziała, co miałyby w takiej sytuacji zrobić. Tylko przekupstwo mogłoby zadziałać, zdecydowała, pospiesznie zapinając sukienkę i przejeżdżając grzebieniem po niesfornych włosach. Ona miała ciasto i placki. On nie. Kiedy zabraknie słodkości, może napiec więcej, a Jonasz zapewne zadowalał się sucharami kukurydzianymi i fasolą z puszki.

Ale gdy już miała wybiec na podwórze, Jonasz wskoczył na siodło, pomachał chłopcom i zwrócił się w jej stronę.

- A więc do widzenia - zawołała, siląc się na uśmiech, przerażona, że wszystkie uczucia ma wypisane na twarzy. - Koniecznie przyjeźdź nas odwiedzić, gdy znajdziesz chwilę czasu. Będziemy się cieszyć na każdą twoją wizytę, prawda, chłopcy?

Potężny, gniady ogier ruszył żwawym truchtem drogą i wkrótce zniknął jej z oczu.

Teraz już nic jej nie grozi, powtarzał sobie w duchu Jonasz. Mimo to zamierzał zadbać, by miała amunicję do strzelby. Oczywiście nie przypuszczał, by kiedykolwiek musiała jej użyć, jednak broń zapewni Carrie poczucie bezpieczeństwa. Zostawił jej też podjezdka. Jeśli jej wuj miałby coś przeciwko temu, chętnie załatwi z nim tę sprawę. Carrie potrzebowała konia, na którym mogłaby jeździć wierzchem, a ten wałach był spokojny i przewidywalny.

Chłopcy zapewnili go, że będą opiekować się panną Carrie oraz panią Emmą. Jonasz nie miał wątpliwości, że obie kobiety należały do twardej rasy, ale na wszelki wypadek kazał przyrzec Nate'owi, że w razie najmniejszych problemów przybiegnie do niego.

Najbardziej jednak trapił się pytaniem, jak długo powinien czekać mężczyzna, zanim zacznie się ubiegać o rękę wdowy? Czy na wschodzie panowały takie same zwyczaje, jak wśród ludu jego matki?

Przezuwając te kwestie, powtarzał sobie w duchu, że podobne rozważania świadczą jedynie o tym, że rozsądnie podchodzi do swojej przyszłości. Posiadanie kobiety dawało wiele korzyści. Jeśli weźmie sobie żonę, będzie mógł mieć własnych synów. Jonasz bardzo lubił dzieci, bowiem odnajdywał w nich tę samą, niczym nie skażoną szczerłość, co u koni.

Carrie doskonale gotowała i nie bała się ciężkiej pracy. Była pełna godności i zupełnie pozbawiona przewrotności, tak częstej przywary kobiet, również wśród ludu jego matki. Poza tym ktoś musi pomóc Carrie w wychowywaniu dwóch chłopców. Nate miał w sobie mieszaną krew i będzie potrzebować dużo wsparcia w nadchodzących latach, a któż mógłby go wspierać lepiej niż mężczyzna, który sam był Metyselem?

Jak długo powinien czekać? Jeżeli będzie zwlekał zbyt długo, inny mężczyzna może zacząć ubiegać się o jej względy. Jeżeli będzie próbował rozmówić się z nią zbyt szybko, może urazić jej uczucia.

Może urazić jej uczucia już samym złożeniem podobnej propozycji, napomniał się w duchu. Szybko jednak odrzucił tę myśl. Carrie była chętna i nienasycona, a Jonasz zagościł w jej sercu jeszcze na długo przedtem, zanim sama zdała sobie z tego sprawę. Bo w istocie ta kobieta była niewinna jak dziecko.

W miłości nie miała żadnego doświadczenia i Jonasz nie mógł się już doczekać, by udzielić jej stosownych lekcji. Wiedział jednak, że wcześniej musi

poprosić ją o rękę, zaś ona musi przyjąć jego oświadczenia. Oboje byli zbyt zagrożeni wykluczeniem ze społeczności, by podejmować niepotrzebną ryzyko.

Jonasz rozparł się wygodniej na siodle. Kiedy przejeżdżał obok świeżo wykarczowanego pola, człowiek, w którym Jonasz rozpoznał jednego uczestników pogrzebu, uniósł dłoń w geście powitania. Jonasz pomachał mu ręką i uśmiechnął się szeroko.

Coraz bardziej podobało mu się życie na wschodzie. Czasy, gdy był wojownikiem, marynarzem i więźniem, stanowiły już zamknięty rozdział. Teraz czekało go wiele pracy, bo Carrie potrzebowała stabilizacji. Jeszcze dzisiaj zabierze się za wyrąb drzew potrzebnych do budowy domu, takiego z dachem, podłogą i ścianami. Pieniądze, które zarobił na wyścigach, wystarczą, by kupić żeliwny piec, a może nawet szkło na szyby. Bo jeżeli już będzie musiał spać w czterech ścianach, to niech przynajmniej te ściany będą pełne okien.

A potem zbuduje jeszcze jeden niewielki dom tuż obok, by Carrie mogła sprowadzić swoją przyjaciółkę, Emmę. Starsza pani na pewno będzie nieocenioną pomocą, gdy zaczną się rodzić dzieci. W takich sytuacjach kobiety potrzebowały towarzystwa innych kobiet.

Po raz pierwszy od wielu lat zaczął śpiewać na całe gardło zaskakująco ujmującym barytonem. Pieśń wybrzmiewała po angielsku, hiszpańsku i w języku Kiowa. Przepelniony radością Jonasz powtarzał sobie, że przyszłe pokolenia Longshadowów będą pracować na tej ziemi, polować w tych lasach, łowić ryby w pobliskich wodach. Wysocy młodzi mężczyźni zostaną hodowcami najwspanialszych koni w kraju, a jasnowłose dziewczynki będą czarować swym śmiechem wszystkie ptaki.

A więc tydzień, postanowił. Poczeka tydzień, a potem poprosi Carrie o rękę, zaś za trzy następne pojmie ją za żonę i zacznie dzielić z nią postanie.

- Przed nami mnóstwo pracy, mój czarnouchy przyjacielu - oznajmił cicho, a pachnący jesienny powiew uniósł i porwał ze sobą jego słowa.

## ROZDZIAŁ CZTERNASTY

Zanim Jonasz upewnił się, że wszystkie konie mają się dobrze, księżyc stał już wysoko na niebie. Boodle i jej źrebak, Howard, wyglądali wspaniale. Zabat i Saynday wkrótce miały się źrebić. Za jakieś siedem dni, wedle oceny Jonasza. Obie klacze były już doświadczonymi matkami, więc z pełnym spokojem czekały na rozwiązanie. Wcześniej planował, że zakończy budowę stajni przed nadejściem Agansanthy - miesiąca Zimnej Przestrogi. Stajnia jednak mogła poczekać. Teraz musiał postawić dom dla Carrie.

Carrie...

Jonasz ułożył się na plecach i zapatrzył w wygwieżdżone niebo, oddając się myślom o kobiecie, którą zamierzał pojąć za żonę. Swoją jedyną żonę. Nawet gdyby prawa białego człowieka zezwalały na więcej żon, nie chciałby żadnej poza nią. Im dłużej rozważał całą sytuację, tym bardziej był przekonany, że Carrie, pomimo jego mieszanej krwi, go nie odrzuci.

Z początku bardzo się go bała - i miała rację. Szeryf wydał go jej w kajdanach i nazwał złodziejskim mieszańcem. Ale potem uznała, że jest normalnym, przyzwoitym człowiekiem. Może nie najwspanialszym na świecie, ale dużo lepszym, od wielu innych. Czytanie w myślach kobiety nie było równie łatwe jak czytanie w myślach koni. Kobięce umysły były bardziej zagmatwane, a nieraz niepojęte same dla siebie, co mężczyznom bardzo utrudniało życie, ale Jonasz miał głębokie przeświadczenie, że przypadł Carrie do serca, i że teraz pożądała go równie mocno jak on jej.

T'a-Kon zarżał cicho, jakby mówił: „Za dużo się trapisz, człowieku. A noc jest przecież do spania”.

- Masz rację, mój przyjacielu - odparł Jonasz cicho, ubawiony własną pustotą.

Przeciągnął się z lubością. Niedługo wykończy stodołę i zbuduje dom, a potem postawi wielką stajnię z obszernymi boksami. Będzie uprawiał zboże i



szczególny rodzaj soczystej trawy, która świetnie tu rosła. Z Carrie u boku podąży Drogą Oracza i w końcu zostanie doskonałym hodowcą wspaniałych koni i cenionym członkiem miejscowej społeczności.

Z Carrie u boku, pomyślał z rozbawieniem, może wejść na Drogę Oracza bez obawy, że zatraci swą męskość.

Zamknął oczy i przywołał na myśl obraz kobiety, która zabierała go z więzienia - kobiety z wyrazem wojowniczej determinacji na drobnej twarzy ocienionej zniszczonym, słomkowym kapeluszem zakrywającym wybielone słońcem włosy. Kobiety wyklinającej upartego muła, z wysiłkiem utrzymującej lejce i ciężką strzelbę w jednej dłoni.

Kilka dni później widział, jak pozwalala kogutowi dziobać ziarno prosto z ręki, a palcem drugiej gładziła jego wystrzępiony grzebień. A jeszcze potem przygarnęła dwóch osieroconych chłopców. Najpiękniejszym obrazem była jednak jej zatrwożona mina, gdy uklękła przy nim, zdjęła żelazne obręcze i oglądała jego rany. Miał wówczas na sobie tę samą spłowiałą sukienkę co pierwszego dnia, i ten sam słomkowy kapelusz, i tylko zapomniana strzelba leżała gdzieś daleko w piachu.

Jonasz pamiętał, jak wiele razy patrzyli sobie w oczy z wyrazem rozbawienia lub satysfakcji z dobrze wykonanej pracy. Znikały dzielące ich bariery. Próbował nie pamiętać o tym pierwszym poranku nad strumieniem, gdy najczystsza wściekłość sprawiła, że zdarł z siebie ubranie. Od tamtego dnia determinacja, z jaką usiłował wyrzucić ów incydent z pamięci, sprawiała jedynie, że wciąż wracał myślami do tego, co tak bardzo starał się zapomnieć.

Gdy szedł za tym przeklętym pługiem, czuł na sobie jej wzrok i zastanawiał się, czy ona też pamięta wydarzenia tego pierwszego ranka. Czy stawał jej przed oczami takim, jakim wówczas go ujrzała? On często próbował sobie wyobrazić jak by wyglądała, stojąc nago nad brzegiem strumienia, z promieniami słońca odbijającymi od jej jasnej skóry. I jak by wyglądała, leżąc na miękkich mchach, czekając z otwartymi ramionami i sercem, aż ją wreszcie posiadzie.

Teraz już się nie obawiał, że zatraci swą męskość. Rozkwitnie ona na Drodze Oracza, pod warunkiem, że Carrie będzie dzielić z nim postanie każdej nocy... a także każdego ranka i do tego wiele razy w ciągu dnia.

Wierząc się niespokojnie, Jonasz postanowił skoncentrować swe myśli na bardziej praktycznych sprawach. Na pracach, jakie jeszcze musiał wykonać przy stodole. Na grodzeniu łąk i końskich wybiegów, które pewnego dnia będą sięgać hen, aż do odległego lasu. Na budowie domu dość dużego, by pomieścić pod jednym dachem mężczyznę, kobietę, dwójkę dorastających chłopców i tak wiele małych dzieci, ile tylko Carrie zapragnie. We wszystkich ścianach tego domu będzie mnóstwo okien. Po trzy, może po cztery. I ceglany komin u każdego szczytu.

Z pobliskiego drzewa zaczęło nieść się echem pohukiwanie sowy. Jonasz zagarnął ramieniem puste miejsce u swojego boku i uśmiechnął się pogodnie przez sen.

Gdy otworzył oczy, blady świt właśnie zaczął wypierać mrok. Leżąc bez ruchu, nasłuchiwał świergotu budzących się ptaków, wpatrywał w chłodny, wilgotny opar snujący się jeszcze nad ziemią, chłonał swojski zapach koni. Jedna z klaczy zarżała cicho. T'a-Kon natychmiast jej odpowiedział i Jonasz uśmiechnął się szeroko przepojony radością życia. Chwilę później wstał, przeciągnął się, ziewnął, po czym podrapał leniwie po brzuchu.

I wówczas usłyszał tętent zbliżających się koni. Poczł dziwne ukłucie niepokoju i natychmiast sięgnął po koszulę. Było zdecydowanie za wcześnie na gości. Po pogrzebie Darthera nie czuł się już tak wyobcowany wśród sąsiadów, jednak nie zaprzyjaźnili się na tyle, by wpadać do siebie z niezapowiedzianą wizytą.

Stojący w pobliżu ogier zaczął przebierać nerwowo nogami. Jonasz wymamrotał kilka niezrozumiałych słów, zwijając koc i wciągając buty.

Coś mu mówiło, że zbliżały się kłopoty.

- Longshadow! Jesteś tam?

Wschodzące słońce świeciło mu prosto w oczy, więc nie widział wyraźnie twarzy mężczyzn, jednak natychmiast rozpoznał ten głos. Był jednym z ostatnich, jakie miałby ochotę usłyszeć. Ale ponieważ na jego dom składał się jedynie kawał brezentu rozciągnięty na czterech palikach i koc, który służył mu za posłanie, nie miał gdzie się skryć. Wyszedł więc z namiotu, nie zdradzając uczuć, jakie go ogarnęły na widok szeryfa i jego zastępcy. Przynajmniej stróż prawa z Cunituck był na tyle uprzejmy, by dać mu znać, że przybywa, bo przecież mógł zakraść się cichaczem i zaskoczyć go we śnie.

Młody zastępca, Noe, zmarszczył gniewnie brew, za wszelką cenę starając się wyglądać doroślej i poważniej. Obaj mężczyźni zsiadli z koni. Szeryf, korpulentny mężczyzna w średnim wieku, włożył do ust kawałek prymki i zaczął rozglądać się wokół, przyglądając się prawie ukończonej stodole, potężnemu, gniademu ogierowi, klaczom i źrebackowi stojącym w zagrodzie oraz na wpół wy-karczowanemu kawałkowi gruntu.

- A więc to tu mieszkasz? - rzucił szeryf beznamiętnym tonem.

Jeżeli to miejsce wywarło na nim jakiegokolwiek wrażenie, nie dał tego po sobie poznać.

- To moja ziemia - odparł Jonasz.

Mógłby mu podać nazwę, jaką nadała jej Carrie: Bóg Wie Gdzie, obawiał się jednak, że szeryf nie doceni subtelnego dowcipu.

- Czy coś ci wiadomo o morderstwie popełnionym kilka dni temu w Wirginii?

Jonasz zaczął się zastanawiać, na ile prawdopodobne jest, że znów zostanie aresztowany za przestępstwo, którego nie popełnił, szybko jednak uciekł od tej myśli.

- Tak.

- Zechciałbyś nam o tym opowiedzieć?

Nie, nie miał na to najmniejszej ochoty, ale zupełnie nie wiedział, jak mógłby tego uniknąć.

- Wiem, że człowiek nazwiskiem Adams został śmiertelnie ugodzony nożem. Znalazłem go martwego, a ponieważ wcześniej pracowałem na jego farmie, zawiozłem ciało wdowie.

To była najszczęśliwsza prawda, Jonasz jednak nie mógł się oprzeć wrażeniu, że podobne wyjaśnienie nie wystarczy. Oczywiście mógłby dodać jeszcze, że choć pogardzał tym człowiekiem, wziął dla niego udziału?! gonitwie, ale to pociągnęłoby za sobą konieczność dalszych wyjaśnień. Poza tym ta sprawa nie miała nic wspólnego z morderstwem. Zresztą szeryf doskonale wiedział, że to pieniądze Adamsa w o wiele znaczniej stopniu niż jego poręczenie, zapewniły Jonaszowi wolność.

Tymczasem Noe rozglądał się po stodole, a raczej trzech ścianach, które na razie się na nią składały. Nogą odsunął belę siana, a potem ręką przejechał po worku wiszącym na ścianie. Czego ten dureń szukał? Narzędzia zbrodni? Nóż Jonasza wcale nie znajdował się w stodole, był wciąż w pochwie, przy siodle, wyraźnie widoczny dla każdego.

- Jak to się stało, że akurat ty znalazłeś ciało? Pewnie dobrześ wiedział, gdzie szukać, co?

Jak miał wyjaśnić, że to instynkt przywiódł go na miejsce zbrodni? Że miał już taki dziwny dar wyczuwania ważkich wydarzeń, dobrych czy złych? Szeryf by tego nie pojął, więc Jonasz milczał.

- Czy wspominałem już, że denat został także obrabowany? Wedle słów szeryfa z Princess Ann, tego dnia wygrał sporą sumkę na pewnej gonitwie i akurat miał wracać do domu z pieniędzmi, gdy został zdradziecko napadnięty i zamordowany. Krążą pogłoski, że kłócił się z jakimś Metysem. Posłuchaj mnie uważnie, Longshadow. Nie upieram się, że to byłeś ty. Twierdzą jedynie, że znałeś ofiarę, więc...

- Szeryfie!

Obaj mężczyźni odwrócili się na dźwięk podekscytowanego głosu Noego. Gdy Jonasz zobaczył, jakiego odkrycia dokonał młodzik, serce w nim zamarło.

Wszyscy uznają to za dowód jego winy. Tymczasem szeryf niespiesznym krokiem ruszył do stodoły i podszedł do kozła, na którym Jonasz położył siodło.

- Co my tu mamy, Noe?

- Pieniądze! Wygląda na to, żeś miał świetnego nosa, szeryfie. Ten człek ukrył tu rulon pieniędzy dość gruby, by nim zadusić wieprzka.

Szeryf strzyknął tytoniem przez zęby, odwrócił się, oparł o żerdź ogrodzenia i spytał zwodniczo dobrodusznym tonem:

- Zechciałbyś nam wyjaśnić, skąd wzięłeś taką masę pieniędzy, chłopcze?

Gdyby kłamstwo mogło coś załatwić, Jonasz może by się i o nie pokusił. Ale teraz już nic nie mogło mu pomóc. Po raz kolejny został osądzony i uznany winnym bez uczciwego procesu. Oczywiście mógłby wdać się w szczegółowe wyjaśnienia, któż jednak by mu uwierzył? Przecież już poznał tę drogę.

- Te pieniądze należą do mnie. Mój koń wygrał gonitwę w Wirginii.

- A więc przyznajesz, żeś był na torze w Princess Ann owego dnia?

- Już wcześniej to mówiłem, a poza tym pieniądze wcale nie były ukryte.

- Trudno też powiedzieć, by leżały na wierzchu. Myślę więc, że w tej sytuacji powinieneś pojechać z nami do mojego biura.

Nate zajął się Sorrym i podjezdkiem. Ten chłopiec miał prawdziwą smykałkę do koni, w przeciwieństwie do Zacha, który nie miał smykałki do niczego. Mimo to dzielnie zagonił kury do zagrody i starannie zamknął ją na haczyk, chociaż w tym celu musiał wdrapać się na skrzynkę. Daj chłopcu zadanie przerastające jego siły, a szybko do niego dorosnie, tak powiedział kiedyś Jonasz. A Bóg świadkiem, że Carrie miała przed sobą tyle zadań i obowiązków, że chętnie obdarzyłaby nimi jeszcze kilka osób.

- Czy pójdziemy jutro do pani Emmy? - spytał Nate, nasadzając na sztachetę wiadro służące do karmienia koni. - Powiedziała, że zawsze ją ucieszy nasz widok.

- Słuchajcie, jeżeli szybko zjecie kolację, to przed spaniem zabierzemy się za pieczenie rodzynkowych ciastek.

Carrie na wieczorny posiłek udusiła szynkę, dodając do niej dużo cebuli i ziemniaków, by potrawka starczyła na dłużej.

- Pani Emma robi lepsze ciastka.

- Pani Emma większość rzeczy gotuje lepiej ode mnie, bo miała więcej czasu, by się wszystkiego dobrze nauczyć, my jednak będziemy musieli przez kilka dni posiedzieć w domu na wypadek...

Na wypadek, gdyby Jonasz wrócił. Carrie nie miała odwagi wypowiedzieć tego w głos, ledwo śmiała o tym myśleć, mimo to wołała być w domu, gdyby... no, gdyby niespodziewanie zjawili się jacyś goście.

I akurat tak się złożyło, że godzinę później ktoś rzeczywiście wpadł z wizytą, tyle że nie była to osoba, którą Carrie miała nadzieję ujrzeć.

- Wuj Henry?! Jak...? Dlaczego...? - Carrie ani razu nie miała kontaktu z wujem od dnia, w którym przehandlował ją Dartherowi. Nagle uderzyła się dłonią po ustach. - Och Boże... Zapewne dowiedziałeś się o śmierci Darthera. To stało się tak niespodziewanie. Pogrzeb już się odbył, przybyło wielu sąsiadów...

- Nie mów mi, żeś dochowała się dzieci. Dart nigdy nie wspominał o żadnym drobiazgu - rzucił Henry, zwięzonymi oczami wpatrując się w chłopców tulących się do siebie za poidłem. - Hej, oni nie są twoi. A już na pewno nie ten...

- To Nate i Zach. Oni... wzięłam ich na wychowanie.

Na twarzy Henry'ego pojawił się chytry uśmiech.

- No, no, a to dopiero. To tak jak ja ciebie, tyle że ci nie są twoją rodziną, a w każdym razie nie ten kędzierzawy. Jak ci na imię, chłopaku?

Przez chwilę Carrie sądziła, że Nate odmówi odpowiedzi.

- Nazywam się Litkin. Nataniel Litkin - odparł jednak wojowniczym tonem.

- Litkin, powiadasz? A ten drugi? Pewnaś, że on to nie Dartherowe nasienie?

Carrie zeszywniała z oburzenia.

- Oczywiście.

- Żeśmy sieroty - odpowiedział uprzejmie Zach.

Nate natychmiast poczęstował go sójką w bok.

- Nie jesteśmy żadne sieroty. Chowamy się sami.

Carrie miała ochotę pochwycić ich w ramiona. Obaj chłopcy słyszeli okropne historie o tym, jaki los przypada w udziale sierotom. Najmniej straszna mówiła o natychmiastowym rozdzieleniu, dlatego Nate tak usilnie zaprzeczał oczywistym faktom.

Sklepiarz skinął głową z wyrazem zamyślenia na twarzy. A potem obrócił się powoli, obrzucając uważnym spojrzeniem czystą chatę, starannie zagrabione podwórko, świeżo wykarczowane pole za domem, muła i podjezdka, skubiących spokojnie trawę w zagrodzie.

- Widzę, że masz mojego wałacha. To dobry koń. Dużo lepszy od tego, na którym tu przyjechałem. Słuchaj, bratanico, może zrobisz mi kolację, a ja tymczasem rzucę okiem na to i owo.

Wówczas Carrie zrozumiała. Wuj patrzył na jej farmę tym samym wzrokiem, jakim wpatrywał się w rozdane karty - z żądzą i chciwą niecierpliwością. Ten stary, podły drań przyjechał tu po jej wdowi grosz. I mimo że tak wiele pracy włożyła w tę ziemię, by znów mogła rodzić zboże, zapewne prawo pozwoli mu odebrać jej wszystko, co do tej pory zdobyła.

Ale po jej trupie!

- Tu nie ma nic do oglądania, wuju Henry. Stodoła wymaga naprawy, po domu hulają przeciągi... ale prawdę mówiąc, nie jest on wart dalszego łatania, gdy zaś chodzi o resztę... - Wyrzekanie było instynktowną reakcją na ogarniający ją strach.

- Eee, ja tak nie uważam. Po mojemu z tego miejsca można jeszcze wiele wycisnąć. Oczywiście trudno, by jakaś dziewczyna mogła to zrozumieć.

- Nie jestem już dziewczyną, wuju Henry, tylko dorosłą kobietą. Jak myślisz, kto połatał dach? Kto wykarczował to pole za chatą?

Nie zamierzała się chwalić, chciała przedstawić swoją farmę w jak najgorszym świetle, ale przekłeta duma jej na to nie pozwoliła.

- Pewnikiem ten Metys, coś go wykupiła z więzienia, zrobił na polu wszystko co trzeba, ale on nigdy więcej już ci nie pomoże, dziewczyno.

- Kobieto! - poprawiła go gniewnie. - Już nie jestem tą niedoświadczoną młódką, którą przehandlowałeś Dartherowi za długi. Teraz jestem dorosła.

- Teraz to jesteś wdową, a ja twoim jedynym krewniakiem, więc mam obowiązek zadbać o twe interesy.

A więc wreszcie wyłożył karty na stół, pomyślała, cytując w duchu jedno z jego ulubionych powiedzonek. Carrie wiedziała aż nazbyt dobrze, że ten człowiek, który mienił się jej wujem, ale który w życiu nie okazał jej odrobiny uczucia, ani przez chwilę nie myślał o jej interesach, a jedynie o wygodnym urządzeniu się na przyszłość.

- Nie - odparła beznamiętnie.

- Nie? A cóż to znaczy? Czyżbyś nie zamierzała poczęstować rodzonego wuja kolacją?

Jego uśmiech przywiódł jej na myśl wściekłego psa obnażającego kły.

- Możesz zjeść z nami kolację, ale na więcej nie licz. Chłopcy, idźcie... - Urwała gwałtownie i zaczęła bezradnie rozglądać się wokół.

- Jeżeli szukasz tych twoich bachorów, to widziałem, jak uciekali do lasu.

A więc pobiegli do Emmy. Carrie Wiele razy wkładała im w głowę, że gdyby z jakiegoś powodu poczuli się zagrożeni, mają natychmiast iść do Emmy. Najwyraźniej Henry Vãnder przerażał ich równie silnie jak i ją.



- Możesz napoić konia i dać mu siana, ale na twoim miejscu bym go nie rozkulbaczała, bo jak sądzę, nie zabawisz tu długo. Umyj się tam, a ja nakryję do stołu.

Rozdarta pomiędzy strachem a gniewem, Carrie pospieszyła do chaty, w myślach zastanawiając się nad każdym słowem, które usłyszała od wuja. Nie wiedział o chłopcach, ale wiedział o śmierci Darthera. Co nie było takie znowu dziwne, zważywszy, że na wyścigi jeździli razem. A może już otrzymał jej list?

Wiedział też wiele o Jonaszu, kim był i jak się znalazł w tym domu, ale o tym zapewne powiedział mu Darther. „Pewnikiem ten Metys, coś go wykupiła z więzienia, zrobił na polu wszystko co trzeba, ale on nigdy więcej już ci nie pomoże, dziewczyno”. Dopiero w tym momencie dotarło do niej znaczenie tych słów.

Nie pomoże? A to dlaczego?

Oczywiście nie oczekiwała od Jonasza żadnej pomocy, przecież miał własną ziemię, na której musiał pracować. Ale czemu wuj mówił podobne rzeczy? Czyżby wiedział coś, o czym ona nie miała pojęcia?

Na tę myśl aż ją zmroziło. Więc gdy tylko pojawił się w drzwiach, obrzucając chciwym wzrokiem skromne sprzęty, natychmiast zapytała:

- Wuju Henry, co miałeś na myśli, mówiąc, że Jonasz już nie będzie mógł mi pomóc?

- Czyżby w domu pachniało szynką? Muszę przyznać, dziewczyno, że od chwili, gdy mnie opuściłaś, najbardziej brakuje mi twojej kuchni. Umiiałaś doskonale wszystko przyrządzić, i niech mnie diabli, jeśli kłamię.

- Wuju, nie przyjechałeś tu, by rozprawiać o moich kulinarnych zdolnościach. Chcę wiedzieć, co miałeś na myśli, mówiąc w taki sposób o Jonaszu. Wyjechał stąd zaledwie wczoraj. Widziałeś go? Rozmawiałeś z nim? Czy wszystko u niego w porządku?

Henry uniósł serwetkę przykrywającą stojący na stole koszyk, a potem podszedł do pieca i zdjął pokrywkę z garnka zsuniętego na brzeg płyty.

- Mmm, duszona szynka i placki kukurydziane. Wszystko, czego człękowi trzeba do szczęścia.

Carrie wyrwała mu z rąk pokrywkę i z trzaskiem odłożyła na garnek.

- Nie tkniesz ani kęsa mego jedzenia, póki nie usłyszę prawdy. Co więc miały znaczyć twoje słowa? Czemu Jonasz nie mógłby mi już pomóc, nawet gdybym po niego posłała?

- Po pierwsze musiałabyś posłać po niego aż do sądu w Currituck. O ile mi wiadomo, areszt jest tuż obok, co? Nie wydaje mi się jednak, by tym razem zwolnili go za kaucją, bo został oskarżony o morderstwo.

Carrie zdało się, że jakaś potężna siła wyciska całe powietrze z jej płuc.

- Niemożliwe! - wyszeptała.

- A jednak. Wsadzili go dziś z samego rana. Przyjechali do mnie wczoraj z wieczora, szeryf z Princess Ann i ten drugi, z Currituck, bym im opowiedział wszystko, co mi wiadomo. Bo ja jestem, jak to nazywają, świadkiem. Po prawdzie to nie widziałem, jak to się stało, ale to ja znalazłem trupa biednego Darthera, leżącego we krwi niczym wieprzek zaszlachtowany na zapusty.

Carrie bezwładnie opadła na krzesło, po chwili jednak gwałtownie zerwała się na nogi, chwyciła wuja za kłapy surduta i wbiła w niego pełen furii wzrok.

- Posłuchaj mnie uważnie, Henry Vanderze. Jonasz nie jest mordercą. A każdy, kto twierdzi inaczej, jest kłamcą!

- To już rozsądzi prawo. Wiem jednak, co widziałem na własne oczy. A widziałem tych dwóch, jak się kłócili za stajnią, gdzie znaleziono ciało i skąd później to ciało zniknęło.

Szczęśliwie Carrie znów mogła jasno myśleć, więc natychmiast zażądała wyjaśnień.

- Co to znaczy „zniknęło”?

W trakcie wielokrotnego przedstawiania swej historyjki Henry odkrył w sobie pokłady aktorskiego talentu. Odmalował jej więc kwieciście, jak to widział Darthera i Jonasza żywo się o coś spierających. Potem przeszedł do

opisu heroicznego poszukiwania winowajcy, zrelacjonował, jak poprowadził szeryfa i połowę przybyłych na wyścigi amatorów hazardu na miejsce zbrodni, i jak to wtedy właśnie okazało się, że ciało zniknęło w tajemniczych okolicznościach.

- Jonasz przywiózł go do domu - oznajmiła Carrie, stając na szeroko rozstawionych nogach, z rękami skrzyżowanymi na piersi, piorunując wzrokiem mężczyznę, który może był, ale najpewniej nie był jej krewnym. - Potem wykopał dla niego grób pod dębem. Odbył się uroczysty pogrzeb. Przybyło wielu ludzi. A na koniec Jonasz postawił mu na grobie krzyż, na którym wypiszę imię Darthera. To był... to był naprawdę przyzwoity pogrzeb.

Henry skinął głową, nie przestając wodzić pazernym wzrokiem po skromnym wnętrzu.

- To normalne. Jeśli kogoś zadźgasz na śmierć, to winieneś wykopać mu grób. Teraz takie kopanie to ciężka robota, chyba że wy mieliście więcej deszczu niż my tam, na północy.

Carrie wiedziała, że musi zachować zimną krew i jasny umysł, dopóki nie wyjaśni całej sprawy. Bo przecież Jonasz nie był mordercą. Dla każdego, kto go znał, musiało być to oczywiste.

Czy ktoś go znał równie dobrze jak ona? Carrie co prawda widziała, jak zachowywali się ludzie, którzy przybyli na pogrzeb. Z początku obserwowali Jonasa spod oka, trzymali się od niego z daleka, a zaakceptowali go tylko na chwilę, gdy trzeba było ponieść ciężką trumnę. Ale już pod koniec ceremonii, kiedy wszyscy zbierali się do wyjazdu, coraz więcej mężczyzn zaczynało z nim rozmowę. Jonasz zachowywał się z tak wielką godnością, że Carrie aż pękała z dumy. Jak komukolwiek mogło przyjść do głowy, że to morderca? Lecz jeśli nikt inny się za nim nie wstawi, ona to zrobi. I uzna to za wielki zaszczyt.

Nagle zrozumiała, że choćby wdrapała się na wierzchołek drzewa i wykrzykiwała swe racje i tak nie dowiedzie jego niewinności. Przecież nawet

nie widziała miejsca zbrodni. Sytuację dodatkowo pogarszał fakt, że była jedynie kobietą, zaś mężczyźni mają za nic słowa kobiet.

- Zostaw, tam są tylko czyste prześcieradła - rzuciła ostro w stronę Henry'ego, który wyciągnął spod łóżka drewnianą skrzynkę. Ten stary, wścibski głupiec zdążył już nawet zajrzeć do cukierniczki!

Tak czy owak tam pojedzie. Gdy tylko pozbędzie się wuja, natychmiast wyruszy do Currituck i da znać Jonaszowi, że jest przekonana o jego niewinności. Kiedy tam dotrze, będzie już bardzo późno, nawet jeśli pojedzie wierzchem na podjezdku, ale bez względu na wszystko znajdzie w końcu kogoś, kto ją wpuści do więzienia, choćby miała postawić na nogi całe miasto.

Nate i Zach na szczęście są bezpieczni u Emmy i pewnie teraz wcinają rodzynkowe ciastka. A Jonasz bardzo jej potrzebował.

- Ładny surdut - oznajmił Henry. Carrie spojrzała przez ramię i zauważyła, że właśnie dobrał się do ubrań Darthera.

- Zabierz go sobie, jak ci się podoba - rzuciła szorstko. - Zresztą zapakuję ci wszystkie jego ubrania. I trochę jedzenia, bo czeka cię daleka droga.

I ją też.

Henry tymczasem skupił całą uwagę na springfieldzie spoczywającym na swym zwyczajowym miejscu, tuż nad drzwiami. Przyciągnął spod kominka ławę, wspiął się na nią i chwycił broń.

- Biedny Dart. Był tak bardzo rozmiłowany w strzelbie swego papy - oświadczył boleściwym tonem. - A ona wymaga czyszczenia. Ale zadbam o nią jak należy, przynajmniej tyle mogę dla niego zrobić.

Wciąż stojąc na ławie, uniósł ciężkiego springfielda i przymierzył do oka, a wówczas Carrie ujrzała błysk dobrze jej znajomego wisiora dyndającego u jego dewizki.

O mój Boże. O mój dobry Boże, zaczęła szeptać w duchu. Wprost nie mogła uwierzyć własnym oczom. Tuzin myśli zaczęło cisnąć się jej do głowy, na szczęście jednak szok sprawił, że nie zdołała wydusić z siebie słowa. Zdołała

się opanować. Nie może okazać strachu, bo jeśli Henry zacznie podejrzewać, co w tej chwili myśli...

Och, dobry panie Boże. O, wszyscy święci w niebiosach. Teraz musi szybko wymyślić jakiś pretekst, by natychmiast wyjechać z tego domu, zanim zdradzi ją wyraz twarzy.

## **ROZDZIAŁ PIĘTNASTY**

- Wuju Henry; przykro mi, ale zaraz będę musiała cię opuścić, bo obiecałam mojej przyjaciółce, że dziś wieczorem zjemy razem kolację. - Widząc, jak zdumionym spojrzeniem obrzuca stojący na skraju pieca bulgoczący garnek, dorzuciła pospiesznie:

- Miałam zabrać ze sobą tę potrawkę, ale jest jej tak dużo, że i dla ciebie starczy. Jeżeli chcesz, możesz zostać i zjeść na miejscu, ale powinnam już się zbierać, bo wkrótce zapadnie zmrok.

Musi natychmiast stąd wyjechać! Vånder za chwilę odłoży springfielda, spojrzy jej w twarz, spostrzeże przerażenie w jej oczach, i wówczas od razu zrozumie, że ona wszystko odgadła.

To Henry zamordował Darthera i ukradł mu wisior. Zabił go, bo wiedział, że jego bratanica odziedziczy farmę, a wówczas ort, jej najbliższy męski krewny, bez trudu przejmie kontrolę nad całą ziemią. Spędziła u jego boku wiele lat, wiedziała więc dobrze, że jest zepsuty, leniwy i chciwy, ale nigdy nie przypuszczała, że byłby zdolny do popełnienia morderstwa z zimną krwią. Teraz zaś na dodatek próbował winą za swój czyn obarczyć Jonasza, a to Carrie uznała za najgorszą zbrodnię.

Pochwyciła z półki miskę, napełniła potrawką i z trzaskiem postawiła na stole.

- Ściemnia się - powiedziała, uśmiechając się blado. - Jak skończysz, zostaw miskę na stole. Pozmywam, jak wrócę z... jak wrócę od Emmy.

Zaraz pobiegnie, osiodła podjezdka i...

Nie. Musi przecież pojechać wozem, bo wierzchem nie mogłaby zabrać ciężkiego garnka z szynką, a musiała to zrobić dla zachowania pozorów. Droga do Currituck zajmie jej całe wieki, bo będzie zdana na humory Sorry'ego, lecz jeżeli w ten sposób przekona Henry'ego...

Ale zaraz. Przecież może zaprząć podjezdka, a potem zostawić wóz w lesie i ruszyć wierzchem boczną drogą. Będzie musiała obyć się bez siodła, ale skoro Jonasz i chłopcy bez trudu jeździli na oklep, ona też sobie poradzi.

Tylko nie zapomnij o potrawce. Na Boga jedyne, weź ze sobą ten garnek! I wodze dojazdy wierzchem. Pamiętaj, że będą ci potrzebne wodze!

- Masz gdzieś masło do tych placków?

- Masło? Nie, przykro mi. Moja stara krowa przestała dawać mleko, więc wymieniłam ją na... ale tutaj masz konfiturę. - Postawiła na stole słoik z dzikimi brzoskwiniami w cukrze. - Muszę się spieszyć. Miło, że wpadłeś, wuju Henry. Przepraszam, że nie mogę zostać, ale rozumiesz, obiecałam...

Naciągnęła na bosc nogi wysokie trzewiki. Te buty zawsze obcierały jej pięty. Zdejmie je, gdy tylko zniknie z oczu Vandera, będzie jednak musiała pamiętać, by nie zostawić ich na wozie, wszak ma stanąć przed sądem.

Wybiegła na dwór i wepchnęła garnek na wóz. Potem otworzyła bramę i zaprzęgnęła do wozu konia. Żałowała, że potrawka się zmarnuje, ale gdyby ją zostawiła, wuj Henry nabrałby podejrzeń i ją też mógłby zamordować. I kto wtedy wstawiłby się za Jonaszem?

Mogłaby zawieźć potrawkę Jonaszowi, bo tam na pewno źle karmią. Był przecież bardzo wychudzony, kiedy poprzednio zabierała go z tego samego aresztu...

Kiedy wpadła do stajni i chwyciła ze ściany wodze, nadal prześladowała ją gonitwa myśli. Jonasz uwielbiał duszoną szynkę. Mogłaby mu zawieźć...

Pędząc na koniu? Bez siodła? O czym ona myśli? Najważniejsze, to wyciągnąć go z więzienia!

Jonaszu, o, Jonaszu. Już jadę do ciebie!

Przecież będą musieli jej uwierzyć. Na pewno zdoła ich przekonać, że Jonasz nigdy nie popełniłby morderstwa i że to wszystko sprawa jej wuja. Henry Vãnder ma przy sobie wisior do dewizki należący do jej zmarłego męża, a Darther nigdy się z nim nie rozstawał, bo uważał go za swój szczęśliwy talizman. Można mu go było tylko ukraść... albo obrabować trupa.

- Gdzie Darther trzyma whisky? - zawołał wuj Henry, stając w drzwiach chaty.

Carrie błyskawicznie schowała za plecy rękę, w której trzymała wodze.

- Jeżeli w spizarce nie ma żadnego gãsiora, to będziesz musiał wejść na stryszek w stodole. Whisky stoi w kącie za belami siana.

- To mi ją przynieś, zanim odjedziesz.

Carrie wrzuciła wodze na wóz i wspięła się na kozioł.

- Wuju, przepraszam, ale już zapada zmrok. Emma będzie się o mnie niepokoić. Do widzenia i odwiedź mnie wkrótce.

Usilnie powstrzymując się, by nie wybuchnąć irracjonalnym śmiechem, strzeliła lejcami i cmoknęła na podjezdka, który ruszył żwawo do przodu. Gdy znaleźli się na bocznej drodze, jechali już truchtem.

Podróż do Currituck zdawała się ciągnąć w nieskończoność. Gdy Carrie minęła Shingle Landing, zostało do przejechania zaledwie dziesięć mil, jednak wydawało się jej, że to przerażający szmat drogi. Wciąż przed oczami pojawiał się jej zakuty w kajdany Jonasz wleczony przed oblicze surowego sędzięgo.

- Znowu zakują go w to pioruńskie żelastwo, a przecież on, do stu diabłów, nie zrobił nic złęgo - wyszeptęła do siebie w wielkiej desperacji.

Gdzieniegdzie w ciemnościach błyskały światła w oknach domów. Carrie straciła rachubę czasu, wiedziała jednak, że jest już bardzo późno. Zapewne

będzie musiała kogoś obudzić, by dostać się do aresztu. Że też nie udało jej się wyjechać wcześniej...

Ze też to wszystko w ogóle się wydarzyło, poprawiła się w duchu. W innym razie Jonasz i Darther byliby teraz razem na jakichś wyścigach. Darther by żył, a Jonasz nie zostałby wtrącony do aresztu. Oczywiście wówczas nigdy nie mogliby być razem, by to byłby śmiertelny grzech, a ona już i tak miała zbyt wiele na sumieniu z powodu tych wszystkich myśli o obcym mężczyźnie.

Carrie mogłaby go nadal kochać w cichości serca i może nawet udałoby się jej z czasem wyzbyć grzesznych pragnień. Wtedy wystarczyłaby jej pewność, że Jonasz żyje i ma się jak najlepiej. . . .

- Jonaszu, jadę, już jadę do ciebie. I wyciągnę cię z tego parszywego miejsca, choćbym miała tę zbrodnię wziąć na siebie!

- Wiem, bo zobaczyłam ten wisior u jego dewizki - po raz trzeci oświadczyła zdesperowana Carrie.

Od ciągłego powtarzania całej historii aż rozboleła ją gardło. Jednak w końcu zmusiła tego półgłupiego zastępcę szeryfa do działania, grożąc, że jeśli nie pozwoli jej wejść do środka, puści cały areszt z dymem. Co prawda zostawił ją na schodach więzienia z wyjątkowo brzydkim kundlem, ale jednak poczłapał obudzić szeryfa. I w końcu wrócił, prowadząc ze sobą rozsierzonego stróża prawa.

Szeryf, w pasiastej, nocnej koszuli, w byle jak naciągniętych spodniach i ciężkich butach, natychmiast zażądał wyjaśnienia, czemu, do stu diabłów, Carrie zjawia się w mieście w środku nocy i bezceremonialnie wyciąga go z łóżka.

Zaczerpnąwszy głęboki oddech, Carrie zaczęła opowiadać to, co już wielokrotnie mówiła jego zastępcy. Ten młodzik był jednak na tyle tępy, że po każdym zdaniu powtarzał jedynie bezmyślnie „Tak, psze pani”, aż w końcu straciła cierpliwość i pod groźbą podpalenia aresztu zażądała widzenia z szeryfem. Do wyboru miała czekanie na schodach albo w jednej z ponurych cel.



Wybrała więc schody i towarzystwo pokracznego psa, jednak natychmiast pożałowała tej decyzji. Gdyby znalazła się wewnątrz, nawet zamknięta za kratkami, być może mogłaby porozumiewać się z Jonaszem.

Szeryfowi było nie w smak, że jakaś obca kobieta budzi go po nocy i opowiada niestworzone historie. Carrie starała się mówić składnie i spokojnie, ale nie wychodziło jej to najlepiej, bo odchodziła od zmysłów z troski o Jonasza. Oczywiście zapomniała o butach i zostawiła je na wozie, a jej włosy musiały wyglądać jak jastrzębie gniazdo.

Lecz teraz już nic nie mogła na to poradzić. Siedziała bosa i rozczochrana, ale przecież była przy zdrowych zmysłach, bez względu na to, co sądził o tym ten mężczyzna. On sam zresztą swoim wyglądem nie robił dużo lepszego wrażenia. Kiedy spotkała go po raz pierwszy, wtedy, jak wynajmowała więźnia, wydał się jej gburowaty i arogancko protekcyjny. Nie wiedziała, czyją pamiętał, ale z pewnością nie podobało mu się, że został wyciągnięty z łóżka w środku nocy, by wysłuchać jakiejś niedorzecznej historii dotyczącej morderstwa, które już uznał za wyjaśnione.

- Może zechce pani opowiedzieć mi to jeszcze raz, dobrze? Znaczą się, twierdzi pani, że ten wisior, co go pani zobaczyła u wuja, świadczy o niewinności Indiańca, jako że nie znalazł się w jego posiadaniu. Czy tak?

Carrie ponownie powtórzyła swoją historię. Mogła ją powtórzyć jeszcze i sto razy, jeżeli miałyby to coś załatwić, chociaż powoli jej cierpliwość zaczynała się już wyczerpywać.

- Widzi pan, to był ukochany talizman mojego męża, bo nade wszystko kochał wyścigi, a wisior był w kształcie galopującego konia. Kiedy pewnego razu go podziwiałam, Darther powiedział mi, że jest z najszczerzego złota, ale tego nie jestem pewna.

Wówczas też uderzył ją tak mocno w głowę, że aż straciła przytomność, i to tylko dlatego, że ośmieliła się dotknąć tego wisiora. Uznała jednak, że ów drobny szczegół nie zainteresowałby szeryfa.

- A teraz ten wisior ma mój wuj - wyniszczała logicznie - co oznacza, że Jonasz nikogo nie zamordował.

Czekała, by na twarzy szeryfa hrabstwa zagościł wyraz zrozumienia. Tymczasem siedząc za biurkiem, odchyliwszy się z krzesłem do tyłu, szeryf, który okazał się równie tępy, jak Carrie oceniła na pierwszy rzut oka, jedynie badawczo się jej przyglądał. Najwidoczniej należał do mężczyzn mających za nic słowa kobiet.

- Dobrze więc, jeżeli nie wierzy pan moim słowom, proszę mnie zamknąć w jednej z tych swoich cel i posłać po sędziego.

Carrie padała już ze zmęczenia, a przy tym zamartwiała się o Jonasza, nic dziwnego więc, że wreszcie straciła cierpliwość. Niewątpliwie sędzia, człowiek mądry i uczciwy, który już raz zwrócił Jonaszowi wolność, postąpi teraz tak samo.

- Bardzo mnie kusi, by tak właśnie zrobić, niech mnie diabli! - wymamrotał. - Przynajmniej miałbym problem z głową. - I zaryczał na całe gardło: - Noe, natychmiast przywlec tu swą leniwą dupę!

Szeryf zabrał Carrie do własnego domu, nie pozwalając jej zobaczyć się z Jonaszem, satysfakcjonując ją jednak wyjaśnieniem, że sędzia, który właśnie bawił z wizytą u córki zaledwie pięć mil od Currituck, w Snowden, zostanie poproszony, by zjawił się nazajutrz i wysłuchał jej opowieści.

Fanny, żona szeryfa, zdobyła się nawet na serdeczny uśmiech, gdy ujrzała gościa zjawiającego się w środku nocy.

- Panie Boże jedyny, dziecko, a tobie co się stało? Wchodź szybko do środka, zaś ty, Juliuszu Cezarze, natychmiast leć otwierać okno w dzieciennym pokoju.

Juliusz Cezar Szeryf. Carrie z trudnością powstrzymała chichot. Była tak zmęczona, że dosłownie leciała z nóg.

- Mój koń... - wyszeptała.

- Jul! Zajmij się też szybko koniem tej panienki. Wchodź dalej, kochanie. Nazywam się Fanny Smith. A ty jesteś tą kobietą, co wynajęła więźnia, prawda? Od razu powiedziałam Juliuszowi, że wcześniej czy później wynikną z tego kłopoty. A jeszcze potem powiedziałam mu...

Przemowę żony szeryfa przerwał skrzyp otwieranego okna, po którym zaraz rozległ się trzask kuchennych drzwi. Ten dom nie mógł być wiele, większy od jej własnej chaty, pomyślała Carrie, ale był idealnie czysty i wygodny. Na stole leżała Biblia, a na piecu stał imbryk. Na jego widok Carrie głośno zaburczało w brzuchu, co zawstydziło ją jeszcze bardziej. Zanim jednak zdążyła zaprotestować, Fanny Smith już nalewała jej szklanek mleka, stawiała przed nosem talerz z szynką i słodkimi ziemniakami.

- Och, nie powinnam, nie mogłabym... - oświadczyła Carrie, ale okazało się, że jednak mogła. Nie jadła przecież od tak dawna, nawet nie tknęła swojej potrawy, która do tej pory zapewne napasła brzuchy całej rodziny szopów. Nic dziwnego, że było jej tak słabo. Strach, głód... a teraz jeszcze niepewność, czy sędzia przybędzie i zechce jej wysłuchać.

Żona szeryfa dyrygowała wszystkim wokół. Kiedy Juliusz pojawił się z powrotem w domu, został natychmiast odesłany do łóżka, co też uczynił bez najmniejszego protestu. Duży kocur, noszący ślady rozlicznych walk, bez wahania został klepieniem bambosza wyproszony za drzwi. Zaraz potem Carrie została pouczona karcącym tonem, że ma szybko wypić do końca mleko i koniecznie zjeść kolejny plaster szynki. I że tak właściwie, co strzeliło jej do głowy, by przyjeżdżać do aresztu o tak późnej porze?

Nieprzytomna ze zmęczenia Carrie znów zaczęła powtarzać swą historię, tym razem przerywaną bezceremonialnymi pytaniami pulchnej, niskiej kobiety zawiniętej w bawełniany szlafrok.

- Więc on w żadnym razie nie mógł tego zrobić - zakończyła Carrie. - Ale nikt mu nie uwierzy, bo jest... to znaczy, jego matka była Indianką, a ojciec... nie jestem pewna, ale zdaje się, że był jankeskim żołnierzem.

- Jest mieszańcem, jak to mawiają. Jakby jego krew nie była równie czerwona, co i wszystkich wokół. A przecież każdy z nas to jakiś mieszaniec. Ja pochodzę z rodziny szkocko-irlandzkiej, a Juliusz od strony matki wywodzi się od Anglików, za to jego papa urodził się na Ponurych Bagnach. Ludzie żyją tam z polowania, łowienia ryb i pędzenia samogonu. I nie sposób powiedzieć, kto naprawdę jest kim, bo w owych stronach wszyscy są wymieszani, jako że rozmaite nacje i rasy żyją pospołu na tych mokradłach, zazwyczaj ukrywając się przed prawem.

Carrie zaczęły opadać powieki, ledwo trzymała się na krześle. Jej gospodyni szczęśliwie to zauważyła i poprowadziła ją do maleńkiego pokoju, w którym było jedynie wąskie łóżko i niewielka umywalnia.

- Ot, pokój naszej córki. Zmarła biedactwo na dyfteryt, gdy miała ledwo pięć lat, świeć Panie na jej duszę. To zupełnie załamało Jula. Od tamtej pory stał się całkiem innym człowiekiem. Proszę, dziecko, masz tu jedną z moich koszul. Zapewne się w niej utopisz, lecz lepsze to niż spanie w ubraniu. A teraz kładź się do łóżka, bo jutro zbudzę cię z samego rana, byś mogła się zobaczyć ze swoim kawalerem.

Kilka minut później Fanny poczęstowała solidnym kuksańcem męża, by zniechęcić go do chrapania. Szeryf Smith natychmiast otworzył oczy, dławiąc się i przeklinając pod nosem, a jego żona, jakby właśnie znajdowali się w połowie towarzyskiej pogawędki, oznajmiła radośnie:

- Nie wiem, czy ów chłopiec to zrobił, czy też nie, ale cieszę się, żeś miał na tyle rozumu, by zabrać do nas to dziecko. Biedula zamartwia się o niego na śmierć.

- Też mi chłopiec, niech to diabli! Gdyby ten mieszaniec miał więcej rozumu, nigdy nie przyszłoby mu do głowy...

- Zamilknij natychmiast, Juliuszu Cezarze Smisie! Nie masz pojęcia, czy ten chłopiec popełnił jakikolwiek niecny czyn, więc nie zachowuj się, jakbyś był sędzią, przysięgłym i katem zlepionym w jedno.

- Hm, idź wreszcie spać, kobieto!

- A wysłałeś Noego do Snowden, by sprowadził sędziego?

- Tak jest, jasnie pani, bez zwłoki. Czy teraz więc mogę już spokojnie zasnąć?

- To bardzo ładna dziewczyna, choć po prawdzie w tej chwili wygląda, jakby ktoś przeciągnął ją przez wyżymaczkę.

W odpowiedzi dobiegło ją głośnie chrapanie i Fanny Smith uśmiechnęła się w ciemnościach. Ludzie mogli myśleć, że jej mąż był twardym, mrukliwym człowiekiem, ona jednak знаła go lepiej niż własne odbicie w lustrze. W swojej pracy natykał się na rozmaite łajdactwa i wywarły one wpływ na jego zachowanie, ale w głębi duszy był uczciwym i ciepłym człowiekiem.

- Koniecznie zjedz jeszcze trochę jajek, dziecko - zarządziła Fanny Smith. - Sędzia Powell i tak nie zjawi się tu szybko. Na samą drogę zejdzie mu co najmniej godzina, a zaręczam, że nie wyjedzie z domu Elli Mae bez solidnego śniadania.

Było już po wpół do dziewiątej, a przecież Carrie zamierzała wtargnąć do budynku sądu zaraz po jego otwarciu i zażądać widzenia z Jonaszem.

- Jaki on jest? To znaczy ten sędzia? - spytała z niepokojem.

- Uczciwy. Zawsze każdego wysłucha, przemyśli sprawę i dopiero potem rozsądzi. Jeśli uzna, że twojemu kawalerowi nic nie można zarzucić, najpewniej załatwi sprawę od ręki. Masz szczęście, że jest tak blisko, bo w innym razie musiałabyś czekać na posłuchanie przez wiele tygodni.

Carrie zerwała się od stołu.

- Czy sądzi pani, że szeryf pozwoli mi się z nim zobaczyć? To znaczy z Jonaszem. Bo trzeba... bo przecież ktoś powinien...

- Na Boga, dziecko, mnie nie musisz tego tłumaczyć.

- Starsza kobieta spojrzała znacząco na białe stopy Carrie.

- Zapewne zapomniałaś przytroczyć buty do siodła?

- Nie mam nawet siodła. Tak się uwijałam, by jak najspieszniej wyjechać...To znaczy gdy tylko zrozumiałam, co się stało, uznałam, że muszę się zjawić tu jak najszybciej i wszystko wyjaśnić.

Fanny wyszła z izby, bo po chwili powrócić ze szczotką do włosów w rękę.

- Proszę, zrób z niej użytek. Przecież chcesz wyglądać jak najlepiej przed swoim kawalerem. Szkoda, że mam tak duże stopy, bo pożyczylabym ci buty.

Carrie uczesała włosy najstaranniej, jak mogła, a potem żona szeryfa przyniosła jej obramowany na niebiesko szal.

- Zarzuć go na szyję, bo pięknie podkreśli kolor twych oczu.

Gdy Carrie wreszcie rzuciła się w stronę drzwi, Fanny Smith wręczyła jej przykryty serwetką koszyk pełen gorących placków suto okraszonych masłem.

- Weź to dla niego i powiedz, że za chwilę prześlę mu przez Noego resztę śniadania. O ile Noe wszystkiego wcześniej nie zeżre - dorzuciła pod nosem. - Och, ten chłopak! Gdyby nie był mym siostrzeńcem...

- No cóż, nie będę ukrywać, że z tą sprawą wiążą się poważne komplikacje, bowiem zbrodnia została popełniona poza granicami stanu - oznajmił sędzia, dumając głęboko nad przedstawioną przez Carrie opowieścią. Mimo wymiętego surduta i skromnej postawy wywarł na niej niezwykle wrażenie swą inteligencją wyzierającą z oczu.

Wcześniej Carrie bardzo chciała się zobaczyć z Jonaszem, ale on nie chciał jej widzieć, czekała więc niecierpliwie na sędziego, by złapać go za rękaw, gdy tylko wejdzie do sądu.

- Pamiętam tego pani kawalera - oznajmił sędzia, w zamyśleniu kiwając głową.

Jej kawalera. Czemu wszyscy mówili o nim w ten sposób? Czyżby jej uczucia były aż tak oczywiste? I czy to skomplikuje sprawę? Czy sędzia nie pomyśli, że Jonasz zabił Darthera, by zabrać mu żonę?

- To przyjaciel, a nie mój kawaler.

- Taaak. W każdym razie musi pani jedno zrozumieć. Moje kompetencje w tej sprawie nie są jednoznaczne, bo zbrodnia została popełniona w Wirginii. Chciałbym jednak zaznaczyć, że w czasie naszego pierwszego spotkania postawa tego młodego człowieka wywarła na mnie bardzo korzystne wrażenie. Poza tym skądinąd mi wiadomo, że cieszy się on doskonałą reputacją wśród wszystkich, którzy mieli z nim do czynienia, a przede wszystkim, oczywiście, wśród hodowców koni. Niemniej nie pozostaje bez znaczenia...

Carrie kręciła się niespokojnie na krześle, tymczasem sędzia znów zagłębił się w rozmyślaniach. Po kilku minutach milczenia i kiwania głową, zapytał w końcu:

- A więc twierdzi pani, że niejaki Vånder z Hickory jest pani wujem? I ma tam sklep?

W odpowiedzi Carrie przedstawiła mu pokrótce historię własnego życia, stwierdzając na koniec:

- Jak więc pan widzi, oboje sądzimy, że jest moim krewnym, chociaż żadne z nas nie ma pewności w tej sprawie. - Osobiście Carrie już nie wierzyła, że Henry Vånder był jej wujem. - Tak czy owak sprowadził mnie do siebie, zapewnił strawę i dach nad głową, gdy nie miałam dokąd iść, a to już o czymś świadczy.

Carrie nie uznała za stosowne dodać, że przy okazji ten człowiek kazał jej harować do upadłego, że ta strawa była głodowa, zaś dach nad głową sprowadzał się do prowizorycznego posłania w pakamerze. Nie przyznała też, że Vånder sprzedał ją za długi Adamsowi. Bała się, że gdy to wyzna, nie przysłuży się Jonaszowi, bowiem sędzia wówczas uzna, iż Carrie oczernia swego wuja z mściwości i poczucia krzywdy.

- Szkoda, że nie wydarzyło się to wszystko u nas, w Karolinie Północnej. W tej sytuacji mam w pewnym sensie związane ręce.

Carrie poczuła wzbierające łzy. Miała ochotę złapać sędziego za klapy surduta i wytrząść z niego wszystkie kości, ale na szczęście zdołała się pohamować.

- Ale przecież Darther, to znaczy mój zmarły mąż, mieszkał w Karolinie, tak samo jak Jonasz. Gdy zaś po raz ostatni widziałam wuja, a było to zaledwie wczoraj, znajdował się mniej więcej milę od Shingle Landing, bo tam właśnie leży moja farma. A więc póki nie wróci do Wirginii, podlega pana jurysdykcji, czyż nie? W takim razie wystarczy go złapać, zanim wróci do domu!

- Wszystko, co mogę w tej chwili obiecać, to że wnikliwie zbadam tę sprawę. Natomiast rozumie pani, że ten... Longshadow będzie musiał pozostać pod kluczem, dopóki nie poznam więcej szczegółów.

Carrie nie łudziła się, że natychmiast wyciągnie Jonasza z aresztu; mimo to jej serce stało się ciężkie jak ołów. Sędzia będzie teraz stukał w palce, a tymczasem wuj Henry wróci do domu, a potem szeryf z Wirginii zabierze Jonasza i Carrie już nigdy nie zobaczy go na oczy. Czubek jej nosa poczerwieniał gwałtownie, a oczy napełniły się łzami, chociaż obiecywała sobie, że bez względu na wszystko się nie popłacze.

- Ależ to... to niesprawiedliwe!

Powolnym ruchem drobny mężczyzna w wymiętym surducie wyjął chusteczkę i wydmuchał nos.

- Nie widzę powodu do rozpacz, młoda damo. Tak się składa, że znam kilka osób w Wirginii. I, bez obaw, niezwłocznie zajmę się tą sprawą. Jeżeli tylko okaże się, że pani kawaler jest niewinny, natychmiast, go pani zwrócę, jednak do tego czasu.

Ocierając oczy skrajem pożyczonego szala, Carrie taksowała wzrokiem szacownego Aleksandra Hamiltona Powella. Przy swoim niewielkim wzroście nie miała wiele doświadczenia w taksowaniu kogokolwiek wzrokiem, jednak sędzia wciąż jeszcze nie podniósł się z krzesła, co dawało jej pewną przewagę.



- Henry... - Już nie mogła się zdobyć, by nazywać go wujem. - Henry najprawdopodobniej jest wciąż na mojej farmie i zagarnia, co może, bo uznał, że po śmierci Darthera wszystko należy do niego. I proszę pamiętać, co powiedziałam. Vånder miał przy sobie wisior już wczoraj, gdy przyjechał, a Darther nigdy dobrowolnie by go nie oddał. Proszę tylko dobrze to zapamiętać.

Gdyby nie wydawało się jej to tak nieprawdopodobne, uznałaby, że w oczach sędziego dojrzała błysk rozbawienia. Ale przecież to nie miało sensu. Miała jeszcze w zanadrzu kilka kolejnych przykazań dla sędziego, nie zdążyła ich jednak wygłosić, bo do sali żwawo wkroczył Juliusz Cezar Szeryf, mamrocząc pod nosem coś na temat przeklętych kóz.

- Dzień dobry, panie sędzio. Czy ta dziewczyna już powiedziała panu, co miała do powiedzenia?

- Tak jest. I w związku z tym chciałbym cię prosić o osobistą przysługę, Juliuszu. Pozwól jej, zanim wyjedzie, zobaczyć się z więźniem.

- Ja nigdzie nie wyjeżdżam! - oświadczyła stanowczo Carrie.

- Noe! - wrzasnął szeryf, w ogóle nie słuchając jej słów. Kiedy wyrostek, pełniący rolę więziennego dozorczy i nieoficjalnego zastępcy szeryfa, z człapaniem pojawił się w drzwiach, Smith rzucił ostro: - Zaprowadź panią Adams do więźnia. - Po czym zwrócił się w stronę sędziego i wyjaśnił: - Teraz mamy tu tylko jednego aresztanta, bo w okolicy panował spokój, ale właśnie coś się zaczęło dziać. Ta wdowa, co to mieszka przy końcu drogi, przed chwilą doniosła, że skradziono jej kozę.

Carrie przyglądała włosy i spódnice, oblizwała wargi. Żałowała, że nie włożyła swojej najlepszej sukienki, ale przecież tym też mogła wzbudzić podejrzania Henry'ego. Ale jakie to miało znaczenie? Liczyło się tylko to, by zdołała wyciągnąć Jonasza z tej nędznej nory. I by wreszcie mógł znaleźć się tam, gdzie jego miejsce.

U jej boku.

## ROZDZIAŁ SZESNASTY

- Zabierz ją stąd.

Te szorstkie słowa ugodziły ją prosto w serce niczym błyskawica rozszczepiająca na pół sosnę.

- Jonaszu, nie! Proszę. Przyjechałam, żeby ci pomóc - błagała Carrie.

Kiedy jednak wciąż stał zwrócony do niej plecami i nie chciał spojrzeć jej w oczy, poczuła, jak dłonie zwijają się jej w pięści.

- Do stu diabłów! Jonaszu Longshadow, przestań wreszcie zachowywać się jak uparty muł i zacznij słuchać, co do ciebie mówię! Czy doprawdy zamierzasz spędzić resztę życia w takim nędznym miejscu?

Carrie czekała, a on wciąż stał odwrócony plecami na szeroko rozstawionych nogach, z ramionami skrzyżowanymi na piersiach. Uparty jak najgorszy osioł.

- No dobrze, oboje wiemy, że to mało prawdopodobne - przyznała szybko, głowiąc się przy tym, jak przełamać jego milczenie. - Ludzie nie siedzą całe życie w areszcie. W więzieniu, owszem, ale nie w areszcie, bo to okropne, ale tylko chwilowe miejsce zatrzymania.

O Boże! I to niby miało go podnieść na duchu i zagrzać do walki? Gdyby jakimś cudownym zrządzeniem losu ten mały, szurkowaty sędzia ruszył tyłek i zrobił, jak mu mówiła, Jonasz szybko byłby znów wolnym człowiekiem. Jeżeli jednak zostanie uznany winnym morderstwa, wówczas go powieszają i... Och, dobry panie Jezu!

- I tak musisz wysłuchać, co mam ci do powiedzenia - oświadczyła, chwytając za kraty i całkiem ignorując Noego, który właśnie wszedł, oparł się o ścianę i zaczął ogryzać brudny paznokieć równie brudnego kciuka.

- Henry, to znaczy człowiek, którego kiedyś uważałam za swojego wuja, przyjechał do mnie wczoraj, żeby dokładnie obejrzeć dom i farmę, bo jest przekonany, że teraz, po śmierci Darthera, może wszystko, co posiadam, uznać

za swoje. Wprost mi to powiedział. Oznajmił, że taka dziewczyna jak ja potrzebuje kogoś, kto zajmie się jej interesami i sam sobie wyznaczył tę rolę.

- Panno Carrie...

- Cicho, Noe! - rzuciła natychmiast.

- Zabierz ją stąd, Noe - zarządził Jonasz, nadal się nie odwracając.

- Nigdzie się nie ruszę, póki nie wysłuchasz wszystkiego, co mam ci do powiedzenia. Bo widzisz, Jonaszu, to on go zabił! Henry! Jestem o tym święcie przekonana, podobnie zresztą jak sędzia Powell. - Trochę przesadziła z sędzią, ale musiała dać Jonaszowi nadzieję.

- Wracaj do domu i zajmij się chłopcami.

- Chłopcy są u Emmy i mają się świetnie. To o ciebie teraz się zamartwiam.

- Wcale nie musisz, umiem zadbać o własne sprawy. No, teraz to już było chojractwo w naczystszej formie.

Pokrzepiona jednak, że Jonasz w ogóle się do niej odezwał, przycisnęła twarz do zimnych, metalowych prętów.

- Wiem, że umiesz. I gdy tylko stąd cię wypuszczą, możesz iść swoją drogą, ja zaś pójdę swoją, jednak póki siedzisz tu zamknięty za coś, czego nie zrobiłeś, nie mogę się nie martwić, choćbym bardzo chciała.

- Panno Carrie... - wtrącił znów Noe, z lubością drapiąc się po brzuchu. - Panno Carrie, może powinna pani...

- Cicho Noe! Najlepiej idź stąd i zostaw nas samych.

- Noe, masz tu zostać! - zażądał Jonasz, odwracając się gwałtownie. Jego szare oczy płonęły dziką furją. Do Carrie natomiast powiedział: - Nie chcę cię tu widzieć. Czy możesz to wreszcie to zrozumieć? Już raz byłem w tym miejscu, i w dużo gorszych, i jakoś przeżyłem.

Oboje jednak wiedzieli, że tej sprawy Jonasz może nie przeżyć.

- Do stu diabłów, to pioruńsko źle się składa, bo właśnie tu jestem i nie zamierzam się stąd ruszać!

Lepiej już przeklinać, niż płakać.

W Jonaszu nagle stopniało serce. Spojrzał jej w twarz oczami, które widziały już wiele cierpienia i bólu, i nie spodziewały się ujrzeć w przyszłości nic bardziej obiecującego.

- Carrie, chcę żebyś wróciła do domu i kazała Nate'owi sprowadzić do siebie moje konie. Chłopiec nie zdoła zrobić tego sam, więc poproś jednego z mężczyzn, którzy przyszedli na pogrzeb, o pomoc. Chcę też, żebyś jak najszybciej sprzedała moją ziemię, a za otrzymane pieniądze wynajęła ludzi do pracy na swoich polach. Musisz też rozbudować dom, bo chłopcy będą potrzebowali własnego pokoju. Poza tym...

- Milcz! - Gdy słuchała tych słów, miała wrażenie, że zaraz pęknie jej serce. - Jeżeli masz już dość tych okolic, a doskonale rozumiem, że tak może być, sam zabieraj się za sprzedaż swojej ziemi! - Teraz już wrzeszczała. A przecież nigdy nie wrzeszczała, chyba że musiała się użerać z tym swoim pioruńskim mułem

- Może jednak raczysz mnie wysłuchać?! - Jonasz też zaczął krzyczeć.

- Panno Carrie...

- Cicho bądź, Noe! Nie widzisz że rozmawiam z Jonaszem? - Zirytowana do ostatnich granic Carrie jednak odwróciła się w stronę wyrostka. - A właściwie czego ty ode mnie chcesz?

- Ja, hm... a właściwie znaczy się pani Fanny kazała mi powiedzieć... hm...

- Co takiego?!

- Że może pani u niej mieszkać i żywić się aż do czasu egze... znaczy się procesu.

Zanim zdążyła cokolwiek odpowiedzieć, Jonasz przeszedł przez celę i nakrył dłonie Carrie swoimi dłońmi. Jej ręce były zimne jak lód, jego - suche i ciepłe.

- Posłuchaj mnie uważnie. Nie chcę, żebyś tu tkwiła. Oboje dobrze wiemy, co Noe zamierzał powiedzieć. I rzeczywiście tak może się zdarzyć, a wtedy chciałbym, żebyś była jak najdalej od tego miejsca. Nie chcę, byś na to patrzyła.

Chcę, żebyś pamiętała jedynie te chwile, gdy pracowaliśmy razem na twoim polu. A gdy już wyrosnie na nim bujne, zielone zboże, chcę, byś pomyślała o tych wszystkich słowach, których nie wypowiedzieliśmy, o tych wszystkich uśmiechach, które tłumiliśmy, choć tliły się w naszych oczach. Chcę, żebyś pamiętała...

- Przestań. - Gdyby wyciągnął ręce przez kraty, chwycił ją za gardło i zaczął z całej siły dusić, nie bolałoby to bardziej niż jego słowa. - Ty... ja... - urwała i uśmiechając się blado, wyciągnęła z jego dłoni jedną rękę, by otrzeć z oczu łzy. - Teraz już wiem, czemu tak doskonale dogadywałeś się z tym pioruńskim mułem. Obaj jesteście równie durni i uparci.

- Nie płacz, *carina* - wyszeptał Jonasz.

I, oczywiście, gdy tylko to powiedział, Carrie zanosła się niepohamowanym szlochem, a potem zaczęła krzyczeć, że cegła po cegle rozniesie ten żaloszny areszt, jeżeli pioruński Juliusz Cezar natychmiast nie znajdzie przeklętego złodzieja kozy, nie zjawi się tu ze swoimi kluczami i bez wahania nie otworzy celi.

Widząc, co się dzieje, Noe od razu dał nogę, a Jonasz robił, co mógł, by zza krat jakoś ją ukoić. Głaskał jej włosy, jej twarz, szeptał czułe słowa po hiszpańsku i w języku Kiowa. Słowa, których przecież nie mogła zrozumieć.

I tak było lepiej, bo Jonasz szybko złapał się na tym, że obiecuje dużo więcej, niż najprawdopodobniej będzie w stanie spełnić.

Szeryf nawet nie próbował ukryć niezadowolenia, gdy ujrzał Carrie za stołem w kuchni. Obierała ziemniaki i żywo dyskutowała z jego żoną. Lecz Carrie nie zwróciła na to najmniejszej uwagi. Nie po raz pierwszy musiała przebywać w domu, w którym była nieproszonym gościem. Nie mogła każdego rana i wieczora pokonywać trzynastu mil dzielących jej farmę od aresztu, a przysięgła sobie w duchu, że będzie blisko Jonasza, dopóki on nie odzyska wolności, nawet jeśli miałyby spać na stopniach sądu razem ze Spotem, tym

zapchlonym kundlem Noego. A jeżeli szeryfa denerwowała jej obecność, to tym lepiej. Może szybciej zabierze się do ścigania prawdziwego mordercy.

Nie omieszkała też bez wahania przypomnieć mu o obowiązkach, co oczywiście nie polepszyło jego humoru.

- Henry Vånder może wciąż jeszcze przebywać w tym hrabstwie, szeryfie. Będzie chciał spakować wszystko, co zdoła ze sobą zabrać, tym bardziej że Darther, to jest mój mąż, miał wiele pięknych ubrań... - Urwała i zaczerwieniła się gwałtownie, gdy starszy mężczyzna zaczął powoli wodzić wzrokiem po pełnej łąt i cer niebieskiej popelinie, spłowiejącej do nieokreślonego odcienia szarości.

Carrie szybko schowała bosc stopy pod spódnice.

- Cóż, on wiele podróżował, musiał więc nosić eleganckie stroje. Ja natomiast rzadko ruszam się z miejsca, bo jestem domatorką. Nie było więc sensu, bym sprawiała sobie wymyślne suknie.

- Ja natomiast nie mam dość ludzi, by uganiać się po całym hrabstwie za jakimś człowiekiem, który być może złamał jedno z praw Wirginii.

- Być może...! - Na wpół obrany kartofel stoczył się ze stołu na ziemię, lecz Carrie nie zwróciła na to uwagi. - Złamał jedno z praw?! Henry Vånder zabił mojego męża, zamordował go z zimną krwią, a potem ukrał jego talizman. Niech mi pan nie próbuje wmówić, szeryfie, że morderstwo nie jest przestępstwem w Karolinie Północnej!

- Słuchaj no, kobieto, radzę ci trzymać gębę na kłódkę. Nigdy nie mówiłem...

- Juliuszu Cezarze Smith, miarkuj swoje słowa.

- Więc jeśli pan wie, że morderca jest na wolności, a za kratkami siedzi niewinny człowiek, to czemu wciąż pan tu jeszcze stoi? Dlaczego pan go nie ściga?

Szeryf przewrócił niecierpliwie oczami.

- Wciąż tu jeszcze stoję, pani Adams, bo tuż pod moim nosem zostało popełnione przestępstwo, którym muszę się zająć bez chwili zwłoki.

- Wielki Boże, a co tym razem? - zainteresowała się jego żona.

- Ktoś ukradł kozę wdowie Gilbert, a ta upiera się, że musi koniecznie pić kozie mleko, bo bez tego dostaje skrętu kiszek - oznajmił i mamrocząc coś gniewnie pod nosem, poszedł do sypialni, wrócił z bronią u pasa, po czym bez jednego słowa wypadł z domu.

Carrie miała ochotę coś kopnąć, lecz tylko zawzięcie i gniewnie obierała ziemniaki. Fanny nałożyła kawałki wołowej pieczeni z ubiegłego dnia na ciasto i wsunęła danie do piekarnika. Carrie zdawało się, że czas upływał z prędkością zdychającego ślimaka. Najchętniej wkroczyłaby do więzienia i pod groźbą broni zmusiła tego zasmarowanego dozorcę, by natychmiast wpuścił ją do celi Jonasza.

Chciała wytrząść z tego upartego, szarookiego Indianina wszystkie kości, a potem trzymać go w ramionach, póki ten koszmar nie dobiegnie końca. A raczej chciała posunąć się o wiele dalej, bo kto wie, jak wiele jeszcze czasu im zostało?

Chciała, żeby ten pioruński szeryf szybko znalazł przekłętą złodzieja kozy, a potem aresztował Henry'ego, zanim ten opuści Karolinę. Granica stanu przebiegała zaledwie kilka mil od Shingle Landing, zaś Hickory leżało mniej więcej dwa razy dalej. Chciała, żeby sędzia gruntownie przemyślał sprawę i zdecydował się rozciągnąć swoją władzę na teren południowej Wirginii.

Chciała... sama już nie wiedziała czego. Jeszcze nigdy w życiu nie czuła się tak bezsilna, nawet wtedy, gdy w środku nocy musiała uciekać z rodzinnego domu. Bo była wówczas zbyt mała, by pojąć, co się wokół działo.

Teraz pojmowała wszystko aż nazbyt dobrze.

Zanim Fanny Smith nałożyła na talerz kopiastrą porcję gorącego placka z mięsem, gotowanych ziemniaków i pikli, miała żołądek ściśnięty ze zdenerwowania, lecz żona szeryfa nakryła talerz serwetką i wręczyła Carrie ze słowami:

- Proszę, dziecko, zanieś kolację swojemu kawalerowi, i koniecznie podaj mu ją osobiście, bo jeśli Noe dorwie się pierwszy do tego jedzenia, to niewiele z niego zostanie.

Carrie chwyciła talerz oraz dzbanek z mlekiem i wybiegła z domu. Niemal przeżyła szok, gdy ujrzała, że świat wokół wciąż wyglądał tak samo. Jak to możliwe, by życie wokół płynęło swym zwykłym nurtem. Jak dzieci mogły się bawić, a mężczyźni pracować, gdy zaledwie sto metrów stąd, w areszcie, siedział człowiek niesłusznie oskarżony o zbrodnię, za którą mógł zapłacić życiem?

W drzwiach aresztu zatrzymał ją Noe i usiłował odebrać talerz, twierdząc, że ma obowiązek sprawdzić, czy ktoś nie przemyca w jedzeniu broni, mogącej niebezpiecznemu przestępcy ułatwić ucieczkę. Na szczęście zaraz zjawiała się żona szeryfa z drugim talerzem i w ten sposób w porę zapobiegła awanturze.

- Zapomniałam o chlebie. A ty, Noe Gibbsie, nawet sobie nie wyobrażaj, że ukradniesz temu kawalerowi kolację, a mnie okryjesz wstydem, podsuwając mu nędzne resztki, których nawet pies by nie tknął. - Spojrzała gniewnym wzrokiem na wyrostka, po czym zwróciła się w stronę Carrie. - To syn mojej rodzonej siostry. Gdyby kto zobaczył, jak chomikuje jedzenie, pomyślałby, że chłopak umiera z głodu. Jakbym zajrzała do tamtej szafki, pewnie znalazłabym dania jeszcze sprzed tygodnia. A teraz przesuń się, chłopcze. Pani Carrie musi zanieść kolację swojemu kawalerowi. Ty zaś, jeśli jesteś tak niemożebnie głodny, chodź ze mną do domu, to też ci coś wyszykuję. A resztkami będziesz mógł nakarmić Spota.

Chłopak aż pokraśniał z radości, zaraz jednak zmarkotniał.

- Nie mogę się stąd ruszyć, ciociu Fanny, i zostawić więźnia bez dozoru. Wuj Juliusz kazał mi wszystkiego pilnować.

- A czyż ten nieszczęśnik nie jest trzymany w zamkniętej celi?

- Oczywiście rzecz.

- W takim razie niech Spot stanie na straży.



- Spot... on ci nie jest najlepszy do stania na straży.

- Niech w takim razie siedzi na straży! Słuchaj, Noe, w kuchni będziesz mógł przystawić krzesło do okna i wszystko bacznie obserwować, i jeśli tylko zobaczysz coś podejrzanego, pożyczę ci strzelbę Juliusza i natychmiast ruszysz do akcji.

Obładowana talerzami i dzbankiem Carrie wbijała pełen podziwu i niedowierzania wzrok w drobną, siwowłosą kobietę w falbaniastym fartuchu na schludnej, perkalowej sukience. Było pewne, że hrabstwo Currituck wybrało na szeryfa niewłaściwego członka rodziny Smithów. Fanny bez trudu zapędziłaby swojego męża w kozi róg.

Jonasz już na nią czekał, a na widok nadziei w jego oczach coś ścisnęło ją za serce. Jonasz spojrzał jej w twarz, potem na trzymany w ręku talerz i znów na twarz. Carrie nagle poczuła się speszona. Zanim tu przyszła wzięła długą kąpiel, bo choć dom Smithów był niewielki, mieli w nim najprawdziwszą, porcelanową wannę. Nawet pani Robinson nie posiadała czegoś tak wspaniałego.

- Wyglądasz na zmęczoną - tak brzmiały pierwsze słowa Jonasza. A nie: „Czy jestem już wolny? Czy szeryf zaczął ścigać mordercę? Czy sędzia uwierzył w twoją historię?”.

- Bo jestem. Prawdę mówiąc, nie spałam wiele ostatniej nocy, ani też poprzedniej.

Fanny otworzyła drzwi celi, podała więźniowi kolację, znów zamknęła celę i poszła sobie. Bardzo rozczarowana, że nie może wejść do Jonasza, Carrie przytargała krzesło z biura szeryfa i usiadła przed kratami. Przyglądała włosy, obciągnęła sukienkę, by ukryć bosc stopy, po czym powiedziała:

- Jedz, proszę, póki ciepłe.

Jonasz unikał jej wzroku. Carrie doskonale zdawała sobie sprawę, że nie chciał, by oglądała go w celi.

- Kiedy zobaczyłam cię po raz pierwszy, wyglądałeś dużo gorzej niż teraz - przypomniała mu. Ta uwaga wzbudziła jego zainteresowanie. Spojrzał

gniewnym wzrokiem. - Chcę jedynie przez to powiedzieć, że nie musisz się wstydzić - dodała szybko.

Jonasz starał się zignorować jej obecność i apetyczny zapach mięsnej zapiekanki, w końcu jednak się poddał. Wysoko cenił własną dumę, zdawał sobie jednak sprawę, że bywała pułapką. Wbił więc łyżkę, bo innych sztuczków nie wolno było mieć aresztantom, w kawałek doskonałej, duszonej wołowiny. Bez względu na to, co go czeka w najbliższej przyszłości, będzie potrzebować dużo sił.

- Jonaszu?

Miał zamiar nie reagować, ale w końcu musiał się przełamać.

- Co?

- Wiem, że nie chcesz mnie tu widzieć - powiedziała pełna nadziei, że natychmiast zaprzeczy.

Lecz on wzruszył jedynie ramionami i odgryzł duży kęs chleba. Pamiętając dobrze, jak nędzne resztki dostawał tu poprzednim razem, wiedział, że powinien być jej wdzięczny, jednak czuł się zbyt zraniony. Cierpiał bardziej niż wtedy, gdy żelazne obręcze wżerały mu się w ciało, bo Carrie oglądała go, jak siedział w klatce niczym dzikie zwierzę.

- Chcę, żebyś wyjechała.

- Wiesz, mnie pobyt w tym miejscu też nie sprawia przyjemności. Gdybym wiedziała, że zostanę tu na dłużej, ubrałabym się nieco przyzwoiciej.

Jonasz ledwo widocznie wzruszył ramionami. Tylko jeszcze takie zachowanie mogło podtrzymać wąty płomyczek jego dumy, póki zupełnie nie zgaśnie.

- Do stu piorunów. Niech mnie diabli porwą, jeśli nie jesteś najbardziej upartym stworzeniem chodzącym na dwóch nogach po tym bożym świecie. Ja tego wcale nie robię dla ciebie, zrozum to wreszcie!

- Doprawdy? - zapytał beznamiętnym głosem, nie wykazując najmniejszego zainteresowania.

- Robię to dla samej siebie! Bo jeżeli ciebie powieszą za zamordowanie Darthera, Henry będzie wolny. A potem przysięgnie, że jest moim wujem i zgłosi pretensje do domu i ziemi, do wszystkiego, co posiadam. Nie mam najmniejszych wątpliwości, że do tego właśnie posunie się ten parszywy łotr. - Carrie przysunęła krzesło bliżej i zacisnęła mocno szczęki w geście, który zdążył tak dobrze poznać. Teraz znów była silną, niezłomną kobietą. - Posłuchaj mnie uważnie, Jonaszu Longshadow. Nie mam najmniejszego zamiaru rezygnować z pierwszego prawdziwego domu, jaki mam od czasu, gdy jacyś przekłeci Indianie wymordowali mi rodzinę i niemal wszystkich mieszkańców osady.

- To byli Siuksowie. Nie Kiowa.

- Nic mnie to nie obchodzi. Mogli być nawet Eskimosami. Nie mam czasu na rozpamiętywanie przeszłości. Wszystko sprowadza się do tego, że jeśli nie wyciągnę cię z tej celi i nie wpakuję na twoje miejsce Henry'ego Vandera, on zabierze mi wszystko, na co tak ciężko pracowałam. To ja wchodziłam na dach i przybijałam te wszystkie łaty, gdy mi się znudziło wycieranie podłogi po każdym najmniejszym deszczu. Darthera nie obchodziło, czy kominek dymi, czy nie i czy można się przy nim ogrzać, ponieważ zimą rzadko bywał w domu. Od stycznia do kwietnia właściwie go nie widywałam, bo wtedy trwał sezon wyścigowy. Później zresztą też bywał rzadkim gościem, bo jeździł na gonitwy wałachów, walki kogutów i tym podobne bzdury. Gdy zaś chodzi o pole...

Carrie urwała i ciężko westchnęła. Jonasz z trudem powstrzymywał się, by natychmiast nie chwycić jej w objęcia poprzez kraty, gdyby jednak poddał się temu pragnieniu, Carrie odkryłaby jego największą słabość, a to ani jej, ani jemu nie wyszłoby na zdrowie.

- Jeżeli się nie mylisz co do wuja - zaczął powoli i z rozważą - to nie możesz wrócić do domu. Nie możesz nawet jechać do swojej przyjaciółki, bo tam też bez trudu cię odnajdzie.

- Nie myślę się! Zapewniam cię, że się nie myślę. Jestem o tym przekonana. Jonaszu, co mam teraz zrobić? Musimy cię stąd wydostać.

Jonasz odsunął talerz z niedokończoną kolacją. Nagle stracił cały apetyt.

- Vander nie ma powodu, by krzywdzić Emmę czy chłopców. Nie stanowią dla niego żadnego zagrożenia, a poza tym ten człowiek nie wydał mi się szczególnie bezwzględny, ale raczej głupi i chciwy.

- Jest zdradliwy jak wąż. Często bił mnie pasem, gdy nie pracowałam dość szybko. Darther używał jedynie własnych pięści.

Jonasz poczuł, że ogarnia go lodowaty gniew, dobrze jednak wiedział, że w tej chwili emocje nie mogą wziąć góry nad rozsądkiem. Jeden człowiek już zapłacił za swe okrucieństwo. Drugi wkrótce zapłaci. Biali, żółci, czerwonoskórzy, czarni - wśród wszystkich ras było tyle samo dobrych ludzi, co skończonych drani. Tego nauczył się w czasie pracy na morzu, gdy przebywał z ludźmi wszelkiego pochodzenia i narodowości.

Ten szeryf na przykład wcale nie był takim durniem i gburem, na jakiego wyglądał. Był jedynie leniwy i ociężały. Sędziego natomiast plasował nieco poniżej porucznika Pratta, ale zdecydowanie wyżej niż szeryfa. Gdy zaś chodzi o młodocianego dozorcę, który kradł mu jedzenie w czasie poprzedniego uwięzienia, to w ogóle o nim nie myślał.

Carrie była dla niego najslabszym ogniwem w całym ciągu wydarzeń, które doprowadziły do obecnej sytuacji. Widząc krzywdę i niesprawiedliwość, oczekiwała natychmiastowego naprawienia zła. A przecież jej własne życiowe doświadczenia powinny ją wyleczyć z idealizmu. Nawet on, Metys, nieślubne dziecko chowane w rezerwacie, o wiele lepiej znał reguły rządzące światem białych ludzi. Na dodatek po pobycie w dwóch więzieniach na dwóch krańcach kraju i po powtórny aresztowaniu za przestępstwo, którego nie popełnił, Jonasz doskonale zdążył się zorientować, jak działają prawa i wymiar sprawiedliwości białego człowieka.

Oczywiście wiedział, że prawo nie mogło być lepsze od ludzi, którzy wcielali je w życie, i na tym właśnie polegała jego słabość. Postanowił, że poczeka jeszcze trzy dni na rezultaty działań białych ludzi, a potem postąpi zgodnie z własnymi prawami.

Tymczasem musi zająć czymś myśli Carrie, by nie znalazła się w niebezpiecznej sytuacji i by nie przeszkodziła mu w ewentualnej ucieczce.

- Pamiętam, że kiedy zobaczyłem cię po raz pierwszy, miałaś naciśnięty na głowę paskudny słomkowy kapelusz, ale i tak natychmiast zauważyłem te zaciśnięte usta i wojowniczy błysk w twych błękitnych oczach. Wtedy wcale nie byłem pewien, czy nie wolałbym zostać w zaciszu swojej bezpiecznej celi.

Carrie spuściła wzrok i palcem nogi zaczęła wodzić po szorstkiej, pełnej drzazg podłodze.

- Ach... cóż... teraz mi wstyd, gdy przypomnę sobie, co wówczas myślałam.

- Niepotrzebnie. Słyszałem, jak szeryf mówił ci, żebyś mi nigdy nie zdejmowała kajdan i natychmiast strzelała, gdybyś uznała, że zamierzam uciec.

- Nie mógłbyś uciec daleko - powiedziała cicho, przywołując bolesne wspomnienia.

- A ty nie mogłabyś mnie zastrzelić.

- Wiedziałaś, że strzelba nie jest nabita?

- Wtedy jeszcze nie. Ale byłem pewien, że nie mogłabyś jej unieść jedną ręką, nie mówiąc już o oddaniu celnego strzału.

- Nienawidziłeś mnie. I trudno cię za to winić - powiedziała żalonym tonem.

- To prawda. W tamtych dniach nienawidziłem całego świata.

- Czy dlatego ani na chwilę nie spuściłeś głowy? Ilekroć odwracałam się przez ramię, widziałam twój morderczy wzrok. Byłam pewna, że miałeś ochotę mnie zabić.

- Bałaś się?

Skinęła głową, a jej krótkie, niesforne włosy zafalowały niczym trącane wiatrem puchy wielkich ostów.

- Byłam śmiertelnie przerażona, ale żeby wynająć cię od szeryfa, musiałam pożyczyć pieniądze, a gdybym nie wykarczowała pola, nie mogłabym posiać i zebrać zboża, a wtedy nie byłabym w stanie zwrócić Emmie długu. Darther za nic w świecie nie dałby mi pieniędzy na wynajęcie kogoś do pomocy, nawet gdyby jakimś cudem znalazł się ktoś chętny do pracy na jego ziemi.

Następne kilka minut siedzieli w ciszy, lecz o dziwo; nie było to krepujące milczenie. Jonasz odłamał kawałek chleba i podał jej przez kraty. Wzięła go odruchowo i zaczęła skubać chrupiącą skórkę. Kiedy zjadła, otrzepała dłonie i oznajmiła:

- Najbardziej bałam się, że dowiesz się o strzelbie, to znaczy, że nie jest nabita.

- Więc wyrysowałaś linię wokół domu.

- Akurat na wiele by mi się to zdało, gdybyś naprawdę zamierzał mnie skrzywdzić, co?

- Nigdy nie przekroczylbym tej linii, Carrie. Nigdy nie przekroczę żadnej wyznaczonej przez ciebie linii, bez względu na to co się wydarzy.

Bez względu na to co się wydarzy. Oboje wiedzieli, co kryło się za tymi słowami.

Kolejne dwa dni wyglądały bardzo podobnie. Carrie cierpiała na widok Jonasza zamkniętego za kratami, ale w żaden sposób nie mogła tego zmienić. Więc nosiła mu jedzenie, wodę, mydło, ręczniki i modliła się, żeby prawda jak najszybciej wyszła na jaw. Do tej pory Henry Vãnder już na pewno wrócił do Wirginii. Carrie dobrze wiedziała, że skąpił pieniędzy na opłacenie kogoś do prowadzenia sklepu, ale jeszcze bardziej żałował pieniędzy, które tracił, gdy sklep był zamknięty.

Teraz z Jonaszem prowadzili długie rozmowy, bo gdy tylko popadali w milczenie, wracało zbyt wiele bolesnych wspomnień. To nieprawdopodobne, jak wiele wspomnień można zyskać w tak krótkim czasie...

- Wróć do mnie - wyszeptał Jonasz.

- Wróć? Ależ ja nie zamierzam nigdzie wyjeżdżać. Już ci to mówiłam.

- Chciałem, żebyś wróciła z miejsca, do którego odeszłaś w swoich myślach.

Carrie uśmiechnęła się łobuzersko, a w jej oczach zapłonęły żywe ogniki.

- Byłam właśnie nad strumieniem tego pierwszego ranka, gdy ty...

Jonasz wybuchnął głośnym śmiechem. Biorąc pod uwagę sytuację i ponure otoczenie, była to szokująca reakcja. Zaś chwilę później, gdy jego oczy napotkały jej wzrok, coś gwałtownie się zmieniło. Jakby powietrze stało się zbyt gęste, by nim oddychać. Jakby zaraz miała uderzyć błyskawica.

- Jonasz - wyszeptała.

Oboje stali wpatrzeni w siebie, a wszystkie dochodzące z zewnątrz dźwięki nagle przestały do nich docierać. Opadając na kolana, Carrie wsunęła ramiona przez kraty i chwyciła go za rękę. Jonasz przyciągnął ją bliżej, by oprzeć czoło na jej czole. Te kraty doprowadzały ją do szaleństwa. Carrie miała ochotę wyrwać je gołymi rękami. Chciała, żeby Jonasz natychmiast zabrał ją daleko stąd, gdzie mogliby się kochać do woli, by wreszcie ustąpiło to niepokojące pulsowanie i rozpieranie ciała. Ich usta się zetknęły, z początku nieśmiało, ale już chwilę później z zachłanną gorączkowością, wyrażającą całe ich cierpienie, tęsknotę, desperację i pragnienia.

Przede wszystkim jednak strach, że między nimi nic więcej nie będzie już się mogło wydarzyć i żal, że nie wykorzystali lepiej tego krótkiego czasu, gdy byli razem.

Jonasz zaczął wodzić rękami po jej ciele; sfrustrowany ograniczeniami narzuconymi przez żelazne kraty. Chwycił w dłonie jej piersi i poczuł, jak tężeją

pod jego palcami, wznecając w nim płomień pożądania, który tłumiał w sobie tak długo.

- Chcę się z tobą kochać, *carina*, ale nie tutaj... nie teraz - wyszeptał.

Oboje dobrze wiedzieli, że być może nigdy już nic nie będzie poza tu i teraz. Pełnym nadziei głosem Carrie rzuciła więc:

- Moglibyśmy przecież... ja mogłabym...

- Nie - odparł natychmiast, bo wiedział, że w tej chwili zrobiłaby dla niego wszystko. Zrzuciła z siebie ubranie, gdyby tylko ją poprosił, nie myśląc o wstydzie, jaki by przeżyła, gdyby ktoś inny zobaczył ją nagą. - Nie, *carina*. Nie ma żadnej możliwości, byśmy zrobili to, na co mamy ochotę, poprzez te kraty.

W jego cichym, niskim śmiechu brzmiało więcej smutku niż radości, mimo to Carrie zdołała odpowiedzieć mu uśmiechem. Szeryf wyjechał i nie było go przez cały dzień, a jego żona odciągnęła od aresztu Noego. Tak więc strzeżeni jedynie przez leniwego kundla, mieli więcej prywatności, niż mogliby sobie wymarzyć, ale niestety te kraty...

Kiedy szeryf wrócił wieczorem do domu po całym dniu intensywnej pracy, wciąż nie mógł zdecydować, czy powiedzieć uwięzionemu chłopakowi o planie, jaki opracowali wspólnie z sędzią. Tym bardziej że nie wszystkie jego elementy były ściśle w zgodzie z literą prawa.

Z literą prawa? Do diabła, zamierzali pogwałcić kilka zasad tak oczywistych, że nawet niezapisanych w prawie. Życie na granicy stanów niekiedy wymagało podobnego postępowania. Przekroczenie biurokratycznych barier często było jedynym sposobem, by szybko wymierzyć sprawiedliwość.

Szeryf skierował się do swojego biura. Przed drzwiami spał rozciągnięty Spot, a jedno z jego cienkich, długich uszu zwisało z krawędzi granitowego stopnia Kundel nawet nie drgnął, gdy Juliusz nad nim przechodził. Noe też leżał pogrążony we śnie na swej pryczy, przy której walał się opróżniony talerz i widelec. Ten chłopak rzucał się na jedzenie, jakby nazajutrz ludzkość miała z niego zrezygnować.



Szeryf nawet nie miał ochoty myśleć, jak przedstawić całą sprawę swojej żonie. Cokolwiek spróbuje zataić, ona i tak wyciągnie z niego wszystko, a potem pobiegnie do aresztu i powtórzy każde słowo więźniowi, dorzucając przy okazji sporo własnych wymysłów. Po niemal czterdziestu latach małżeństwa jego Fanny była wciąż romantyczką. Oczywiście bardzo mu to pochlebiało, ale niech to diabli, nieźle też męczyło, by sprostac wszystkim jej cudacznym oczekiwaniom.

Zmęczony i stęskniony za własnym łóżkiem, kuksańcem obudził swojego zastępcę.

- Coś się działo, gdy mnie nie było?

Chłopak skoczył na równe nogi, potknął się o własne buty, po czym wdepnął w talerz.

- Uch... nie, szeryfie... to znaczy przez cały dzień byłem u cioci Fanny, pomagałem jej, no i trochę zjadłem... A do aresztu nikt nie wchodził poza panną Carrie. Ona za to przesiedziała tu cały dzień.

Noe nie był formalnym zastępcą szeryfa, chociaż Juliusz niekiedy powierzał mu drobne obowiązki, gdy nikt inny nie chciał się ich podjąć. Młodziak był synem siostry Fanny, by więc zachować spokój w rodzinie, Juliusz dał mu posadę dozorczy w biurze, a także chłopca na posyłki. I nigdy nie żałował swojej decyzji... w każdym razie nie częściej jak trzy, może cztery razy dziennie.

- No dobrze, wracaj do łóżka, synu. Ja tu jeszcze wszystko posprawdzam i też pójdę do domu.

Noe rzucił się na pryczę wciśniętą pomiędzy kominek a szafę niegdyś przeznaczoną na broń i amunicję. Jednak przez te wszystkie lata, gdy Juliusz był tu szeryfem, broń była potrzebna jedynie do polowania i zabijania węży. On, sam od czasu do czasu przypinał do pasa kolta, by przypomnieć wszystkim wokół, że Juliusz Cezar Smith jest w pełni przygotowany do pilnowania porządku w tych stronach. I zazwyczaj rzeczywiście panował tu porządek.

Gdy szedł do aresztu, wziął ze sobą lampę. Oczywiście Noe zapomniał wyczyścić klosz i napełnić zbiorniczek.

- Och, ten chłopak - wymruczał szeryf pod nosem.

Nagle stanął jak wryty na widok kobiety leżącej na gołej podłodze i Metysa, który też leżał na podłodze za kratami celi. Oboje byli pogrążeni w głębokim śnie i trzymali się za wyciągnięte przez pręty ręce.

Szeryf zaczął przeklinać pod nosem, ale bardzo cicho, by nie obudzić śpiącej pary. To wszystko była sprawka Fanny. Ona już zdecydowała, kto był winny, a kto niewinny w tej sprawie. Sędzia i ława przysięgłych zlepione w jedno, ot, cała jego Fanny, daj jej Boże zdrowie.

## **ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY**

W domu córki, w słonecznym salonie od frontu, sędzia Powell przeglądał notatki, przygotowując się do spotkania z szeryfem hrabstwa, oskarżonym i towarzyszącą mu kobietą, wdową po denacie. Sytuacja była naprawdę bardzo zagmatwana. Sędzia zastanawiał się, którą wiadomość ma podać zainteresowanym jako pierwszą, tę dobrą, czy może złą.

Gdy zlecał zebranie informacji w tej sprawie, nie określał żadnych reguł, nie ulegało jednak wątpliwości, że trzeba będzie przymknąć oko na drobne uchybienia jurysdykcyjne. Dżentelmen, który miał wykonać to zadanie, był szeryf jednego z hrabstw, który postanowił zrezygnować z zawodu, gdy wyszły na jaw pewne nieprawidłowości w jego pracy, świetnie nadawał się do rozpoznania tego przypadku, bowiem znał doskonale środowisko hazardzistów w stanach Środkowego Wschodu. Zarówno Adams jak i Vãnder byli zamiłowanymi hazardzistami, a ich ulubionymi imprezami były podrzędne, nieformalne gonitwy.

Przed wyjazdem do Currituck sędzia zjadł lunch w towarzystwie swej świeżo zameężnej córki, Elli Mae, którą niestety trudno było nazwać biegłą w

sztuce kulinarnej. Najpierw więc dobra wiadomość, zdecydował po posiłku, dyskretnie bekając w serwetkę. Powinna złagodzić gorycz tej złej.

Carrie siedziała na krześle w przyzwoitej odległości od celi i patrzyła, jak Jonasz przebiera łyżką w talerzu pełnym kiełbasek z kapustą, które przyniosła z kuchni Fanny Smith. Stojący w drzwiach aresztu Noe natychmiast oferował się, że wyreczy ją w dostarczeniu więźniowi jedzenia, podczas gdy Spot wbijał tęskny wzrok w nakryty serwetką talerz, ale Carrie dobrze wiedziała, jak by się to skończyło.

- Jutro z samego rana pojedę do domu i zobaczę, co się tam dzieje - oznajmiła. - Nate wie, że ma przychodzić codziennie, by nakarmić kury i podebrać jajka. A co z twoimi końmi?

- Dwie klacze będą się wkrótce źrebić. Ale poza tym na pewno wszystkie zwierzęta mają się dobrze.

Teraz bez przerwy wracali do tej kwestii. Jonasz nalegał, by Carrie wyjechała poprzedniego dnia, ona upierała się, że zostanie. Dzisiaj osiągnęli delikatny kompromis. Carrie pojedzie do domu i znajdzie kogoś, kto będzie doglądać jego koni. Kiedy zostanie ustalona data procesu, on da jej natychmiast znać. Wprawdzie wolałby, aby jej wówczas tu nie było, ale znał ją zbyt dobrze, by wierzyć, że zdoła ją powstrzymać. Gdyby miało dojść do najgorszego, poprosi, by karę wykonać natychmiast, zanim ona zdąży tu dotrzeć.

Carrie, *carina*, zachowaj mnie w sercu aż do czasu, gdy dereń znów pokryje się kwieciami. Potem porzuć dawne wspomnienia i zajmij się poszukiwaniem nowych.

- Dzień dobry, panie sędzio. Przyjechał pan zobaczyć się z więźniem? - W ponure myśli Jonasza wdarł się radosny głos Noego.

Carrie nastroszyła się w obronnym odruchu.

- Posłuchaj mnie, Jonaszu Longshadow - wysyczała przez zaciśnięte zęby, gdy usłyszała zbliżające się kroki. - Bez względu na to, co teraz usłyszysz,

pamiętaj, że wszystko dobrze się skończy. Ty nie zrobiłeś nic złego, a sędzia Powell ma uczciwe oczy.

Jakimś cudem udało mu się roześmiać pod nosem. Niemal w tym samym momencie pojawił się Noe i obrzucił ich podejrzliwym wzrokiem, po czym posłał tęskne spojrzenie w stronę talerza z nietkniętym jedzeniem. Westchnął ciężko, zagrzechotał kluczami i otworzył celę.

- Sędzia Powell kazał zaprowadzić was do biura, bo nie lubi tego miejsca. Ale pamiętajcie, że Spot stoi na straży przed drzwiami, a szeryf za chwilę przyjdzie z obiadu, więc żadną miarą nie można stąd uciec.

Chwilę później w zagraconym, małym biurze zebrała się posępna grupka ludzi. Po chwili dołączył szeryf, skinął głową sędziemu i oświadczył:

- Rozumiem, panie sędzio, że przybył pan tutaj, by wszystkim coś oznajmić. Usiądźmy więc i przejdźmy do rzeczy.

Sędzia odchrząknął i rozejrzał się po pokoju. Carrie miała ochotę wrzasnąć, by wreszcie skończył tę sprawę, natomiast Jonasz wpatrywał się beznamiętnie w muchę pełzającą po ścianie.

- W ogólnym zarysie sprawa przedstawia się następująco. - Ponownie odchrząknął, poprawił okulary i zajrzał do swoich notatek. - Przede wszystkim muszę oznajmić, że nie była pani żoną zamordowanego. Okazuje się, że człowiek, który was połączył, jest doskonale znanym w całym Hickory pijakiem. Nigdy nie został wyświęcony, nigdy też nie sprawował żadnego urzędu. Nawet nie potrafi czytać.

Carrie wstrzymała oddech aż do chwili, gdy do końca pojęła słowa sędziego. Nie była mężatką! Nigdy nie była niczyją żoną. Żyła pod jednym dachem z tym żalonym śmierdzielem, rujnowała krzyż i ręce, piorąc jego łachy, sprząając po nim, gdy chorował po whisky, a do tego spała w jego łóżku...

Spała w jego łóżku...

- W takim razie może pani nie przejmować się już tym swoim wujem. Nie może przecież zgłaszać pretensji do farmy zmarłego teraz, gdy okazało się, że ona do pani wcale nie należy - oznajmił szeryf, ponownie zabierając głos.

- A wisior Darthera?

- Pewnie nigdy się nie dowiemy, jak było naprawdę. Adams mógł go oddać Vanderowi. Mógł go równie dobrze przegrać do Vandera.

Carrie usiadła, by znów poderwać się na nogi, po czym zaczęła spacerować po pokoju.

- Tak, ale...

- Co się zaś tyczy ciebie, młody człowieku - sędzia zwrócił się teraz do Jonasza. - Uwzględniając pewne poszlaki, które, zważ pilnie, do tej pory nie zostały z całą pewnością potwierdzone, zdecydowałem się zwolnić cię za kaucją do czasu formalnego przesłuchania. Muszę też dodać, że kilku twoich sąsiadów wystawiło ci bardzo dobre świadectwo. Stwierdzili, że jesteś pracowity, stateczny i trzymasz się z dala od alkoholu. Oznajmili też, że jak mało kto znasz się na koniach - dorzucił z nieznacznym rozbawieniem w głosie. - Gdy zaś chodzi o dwie pozostałe strony w sprawie...

- Strony? - Noe przestał dzwonić kluczami i rozwarł usta ze zdziwienia.

- Zamknij gębę, Noe. A tak przy okazji, czy nie powinienesz zabrać się za szorowanie podłogi? - ofuknął wyrostka szeryf, po czym zwrócił się w stronę Carrie. - Sędzia ma na myśli zmarłego i pani wuja - wyjaśnił.

- Teraz już nie mam wątpliwości, że nim wcale nie jest. To znaczy moim wujem. Chociaż w tej chwili nie ma to już żadnego znaczenia. Proszę mówić dalej, panie sędzio. Co chciał pan nam oświadczyć?

- Okazuje się, że żaden z nich nie cieszył się w swojej społeczności dobrą reputacją. Adams w zasadzie nie był związany z żadną społecznością, chyba żeby za taką uznać półświatek gromadzący się wokół podejrzanych torów. W każdym razie, synu, musisz złożyć na moje ręce akt własności ziemi i koni, bo

posłużą za twoją kaucję. Poza tym chcę nadmienić, że podjąłem pewne działania w Wirginii, które mogą, choć nie muszą, przynieść pożądane owoce.

Carrie myślała, że nie zdoła się opanować i natychmiast rzuci się w ramiona Jonasza, by w nich zostać przez następne pół wieku. Ponieważ jednak nie posłał jej choćby jednego spojrzenia, udało jej się z powagą i godnością podziękować sędziemu, szeryfowi, a nawet Noemu, z którym do tej pory nie miała ochoty zamienić choćby słowa. Ale w tym momencie gotowa była uściskać nawet tego żalosego, zapchlonego kundla.

W końcu Carrie i Jonasz dostali kilka minut tylko dla siebie, by mogli swobodnie się pożegnać. Pozostali stanęli na zewnątrz i omawiali zaistniałą sytuację.

Tymczasem w biurze szeryfa Carrie i Jonasz stali naprzeciwko siebie, czując zażenowanie, którego żadne z nich nie umiało przełamać. .

- Szeryf pojedzie ze mną - oświadczył Jonasz z wymuszonym uśmiechem - do mojego Bóg Wie Gdzie. Weźmie dokumenty i przechowa je do czasu formalnego przesłuchania.

- To znaczy do kiedy?

- Jeszcze nie wiem. Ale przesłuchanie to dopiero początek. Jeżeli dojdzie do procesu, to wszystko oprze się na kwestii: moje słowo przeciwko słowu Vandera.

Jonasz nie śmiał wzbudzać w sobie nadziei. Życie go nauczyło, że nie istniał jeden przejrzysty system funkcjonowania sprawiedliwości. Prawo było różne dla różnych ładzi, a do tego inne niemal w każdym stanie.

- Mogłabym pojechać tam z tobą - wyszeptała.

- Nie. Wracaj do Emmy i chłopców. Kiedy to wszystko się skończy, odnajdę cię.

Gdyby spróbowała powiedzieć coś jeszcze, nie oparłby się pokusie i uciszył ją w szczególny sposób... Zapach jej włosów, smak ust, dotyk drobnego, prężnego ciała przyciskającego się do niego gorączkowo, sprawiał, że miał

ochotę szlochać jak dziecko, a przecież nie płakał od czasu, gdy był małym chłopcem.

Samo całowanie Carrie już mu nie wystarczało. Podobnie jak trzymanie jej w ramionach. Ta niecierpliwość i nienasycenie brały się z pożądania, z desperacji i ze strachu, że nie będzie im już dane nic ponad kilka ukradkowych pocałunków i uścisków.

- Kocham cię - powiedziała tak cicho, że z ledwością usłyszał jej słowa.

Jonasz uniósł wysoko głowę i silnie zacisnął powieki, by zagłuszyć nagły ból. Tuląc ją mocno w ramionach, pragnął, by mogła poczuć, co nosił w sercu i zrozumieć, że gdyby tylko był pewien przyszłości, nie stałby teraz w milczeniu.

Nad swoim ciałem nie miał jednak kontroli. Ileż to razy burzyła się w nim krew na widok jej podrapanych wrzosem kostek, jej małych, bosych stóp, miękkiego falowania piersi pod spranym, cienkim perkalem? Przyciskał ją do siebie, wdychał aromat jej włosów, jej ciała, czuł jej wąskie biodra na swoich biodrach... i pożądał, nie dało się ukryć, jak bardzo.

Jednak oboje udawali, że tego nie dostrzegają. Jonasz wiedział, że Carrie czeka na jakąś reakcję na swe słowa, ale czyż mógł wyznać jej swoje uczucia, gdy nie miał jej nic do zaoferowania? Jediną pewną rzeczą, na jaką mógł liczyć w najbliższej przyszłości, była niepewność. A Carrie należało się znacznie więcej.

- No, już czas się zbierać - zawołał szeryf przez otwarte frontowe drzwi. - Przed nami szmat drogi.

Fanny Smith przygotowała dwa zawiniątka z jedzeniem, jedno dla Carrie, drugie dla Jonasza i szeryfa. Noe przyprowadził konie i wówczas po raz pierwszy Carrie pomyślała o wozie, który zostawiła w lesie wraz z żeliwnym garnkiem pełnym duszonej szynki. Kiedy to właściwie było? Dwa? Trzy dni temu? Jej wydawało się, że minęły wieki.

Jechali w trójkę obok siebie w całkowitym milczeniu aż do skrętu, który prowadził na ziemię Jonasza.

- Przyjadę do ciebie od razu, gdy to wszystko się skończy - powiedział i były to jego jedyne słowa.

Szeryf spojrział przeciągle na nich i tylko potrząsnął głową.

Kiedy Carrie dotarła do leśnej polany, przy której zostawiła wóz, wreszcie w pełni pojęła wagę oświadczenia sędziego. Nie była mężatką. Nigdy nią nie była. Co oznaczało, że teraz nie miała już domu. A więc nie mogła zapewnić chłopcom dachu nad głową.

Odsunęła jednak od siebie tę myśl i zaczęła metodycznie zaprzęgać podjezdka do wozu. Odnalazła też swój garnek wylizany do czysta. Przynajmniej ten garnek w pełni należał do niej. Wymusiła na Dartherze jego kupno wkrótce po tym, jak ją poślubił.

A raczej - nie poślubił.

Skoncentruj się teraz, Carrie. Nie myśl o wszystkim jednocześnie. Rób każdą rzecz po kolei. Przecież na pewno sobie poradzisz, już nie raz bywałaś w trudnej sytuacji.

Problem w tym, że nigdy w takiej, jak obecna. Do tej pory pozwalała porywać się fali wydarzeń i robiła to, czego od niej wymagano. Akceptowała, co przynosił los, usiłując we wszystkim dojrzeć jakieś dobre strony. Nigdy nie przychodziło jej do głowy, że mogłaby przejąć odpowiedzialność za swoje życie.

Aż pewnego ranka obudziła się, spojrzała na zarośnięte pole i zrozumiała, jakie to straszne marnotrawstwo. Zaczęła pracować od świtu do zmierzchu, wrywając z ziemi karcze, klnąc, zalewając się potem i planując, jak zagospodaruje pierwsze plony.

Później zjawił się Jonasz. Carrie nie obchodziło, o co go oskarżano, wiedziała, że są dla siebie stworzeni. Coś zaczęło się z nią dziać już tego samego dnia, gdy przyprowadziła go w kajdanach do domu. Mimo że się go bała, szukała najdrobniejszego pretekstu, by być blisko niego, by na niego patrzeć. Nawet gdy uważała go za półdzikiego przestępcę, przyciągał ją i



fascynował. A potem - ekscytował. Aż wreszcie pełnym głosem przemówiło jej serce.

Jonasz może jej nie kochał, ale Carrie wiedziała, że nie była mu całkiem obojętna, choć pewnie nie było to tak wielkie, niepohamowane pożądanie, jakie ona odczuwała względem niego.

No i mogli od razu stać się pełną rodziną. Jonasz kochał chłopców, to nie ulegało wątpliwości. Pewnie potrzebował czasu, aby także pokochać i ją, bo przecież Bóg nie mógłby dopuścić, by kobietą zawładnęło tak potężne uczucie, nie sprawiając przy tym, by mężczyzna go nie odwzajemniał... a może mógłby?

Carrie skierowała się w stronę własnego domu, zamiast jechać do Emmy po chłopców. To mogło poczekać. Musiałaby wszystko opowiedzieć, wyjaśnić, a wolałaby zrobić to później, gdy wszystko dobrze przemyśli. Poza tym miała przed sobą sporo pakowania, oczywiście o ile Henry zostawił jeszcze coś, co mogłaby spakować. Prawdopodobnie zabrał Sorry'ego, ponieważ muł - nawet taka uparta kupa kości - miał jednak określoną wartość. Kury zapewne jeszcze pozostały. Zapakuje je do klatki i odda Emmie.

Gdy zaś chodzi o pole...

Do wszystkich diabłów i stu piorunów! I co ona teraz zrobi? Nie może przecież prosić Emmy, by przyjęła pod swój dach ją, chłopców, kury i dobytek, którego nie ukradł Henry. Oczywiście Emma, gdy usłyszy, jak przedstawiają się sprawy, będzie nalegać, żeby z nią zamieszkali. Zresztą biorąc pod uwagę fakt, że w tych stronach plotka rozchodziła się niczym dym niesiony wiatrem, niewykluczone, iż jej przyjaciółka już o wszystkim wiedziała. Bez względu na najszersze chęci starszej pani, w jej domu po prostu nie było miejsca dla dwóch kobiet i dwóch hałaśliwych, rozbrykanych chłopców.

W tym samym czasie gdy szeryf Juliusz Cezar Smith wracał do domu z dokumentami Jonasza, spoczywającymi bezpiecznie w sakwie u siodła, pewien były stróż prawa opierał się o żerdź do uwiązywania koni przed sklepem

Henry'ego Vandera, czekając spokojnie, aż sklepikarz skónaży swą opowieść o tym, jak to nieboszczyk Adams spotkał swój koniec.

- Po prawdzie to nie mogę powiedzieć, że na własne oczy widziałem, kto to zrobił, ale jestem gotów przysiąc, że między Dartherem a tym Longshadowem, co to dla niego się ściagał, było dużo złej krwi. Pokłócili się o pieniądze, jak amen w pacierzu. Mieszaniec nie chciał oddać Dartherowi jego części. Utrzymał, że nic mu nie winien, bo jechał na własnym koniu, a przecież Dart wstawił się za nim, wyciągnął z więzienia. I na dodatek to biedny Dart ugadał się z właścicielem toru. Bez dwóch zdań, w dzisiejszych czasach człek musi bardzo uważać, z kim przestaje.

Były szeryf Purdy oderwał swoje smukłe ciało od żerdzi i ruszył w stronę otwartej szopy przylegającej do sklepu, gdzie stało kilka koni na wynajem. Już na pierwszy rzut oka było widać, że w tym miejscu nikt nie sprzątał od tygodni. Na byle jak skleconym koźle leżały dwa siodła. U jednego z nich wciąż wisiała suto wypchana sakwa. Pozornie bez żadnego określonego celu, Purdy zaczął lustrować wejście do szopy. Henry natychmiast pognał za nim.

- Zapraszam do sklepu, tam jest dużo więcej do oglądania. Można też spróbować pikli i krakersów. Byłem długo poza domem, nie zdążyłem więc nic ugotować, ale mam mnóstwo jedzenia w puszkach. Fasolę i takie tam.

Henry wbiegł do szopy za byłym stróżem prawa i zamierzał położyć rękę na jego ramieniu, jednak przezornie natychmiast ją cofnął, gdy Purdy znaczącym wzrokiem spojrzął na tłustą dłoń, która zawisała nad jego rękawem.

Wówczas też Purdy zauważył, że wisior, który sklepikarz jeszcze chwilę temu miał przyczepiony do dewizki, nagle gdzieś zniknął.

- To pański muł? - zapytał dobrodusznym tonem.

- Jakby tu rzec - i mój, i nie mój. Przeszedł w me ręce całkiem niedawno w rozliczeniu, jak to mówią, ale to żalosne zwierze jest nic niewarte. Nie pokryje nawet połowy tego, co pożyczyłem, ale co tam, zapytaj pan kogo chcesz, a każdy przyzna, że Henry Vander ma miękkie serce.

Kiedy ręka byłego szeryfa niby przypadkiem opadła na wypchaną sakwę, Henry zaczął się obficie pocić.

- Wiesz pan, właśnie mi się przypomniało, że mam w sklepie kawał doskonałej peklowanej wołowiny. Pokroję ją, suto posmaruję musztardą i obłożę cebulą, wyjdą z tego całkiem paradne kanapki.

- A może raczej opowiecie mi o tych pieniądzach?

Głos Purdy'ego był miękki niczym świeżo ubite masło, gdy wyciągał z sakwy gruby rulon banknotów i zaczął sprawdzać nominały. Wówczas też zobaczył na nich brązowe plamy. Purdy dość długo działał po obu stronach prawa, by natychmiast rozpoznać ślady krwi.

- Możemy porozmawiać tu, w Hickory, albo udać się na południe. Tak czy owak widzi mi się, że czeka pana wiele wyjaśnień, panie Vånder.

Carrie wstała wraz z nastaniem brzasku niewyspana i połamana, bo przez pół nocy przewracała się niespokojnie, rozmyślając, jak bezdomna i samotna poradzi sobie z wychowaniem dwójki chłopców. Nawet gdyby udało jej się znaleźć misję podobnej do tej, w jakiej znalazła schronienie po masakrze, Nate i Zach najpewniej nie mogliby zostać razem, a to złamałoby im serce, bo tak naprawdę w tej chwili mieli tylko siebie nawzajem. I ją. I Emmę.

To jednak mogło nie wystarczyć.

Wciąż odziana w znoszoną, muślinową koszulę nocną - to prawdziwy cud, że ten stary łajdak nie ukradł również jej nędznych ubrań! - wyłożyła na stół swój skromny zasób kuchennych utensyliów. Większość z nich znajdowała się już w tym domu, gdy do niego przybyła, ale w końcu Darther był jej coś winien za trzy lata ciężkiej pracy. Nigdy przecież nie płacił jej żadnych pieniędzy.

Pościel leżała zwinięta razem z zimowymi ubraniami Darthera, co oznaczało, że Henry zamierzał wkrótce tu wrócić. Wieczorem Carrie rozwinęła manatki i wyjęła z nich dwa prześcieradła, by przygotować sobie posłanie. Teraz starannie je złożyła i położyła na wierzchu tłumoków. Zupełnie niechcący

Henry zrobił jej przysługę, załatwiając za nią pakowanie. Gdyby nie deszcz siąpiący od nocy, mogłaby powoli ładować bagaże na wóz.

Teraz musiała obejść starannie stodołę. To zabierze jej sporo czasu, bowiem nie zamierzała zostawiać choćby jednej rzeczy, która mogła okazać się przydatna.

Zanim skończyła, minęło południe. Przed wyjazdem miała wielką ochotę podłożyć pod zabudowania ogień, by spłonęły ze szczętem, ale w tej mżawce płomienie najwyżej osmaliłyby ściany, a poza tym Carrie nie miała serca zniszczyć nadające się do zamieszkania lokum. Być może zjawi się tu ktoś pozbawiony dachu nad głową, jak Nate i Zach, i zrobi z niego dobry użytek. Najważniejsze, że Henry nie będzie mógł już teraz zagarnąć farmy. Ta świadomość dawała jej powód do drobnej satysfakcji.

Carrie stanęła w drzwiach stodoły i ogarnęła spojrzeniem miejsce, gdzie żyła przez ostatnie trzy lata. Poidło, które napełniała, taszcząc niezliczone wiadra wody ze strumienia. Kurnik o zapadających się ścianach, połatanym dachu, z wybiegiem świeżo ogrodzonym drutem i bramką na haczyk obrośniętą powojem.

Będzie jej tego wszystkiego brakowało. W gruncie rzeczy na tej farmie przeżyła więcej dobrego niż doświadczyła złego, bo przez większość czasu była tu panią samej siebie. A co stanie się z tym miejscem teraz, po śmierci Darthera? O ile wiedziała, nie miał żadnych spadkobierców. Gdyby hrabstwo przejęło po nim schedę, może mogłaby wydzierżawić tę ziemię pod zastaw przyszłych zbiorów?

- Carrie Adams, dzierżawca - wymruczała pod nosem, a jej zmęczoną twarz rozjaśnił lekki uśmiech. Niezależna jak wieprz na lodzie, jak by powiedziała Emma.

Lecz tak naprawdę nie nazywała się przecież wcale Carrie Adams, ale Carrie Vãnder, choć żadna z niej krewna Henry'ego Vandera. Niestety to owa

zbieżność nazwisk spowodowała, że sklepikarz z Hickory przejął nad nią prawną opiekę.

Teraz już rozpadało się na dobre. Carrie postanowiła, że poczeka, aż ulewa osłabnie, i dopiero wówczas zacznie chwytać kury do klatki.

Pozostał jeszcze dom. Carrie zamierzała zostawić go w idealnym porządku dla przyszłego ewentualnego lokatora. Będzie pusty, bo wyniesie z niego wszystko, co zdoła zapakować na wóz, ale wyszorowany do czysta.

Nagle zauważyła, że ktoś się zbliża. W gęstym deszczu nie była w stanie rozpoznać jeźdźca. Nie odrywała od przybysza wzroku, aż w końcu zza ściany ulewy wyłoniła się znajoma sylwetka.

Carrie zaparło dech w piersiach.

- Jonasz?!

Nie zważając na gęsty deszcz, wybiegła mu na spotkanie, bosymi stopami rozpryskując błotniste kałuże.

- Jonasz?!

Zanim potężny, gniady ogier znalazł się w stodole, oboje byli przemoczeni do suchej nitki. Boki konia parowały, gdy Jonasz zdejmował z niego siodło, wycierał go starannie i wprowadził do boksu Pecka. W przemoczonych, cienkich ubraniach stali naprzeciwko i wpatrywali się w siebie niepewnie, aż w końcu Carrie z tłumionym okrzykiem rzuciła mu się w ramiona.

Jonasz natychmiast przycisnął ją do siebie z całej siły, zanurzając twarz w jej wilgotnych włosach pachnących mydłem i dymem drzewnym z kuchennego pieca. Przywierali do siebie kurczowo, wypowiadając rwane zdania zagłuszane przez deszcz, rozkoszując się własną bliskością.

Wreszcie Carrie odchyliła się i zgłodniałym wzrokiem zaczęła wodzić po jego twarzy, orzechowej skórze, szarych oczach, pięknie wykrojonych ustach i orlim nosie.

Przywarła ustami do jego ust, jednak Jonasz natychmiast przejął inicjatywę i zmienił ten pocałunek w coś, co szybko wymknęło się spod kontroli.

W boksie leżało świeże siano, ale tam stał dumny gniadosz. Tuż obok była wąska i rozklekotana prycza Liama. Jonasz i Carrie odwrócili się i spojrzeli w stronę stryszku. Światło dnia gasło pod grubą powłoką ciemnych chmur, deszcz dudnił o blaszany dach.

Carrie pierwsza weszła po drabinie i nagle onieśmielona, położyła się na sianie zagrabionym w kąt stryszku i wetknęła moką spódnicę pod stopy. Ostrożnym, miękким ruchem Jonasz przyklęknął tuż obok niej i pochyliwszy się tak, by go usłyszała, powiedział:

- Przyjechałem najszybciej, jak mogłem.

Skinęła głową, zachwycając się ciepłem i twardością jego uda. Kiedy tylko zorientowała się, że poprzez mokry dzins właśnie gładzi jego nogę, natychmiast nerwowo cofnęła dłoń. Dopiero jego śmiech przełamał jej zażenowanie.

Carrie też wybuchnęła śmiechem. To nic, że jej cały dotychczasowy świat się zawali, ale gdy Jonasz znalazł się tuż obok, wszystko nagle wróciło na swoje miejsce.

- ...chłopcy? - poprzez nieustający huk przedarło się tylko jedno słowo.

- U Emmy.

Nagle ulewa skończyła się równie gwałtownie, jak się zaczęła. I teraz dla odmiany ogłuszająca zdawała się cisza.

- Carrie? - wyszeptał. - Miałem zamiar poczekać... zrobić to jak należy.

- Co zrobić jak należy?

Jonasz zaczął coś mówić, urwał, tłumiąc przekleństwo, po czym porwał ją w ramiona. Przeturlali się po sianie i przez dłuższą chwilę dały się słyszeć jedynie jęki, wzdychanie i odgłosy gwałtownie wciągane powietrza.

Gdy słońce późnego popołudnia wynurzyło się wreszcie zza chmur i złocistą smugą wcisnęło do wnętrza przez świetlik ich usta znów się spotkały. A potem Jonasz nagle oderwał wargi od warg Carrie, uniósł się lekko i przyglądał się jej takim wzrokiem, jakby nie mógł uwierzyć, że jest istotą z krwi i kości. Carrie czuła, jak gotuje się w niej krew i to ona znów przejęła inicjatywę. Była

niedoświadczona, ale niosło ją wszechogarniające pożądanie. Miękkimi, wilgotnymi, lekko obrzmiałymi wargami całowała usta, szyję i włosy Jonasza, chwytając zębami płatki uszu. Miała ochotę wchłonąć go całego w siebie, tyle że nie bardzo wiedziała, od czego zacząć.

Szybko jej to pokazał. Zanim Carrie zdała sobie sprawę, co się dzieje, już leżała naga na sianie, patrząc, jak Jonasz podnosi się na kolana i ściąga z ramion koszulę. Kiedy sięgnął do rozporoka spodni, aż zaparło jej w piersiach dech.

Tym razem to wreszcie się stanie. Tym razem już nic nie zdoła ich powstrzymać. Odruchowo zacisnęła uda, by złagodzić to niezwykle pulsowanie zaczynające się gdzieś w jej brzuchu, a rozchodzące się po całym ciele.

Jonasz dotknął jej twarzy i powiódł palcem wzdłuż delikatnej Unii szczęki.

- Uparta - powiedział cicho z dumą w głosie. - Kobieta wielkiego ducha i odwagi.

Chciała powiedzieć mu, że nigdy nie nazwałaby siebie odważną, ale on położył dłonie na jej piersiach, delikatnie, jakby były kruche niczym jaja kolibra. Carrie jednak nie chciała, by dotykał jej tak subtelnie, chciała za to...

- Ooo... ach... taaak - wyszeptwała.

Jęcząc z pożądania potężniejszego od wszystkiego, co do tej pory czuła, położyła ręce na jego dłoniach i przycisnęła z całej siły. Poczowała, jak niemal boleśnie twardnieją jej sutki, ale był to rozkoszny ból, a stał się jeszcze rozkoszniejszy, gdy miejsce dłoni zajęły usta.

Nigdy, nawet gdyby miała żyć sto lat, powiedziała sobie Carrie jakiś czas później, nie zapomniaby tego, czego nauczyła się tego deszczowego wieczoru na stryszku w stodole. Nauczyła się między innymi, że mężczyzna może być twardy jak żelazo, a jednocześnie miękki niczym jedwab. Nauczyła się dotykać mężczyznę w taki sposób, całować go tak, że kwilił jak niemowlę.

Nauczyła się też, że całować można na wiele sposobów, a najintymniejsze z nich sprawiały, że najpierw miało się wrażenie zanurzenia się w tęczę, a zaraz potem wrzucenia w powietrzny wir. I że to dziwne pulsowanie i rozpieranie

ciała, które tyle razy czuła przy Jonaszu, staje się stokroć silniejsze, gdy mężczyzna wchodzi w kobiece ciało i porusza się w nim.

A ta różnorodność owych sposobów! Zgłodniała, rozpalona Carrie wiała się pod Jonaszem i wykrzykiwała:

- Tak... tak... ooch... och, proszę... tak... szybciej, szybciej!

W jakiś czas potem, gdy leżeli wyczerpani, ale wciąż złączeni uściskiem, wyszeptała ze zdumieniem:

- Nie mogę przestać się uśmiechać. Czy to normalne?

- Czy co jest normalne?

- No wiesz... to uczucie, że jednocześnie głodujesz i objadasz się do nieprzytomności, i że nie możesz przestać się uśmiechać, bo to... bo to jest takie absolutnie wspaniałe.

- Wydaje mi się, że właśnie opisałaś coś, czego nie da się opisać. - Chwycił jej dłoń i uniośł do ust. On też się uśmiechał.

Kiedy Carrie zaczęła się wiercić i wyciągnęła spod siebie źdźbło słomy, Jonasz przetoczył ją na siebie, nie wysuwając się jednak z jej wnętrza. Tam gdzie przed chwilą leżała, rozpostarł wilgotną koszulę.

- Powinienem być pomyśleć o tym wcześniej. Żałuję, że zamiast mokrej koszuli nie leżysz na posłaniu wymoszczonym najdelikatniejszą, najjaśniejszą skórą łani. I że musisz wdychać odór stodoły zamiast wonnych ziół, które spalałbym dla ciebie w swoim domu, podczas gdy na niebie świeciłyby gwiazdy, zsyłając na nas swoje błogosławieństwo.

Zauroczona i wzruszona wpatrywała się w jego twarz. Nikt nigdy nie przemawiał do niej takim językiem. Bo chociaż słowa Jonasza nie układały się w rymy, doskonale wiedziała, że to czysta poezja.

- Chciałem - ciągnął Jonasz - przyprowadzić do ciebie swoje kłaczki i źrebięta jako zapłatę dla oblubienicy.

W jego głosie brzmiała duma, ale nawet w tym skąpym świetle Carrie dostrzegła, że w jego oczach czaiła się niepewność.



- Zapłatę?

- Taki jest zwyczaj wśród naszego ludu, Carrie. Ja daję ci, co mam najcenniejszego, a ty musisz zdecydować, czy chcesz to przyjąć.

- Ach tak.

- Ale moje konie i ziemia są teraz zastawem za moją wolność. Nie mam ci więc nic do ofiarowania poza...

- Tak?

Jonasz z trudem przełknął ślinę. Zauważyła też, jak naprężył mięśnie szyi.

- Moim sercem. Parą moich rąk. One należą do ciebie, *carina*.

Nie wypowiedział słowa, które tak bardzo chciała usłyszeć, ale Carrie to nie przeszkadzało. Teraz już wiedziała, co naprawdę jej ukochany nosił w sercu. A była to miłość - miłość do niej.

- Och, wspaniale - wyszeptała i w tym momencie poczuła, jak Jonasz znów cudownie twardnieje w jej wnętrzu.

Ulewa przesunęła się nad Currituck Sound, a potem nad ocean. Czerwona poświata zachodzącego słońca przygasła i wówczas Jonasz wraz z Carrie pozostali już tylko we własnym świetle.

Jeszcze nie minęło południe, gdy dojechali do domu Emmy. Oboje zerwali się wcześniej. Carrie połapała kury, a Jonasz załadował na wóz cały jej dobytek. Poranne powietrze było rześkie i przejrzyste, chociaż z drzew wciąż opadały krople po nocnym deszczu.

Cały czas oboje się uśmiechali. Przy każdej okazji dotykali się nawzajem. To było tak, jakby nagle zostali przeniesieni do innego świata stworzonego specjalnie dla nich. W pewnej chwili Jonasz, powożąc wozem, za którym na postronku szedł czarnouchy ogier, zapytał:

- Czy ten obrazek czegoś ci nie przypomina? Carrie w skupieniu ściągnęła brwi, po czym pokręciła przecząco głową.

- T'a-Kon nie ma spętanych nóg - powiedział ze śmiechem.

I wtedy oczywiście zrozumiała.

- Tobie dobrze się śmiać, ale ja nigdy nie będę mogła o tym myśleć, nie czując przy tym palącego wstydu.

Jonasz przysunął się do niej i nakrył dłonią jej obie dłonie, a jego oczy wyrażały to, czego wciąż nie umiał wyrazić słowami.

Ledwo zbliżyli się do polany, na której stał dom Emmy, powitały ich dzikie wycia i okrzyki, a chwilę później zza drzew wybiegło dwóch chłopców, jeden biały, drugi czarnoskóry, ze sznurkami koralików na wątych piersiach, ubielonymi mąką nosami i kurzymi piórami we włosach.

- Jonasz, Jonasz! Żeśmy wiedzieli, że przyjedziesz - wrzeszczał na całe gardło Zach.

- I pani Emma upiekła ciastka z melasą, i zrobiła herbaty z ostrokrzewu z miodem.

Gdy tylko wielkie drewniane koła wozu zatrzymały się w miejscu, Carrie wygramoliła się z wozu i z rozpostartymi ramionami pobiegła w stronę swoich dwóch Indianiątek. Obaj chłopcy rzucili się na nią, niemal zwalając ją z nóg, Carrie zaś szarpnęła się do tyłu i zmarszczyła nos.

- O rety, o cóż to...

- Nate'a obsikał skunks. Pani Emma wylała na niego sześć puszek mydła, ale on wciąż śmierdzi. Hej, Jonasz, chodź powąchaj Nate'a! - zakrzyknął radośnie Zach.

W jakiś czas potem dorośli zasiedli na ganku, mimo że po deszczu było dosyć chłodno, a chłopcy ustawili klatkę przy kurniku Emmy i wpuścili drób Carrie do środka, a potem zabrali się za budowanie błotnego fortu

- No cóż, młody człowieku, zdaje się, że zamierzasz zabrać moją rodzinę na swoją ziemię - w końcu odezwała się Emma.

Na wieść, że będą mieszkać z Jonaszem, chłopcy zaczęli krzyczeć i skakać z radości, jednak Zach natychmiast musiał się upewnić, że Carrie także zamieszka z nimi.

- Oczywiście - odparł Jonasz. - Ale najpierw musimy zbudować dla niej dom.

Emma Templin zaczęła kołysać się na bujaku. Odejście Carrie i dzieci sprawiało jej dużo więcej bólu, niż chciała przyznać.

- Ostatnio zaczęłam rozmyślać, czyby nie przenieść się do miasteczka. Zdaje mi się, że to dobry moment, póki jeszcze mogę chodzić o własnych siłach.

Shingle Landing trudno było nazwać miasteczkiem, ale mieszkali tam uczciwi ludzie, trudniący się polowaniem, łowieniem ryb i uprawą ziemi. Emma mieszkała w tych okolicach od bardzo długiego czasu, więc wszystkich dobrze знаła i miała wielu przyjaciół.

- Tak pewnie będzie najlepiej - mruknęła Carrie.

Wiedziała, że Jonaszowi spieszno było ruszać w drogę, miał jednak zbyt dobre maniere, by ją poganiać. Emma była jej jedyną przyjaciółką i podporą od ponad trzech lat. Jakże mogła ją tak teraz zostawić? Ale nie mogła też zostać.

Chciałaby zaprosić starszą panią do siebie, ale w tej chwili było to niemożliwe, bo Jonasz nie miał jeszcze domu. Czowała się więc rozdarta i przeciągała moment pożegnania.

W końcu Emma ich wyprawiła. Chłopcy dostali czyste koszule, a Carrie dość jedzenia, by starczyło dla wszystkich na kilka dni.

- Przyjeżdż wkrótce po swoje kury! - krzyknęła za rozklekotanym wozem.

Nastąpiła kolejna fala głośnych pożegnań i machania rękami, aż w końcu Carrie przestała się oglądać i śmiało spojrzała przed siebie. Nigdy nie zapomni tej kobiety, która własnym przykładem nauczyła ją wytrwałości i odwagi.

- Gdy tylko jakoś się urządzimy, natychmiast przyjadę z wizytą!

- I ja też! I ja też! - wykrzykiwali chłopcy.

- W każdej rodzinie powinna być babcia - powiedział cicho Jonasz i Carrie posłała mu ciepłe spojrzenie, nie ośmielając się jednak o nic pytać.

Jonasz tymczasem wyobrażał sobie, jaki musieli przedstawiać widok: stary, rozklekotany wóz zapakowany do granic możliwości różnym dobytkiem - od

puchowych poduszek po zardzewiały pług, a na nim wojownik plemienia Kiowa, drobna niebieskooka kobieta i dwóch nadzwyczaj żywych chłopców, jeden biały, drugi czarnoskóry.

Jego rodzina. Bogowie widać dobrze wiedzieli, co robią, gdy pozwolili, by żołnierze Unii zagarnęli go wraz z siedemdziesięcioma innymi wojownikami i pognali do więzienia na wschodzie.

To był zaledwie początek drogi. Potem musiał stawić czoło jeszcze wielu niebezpieczeństwom, by w końcu z drobną, odważną kobietą u boku, odnaleźć własny dom.

## EPILOG

Dwa tygodnie po tym, jak skazany za morderstwo Henry Vånder okpił kata i zmarł w więzieniu na atak serca, Jonasz przez cały dzień pomagał pewnemu młodemu małżeństwu w przeprowadzce do dawnego domu Carrie. Ci ludzie wzbudzali jego zaufanie. Nie będą musieli płacić za dzierżawę do czasu pierwszych plonów, a i później tylko symboliczną cenę. W zamian wykarczują pozostałe grunty. Kiedy zaczną zarabiać dość dużo, by starczyło im na ziarno, narzędzia i godziwe życie, wspólnie wynegocjują warunki nowej umowy. Patrząc się w stronę domu, pomyślał z satysfakcją, że od czasu gdy hrabstwo przyznało jego żonie ziemię, którą swego czasu uważała za własną, okazał się doskonałym organizatorem i człowiekiem interesu.

Kiedy zjawi się w domu, Carrie i Emma będą na pewno pochłonięte obrębianiem firanek do nowego domu. Jeżeli już musiał mieszkać w czterech ścianach, uparł się, by było w nich tak dużo okien, ile tylko wytrzyma konstrukcja. Emma wprawdzie oświadczyła, że musiał postradać zmysły, bo gdy nadejdzie zima za nic w świecie nie zdoła ogrzać tego miejsca, ale do tej pory Jonasz i Carrie opanowali już sztukę kompromisu.

Dom Emmy, budowany w drugim końcu ogrodu, też powoli nabierał kształtów. Zeszłego tygodnia kilku mężczyzn z Shingle Landing przyjechało pomóc w stawianiu ścian i zakładaniu dachu, przy okazji przywożąc Emmę w odwiedziny. Obie kobiety nie mogły się nacieszyć, że będą mieszkały obok siebie, nie podejrzewając przy tym, że wspaniałomyślność Jonasza nie była wcale taka znowu bezinteresowna. Co prawda Nate upierał się, że w kwietniu następnego roku sprowadzi bezpiecznie dziecko Carrie na świat, bo o przyjmowaniu noworodków wszystkiego nauczył się od swojej babki i Jonasz, gdyby tylko mógł, najchętniej w przyszłości wysłałby Nate'a na medycynę, ale póki co wołał, by porodem zajęła się Emma.

Ślub Jonasza i Carrie odbył się miesiąc po śmierci Adamsa. Nikt nie uważał, że to nieprzyzwoicie szybko, jako że panna młoda nigdy nie była legalnie poślubiona. W kościele zjawiała się większość sąsiadów. W roli ojca oblubienicy wystąpił szeryf Juliusz Cezar Smith, zaś ceremonię odprawiali wspólnie pastor wraz z sędzią Powellem.

Gdy Jonasz wjeżdżał w bramę prowadzącą do jego posiadłości, do żerdzi ogrodzenia podbiegło kilka koni. Teraz było ich dziewięć. T'a-Kon, trzy klacze ze swoimi źrebakami i dwie nowe klaczki.

Po raz pierwszy w życiu Jonasz miał poczucie, że znalazł swoje miejsce na ziemi. Zapuszczał tu powoli korzenie. Z pomocą przyjaciół budował teraz dom dla artretycznej staruszki, która przeżyła śmierć męża i całej piątki dzieci. Postawił tu także dom mieszczący swobodnie dwóch osieroconych chłopców, jego ukochaną Carrie, ocalałą z masakry, która zdarzyła się dawno i daleko stąd, a także półkrwi Indianina, niegdyś wojownika, członka elity plemienia Kiowa, Koitsengi. Bractwa Dziesięciu Najdzielniejszych.

Gdy to wszystko sobie uświadomił, uniósł głowę, spojrzał na bezchmurne niebo i wydał z siebie cichy, triumfalny okrzyk wojownika.